ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)
NR 2 (193) LUTY 2015
NAKŁAD 12 400

Srebrna Góra

- mityczne skarby czy skarbnica mitów

Opowieści o nieudanych srebrnogórskich eksploracjach

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

www.odkrywca.pl

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR W POLSCE!
GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com
GTI 1500
GTI 2500
ACE 150
ACE 250
EuroAce
ATX
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
AT Pro
AT Gold
white's
Spectra V3i
Spectra VX3
MXT Pro
MXT Tracker
Matrix M6
MX5
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
TM 808
MINELAB
CTX 3030
E-Trac
Safari
Excalibur II
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Nokta ENGINEERING
FORS CoRe
NOWOŚĆ
VELOX One
SDC 2300
NOWOŚĆ
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F70
F2
F4
F5
F19
NOWOŚĆ
Pro-Tech
NOWOŚĆ
F75
CZ 21
1280-X Aquanaut
Pro-Arc
NOWOŚĆ
XP
Deus
GMaxx
Adventis 2
NOWOŚĆ
Gold Maxx
ADX150
NOWOŚĆ
podwodny • wodoszczelny do 3m
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sprzedaż wysyłkowa i ratalna

LUTY 2015

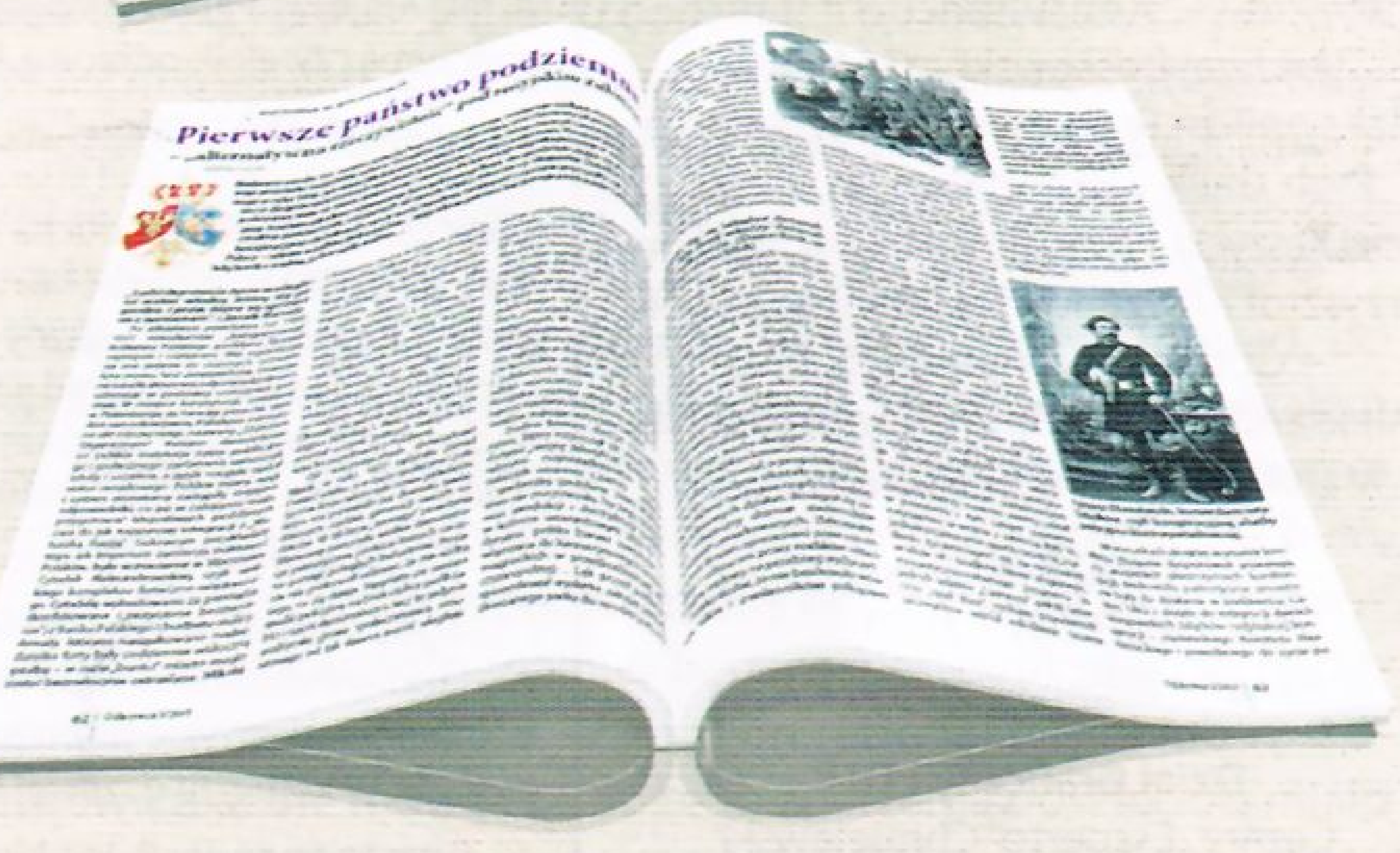

POSZUKIWANIA

3 Lekcja pokory
Leszek Adamczewski

8 Bogactwo w cieniu ubóstwa, czyli tajemnica lubińskich mnichów…
Józef Walter miał otrzymać „wyrysowany na papierze plan korytarzy klasztoru i okolic, gdzie znajduje się skarb oraz pismo, w którym opisana była przyczyna ukrycia skarbu i zalecana ze względu na wielką wartość konieczność jego odnalezienia". Całość miała zostać sporządzona i opracowana przez brata stryjecznego ojca – uczestnika opisywanych wydarzeń – Benedyktyna z lubińskiego klasztoru…
Piotr Maszkowski

12 Wałbrzyskie skarby… nie tylko muzealne
Kulisy rewindykacji na Dolnym Śląsku (cz. 13)
Szymon Wrzesiński

18 Skarby z karkonoskich schronisk
Tomasz Rzeczycki

21 W poszukiwaniu Rossgartenstrasse…
Wojciech Gudaczewski

26 Major z Puszczy Noteckiej
Maksymilian Frąckowiak

ŚLEDZTWO ODKRYWCY

30 Śmierć przy ołtarzu – nowe fakty w sprawie morderstwa ks. Józefa Górszczyka
Podczas odprawiania mszy świętej został zamordowany ksi. Józef Górszczyk. Historię tego morderstwa opisywaliśmy równo rok temu. W ciągu minionych 12 miesięcy zdarzyło się wiele. Przez cały rok trwało także śledztwo „Odkrywcy", poparte kwerendą archiwalną w IPN i dotarciem do kolejnych, nieznanych świadków. Czy to przybliża nas do ustalenia prawdy i odpowiedzi na pytanie: dlaczego zamordowano księdza?
Janusz Skowroński

AKTUALNOŚCI/WYDARZENIA

37 Muzeum II Wojny Światowej już częściowo… uzbrojone
Piotr Maszkowski

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

40 Jak Amerykanie na Giszowcu zamieszkali…
Dariusz Pietrucha

46 Strażnice Grenschutz w Beskidzie Żywieckim
Jakub Rosiek

Okładka: Twierdza w Srebrnej Górze. Zdjęcie: Zbigniew Rabenda.

KOLEKCJONERSTWO

50 Lekkie i ręczne karabiny maszynowe polskiej piechoty 1918-1939
Jarosław Strenkowski

56 Walecznym – Śląsk
Odznaczenia za udział w wojnie z Czechosłowacją w roku 1919
Piotr Galik

HISTORIA W ROCZNICACH

62 Pierwsze państwo podziemne – „alternatywna rzeczywistość" pod rosyjskim zaborem
Niedawno minęła 152. rocznica wybuchu Powstania Styczniowego, trwającego najdłużej wystąpienia zbrojnego przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Szczególną cechą, odróżniającą zryw styczniowy od powstania narodowego w roku 1830, jest niezwykłe dokonanie polskich spiskowców, którzy stworzyli i utrzymywali w działaniu w skrajnie niekorzystnych warunkach konspiracyjne struktury państwowe. Pierwsze polskie państwo podziemne stało się zatem prekursorem i wzorcem dla konspiracji niepodległościowej w wieku XX.
Piotr Galik

FORTYFIKACJE

66 Niemieckie armaty okrętowe 380 mm na polach bitew I wojny światowej
Jacek Jarosz

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 Lutowe nowości w Księgarni Odkrywcy

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych Sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja miesięcznika „Odkrywca"
ul. Kaszubska 4
50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: redakcja@odkrywca.pl
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

Zespół redagujący

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.pl
kwiecinska@odkrywca.pl
Piotr Maszkowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy
Proteus, Leszek Adamczewski. Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia.
Maksymilian Frąckowiak – Archeologia.
Piotr Galik – Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki – Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Dział Reklamy
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

Dział Graficzny i DTP
Cezary „Essperto" Chmielewski

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel „Bocian"

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

Drodzy Czytelnicy

Wzniesione w górę ołówki w rękach setek tysięcy maszerujących ulicami Paryża ludzi, wyrażających sprzeciw wobec terrorystycznej napaści i zamordowaniu 12 członków zespołu redakcyjnego francuskiego magazynu satyrycznego „Charlie Hebdo", staną się zapewne jednym z symboli 2015 roku. Imponująca manifestacja przywiązania do wolności słowa i prawa do swobodnego głoszenia własnych, nawet najbardziej kontrowersyjnych poglądów, zrobiła niezwykłe wrażenie, zwłaszcza że wielu z manifestantów w żaden sposób nie podziela formy i treści jakim hołduje francuski magazyn. Wolność słowa jest więc dla demokracji kategorią nadrzędną i chwała Francuzom, że przy tej tragicznej okazji podnieśli ją ponad spór ideologiczny, religijny czy społeczny. Pamiętać przy tym trzeba jak bardzo reglamentowana jest w otaczającym nas świecie, jak w istocie krótką ma historię, i jak wiele sił jej zagraża.

Miejsce konfrontacji ołowiu z ołówkami rysowników jest symboliczne. To w Paryżu, w końcu XVIII w. ożywiona ideami Oświecenia Wielka Rewolucja Francuska burząc absolutystyczno-feudalny porządek, kładła podwaliny pod fundament współczesnych wolności. Warto pamiętać jak istotną rolę w demontażu „starego reżimu" i obaleniu władzy Burbonów odegrał właśnie ołówek. Niezliczona ilość grafik, rysunków, plakatów czy innych form komunikacji ilustracyjnej zamieszczanych w ówczesnej prasie, była sposobem przekazywania treści i wpływania na nastroje społeczne. Dotarcie do odbiorcy poprzez rysunek i jego treść wizualną dodatkowo miało tę zaletę, że przezwyciężało powszechny analfabetyzm. Tej jednak cechy graficznej ekspresji nie należy trwale łączyć z poziomem wykształcenia. Czy dzisiaj nie słyszymy o nawrocie, a nawet dominacji kultury obrazu, piktogramu, komiksowego rysunku? Mówi się wręcz o cywilizacji obrazkowej. Niewerbalna bądź współistniejąca ze słowem ilustracyjna płaszczyzna masowej komunikacji znakomicie rozwija się w przestrzeni internetowej, wkładając ołówki w ręce nawet amatorom, co przypominam jedynie tytułem dygresji.

Ołówek z górą już 200 lat jest więc bronią równie skuteczną co karabin – oczywiście w kontekście paryskiej tragedii brzmi to niezamierzenie okrutnie, ale chyba militarna metafora nie powinna urazić walczących o wolność słowa. I nie jest to tylko broń w ręku słabych. Tarczę rysunkowej satyry łatwo przekuć na miecz. Pamiętajmy o rysunkach streicherowskiego „Stürmera" – hitlerowskiej gazety będącej głównym obok filmu narzędziem antysemickiej propagandy III Rzeszy. A rysunki i grafika bolszewickiej Rosji tworzące emocjonalny grunt pod rozprawę z Cerkwią i zamożnym chłopstwem. A ohydna karta polskiego rysunku gazetowo-plakatowego (czytaj propagandowego) o „olbrzymie" i „zaplutym karle reakcji" jak nazywano Armię Krajową. Papier dużo wytrzyma, a ołówek w ręku rysownika może być potężnym orężem. Pytanie: ile wytrzyma czytelnik-odbiorca, którego świadomość atakowana jest rysunkową treścią sugestywnej ilustracji.

„Zabrania się zabraniać", to jeszcze jedno echo wolnościowego Paryża. Tym razem z czasów współczesnych. Jedno z wiodących haseł liberalnej rewolucji młodzieżowo-intelektualnej z maja 1968 roku. To chyba drugie obok oświeceniowego ducha i gatunkowej tradycji rysunkowego dziennikarstwa źródło inspiracji dla tego typu satyry, jakie uprawia(-ła) redakcja paryskiego magazynu. To hasło każe spytać o granice wolności. Granice kultury. Granice smaku. Każdy je musi sam określić we własnym sumieniu. Ale czy dziwi, że są i tacy, którzy chcą je ustanowić w imieniu większym niż jednostka? W imieniu jakiegoś dobra wspólnego, w imieniu grupy społecznej bądź wyznaniowej na przykład... Co może obrazić czytelnika, gdzie jest dopuszczalna granica estetyki i etyki, gdzie jest granica intelektualnej prowokacji, za którą jest już tylko akt obrażenia odbiorcy?

To nie są pytania tylko do dziennikarza. To są pytania uniwersalne.

I gdy chociaż na część z nich sama sobie odpowiedziałam, wpadły mi w ręce rysunki włoskiego grafika Alexandro Palombino. Rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz uczcił serią rysunków, w których umieścił bohaterów niezwykle popularnego komiksu o Simpsonach (jak to się dzisiaj mówi „kultowego) w obozie zagłady. W komorze gazowej też...

I pytania wróciły. Palombino na szczęście opatrzył je podpisami „Never again" – „Nigdy więcej". Potraktuję je dosłownie. W każdym z możliwych sensów.

Jak to dobrze, że „Odkrywca" pozostaje sobą. Nigdy nie miałam ręki do rysunków. Jedyny ołówek jakiego używam, jest czerwony – wiadomo, redakcyjna robota. Wiem, wiem to bardziej cienkopis niż ołówek, ale podnoszę go dzisiaj wysoko. Czerwień paryska to dzisiaj nowy kolor. Piękniejszy od ołowiu.

Zapraszam do lektury najnowszego wydania „Odkrywcy"!

Izabela Kwiecińska

W odpowiedzi na liczne zapytania z Państwa strony informujemy, że tegoroczna

X KONFERENCJA POPULARNONAUKOWA „ODKRYWCY"

odbędzie się w dniach **15–17 MAJA 2015 roku**

To już nasza dziesiąta Konferencja. Czeka nas więc okrągły jubileusz wspólnych z Państwem spotkań w miejscach tajemniczych i niezwykłych, do których udajemy się systematycznie od 2006 roku. Jubileusze zobowiązują, dlatego tegoroczny wybór miejsca naszego spotkania jest wyjątkowo trudny. Od jakiegoś czasu prowadzimy zaawansowane rozmowy w kilku regionach, które mają na celu wyłonienie najlepszej oferty, spełniającej wysokie standardy naszego przedsięwzięcia. Są one właściwie na ukończeniu, niemniej w chwili zamykania niniejszego numeru, wciąż czekamy na ich ostateczny wynik. Dlatego też o dalsze szczegóły podamy w marcowym wydaniu „Odkrywcy". Wcześniej informacje te pojawią się na naszej stronie www.odkrywca.pl, oraz profilu na Facebooku: https://www.facebook.com/Odkrywca

Serdecznie zapraszamy stałych Bywalców, którzy doskonale wiedzą, czego można się spodziewać, a także wszystkich tych, którzy jeszcze nie brali udziału w Konferencjach „Odkrywcy". Z naszej strony gwarantujemy, jak przez ostatnie 10 lat, pełną satysfakcję wszystkim Uczestnikom.

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Fragment fortu Ostróg na zdjęciu archiwalnym. Zb. Wojtka Stojaka.

Fort Ostróg. Widok z Donjonu. Zb. Wojtka Stojaka

Lekcja POKORY

LESZEK ADAMCZEWSKI

O tajemnicach, które kryje twierdza srebrnogórska niedaleko Ząbkowic Śląskich, głośno jest od lat. W podziemiach jej fortów w latach powojennych szukano Bursztynowej Komnaty, później złota Wrocławia. Niczego nie znaleziono. A jednak twierdza nadal przyciąga poszukiwaczy skarbów, chociaż jeden z nich, w 2001 roku, poniósł tu spektakularną porażkę, którą nazwał lekcją pokory…

Najpierw główną ulicą miasteczka Silberberg wolno przejechał samochód z głośnikiem, przez który powtarzano krótki komunikat: mieszkańcy mają pozostać w swych domach, zasłonić okna lub zamknąć okiennice. Obecność osób postronnych na ulicach jest zabroniona i będzie karana.

W wydanej w 1995 roku książce „Milczące ślady" pisałem:

„Mieszkańcy polecenie wykonali, ale i wśród zdyscyplinowanych Niemców znaleźli się tacy, zwłaszcza wśród ciekawskich nastolatków, którzy przez jakąś szparę w kotarze, lub z okienka na strychu, obserwowali, co działo się na głównej ulicy miasteczka. Patrolowali ją esesmani, pilnujący, by na ulicy nie pojawił się jakiś intruz, i by nikt nie wyglądał przez okna. Dochodziła godzina 10 przed południem, gdy od strony miasta Frankenstein usłyszano warkot motorów wielu samochodów ciężarowych. Narastał on z minuty na minutę. Wreszcie, wśród zabudowań miasteczka, pojawiły się jadące wolno pod górę ciężarówki, eskortowane przez żołnierzy z Waffen SS z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi. Nikt z kilku osób, z ukrycia obserwujących kolumnę, nie liczył samochodów, stąd też pojawiająca się tu i ówdzie liczba trzystu maszyn jest zapewne mocno przesadzona. W każdym razie ciężarówek było wiele i sam przejazd kolumny przez Silberberg trwał dość długo. (…) Kolumna niemieckich ciężarówek dotarła do Przełęczy Srebrnej, a więc na zachodni skraj miasteczka, która to przełęcz dzieli Góry Bardzkie od Gór Sowich. Samochody – według zgodnej relacji świadków – nie pojechały dalej w kierunku Neurode, lecz na przełęczy skręciły w którąś z trzech bocznych dróg, z których każda wiedzie do jednego ze starych i mocno zrujnowanych fortów twierdzy srebrnogórskiej".

Dalej czytelnikom „Milczących śladów" wyjaśniłem, że Silberberg to dzisiejsza Srebrna Góra, Frankenstein to Ząbkowice Śląskie, a Neurode to Nowa Ruda. Z tej książki zacytuję jeszcze te dwa zdania: *„Po kilku godzinach od przejazdu ciężarówek przez miasteczko, jego mieszkańcy usłyszeli głuche detonacje dochodzące od strony przełęczy. Wieczorem zaś, tego dnia, kolumna najprawdopodobniej już pustych samochodów odjechała tą samą trasą, a więc w kierunku na pobliskie Ząbkowice Śląskie".*

Dzisiaj, ponad 20 lat od napisania tych słów (ponad, bo w 1993 r. o tej kolumnie niemieckich ciężarówek pisałem w „Głosie Wielkopolskim" w cyklu publikacji pod tym samym co książka tytułem), nadal nie wiem czy tak rzeczywiście było, czy może i w tym przypadku mamy do czynienia z historią wymyśloną wkrótce po wojnie, będącą zlepkiem mocno naciągniętej prawdy i mitów. W każdym razie faktyczni lub rzekomi świadkowie mówili, że do tego zdarzenia doszło, lub miało dojść, 3 marca 1945 roku.

Ufortyfikowana przełęcz

Walim koło Wałbrzycha, 15 listopada 2014 roku. Wśród rozłożonych w restauracji zajazdu Hubert folderów i ulotek reklamujących uroki Gór Sowich była i ta, złożona w trzy, kartka kredowego papieru zatytułowana: „Srebrna Góra. Perła Gór Sowich". Czytamy w niej m.in.:

„Powiada się, iż pewnego chłodnego dnia, na przednówku 1945 roku, tuż przed świtem, kamienice w Srebrnej Górze zaczęły drżeć. (…) Ulice miasteczka przemierzała karawana ciężarówek. Kilkadziesiąt maszyn wspinało się w stronę srebrnogórskiej twierdzy, mieląc resztki marcowego śniegu. Jedna po drugiej przekraczały bramę fortecznego Donjonu, a następnie zawracały w luźniejszych odstępach czasu. Co takiego żołnierze Wehrmachtu transportowali do wnętrza twierdzy? Srebrnogórzanie nie powtarzają popularnej w Sudetach historyjki o Bursztynowej Komnacie. Powiada się, że hitlerowscy żołnierze transportowali do twierdzy Srebrna Góra dzieła sztuki zrabowane podczas wojny. Powiada się, że dzieła te przewozili z Kamieńca Ząbkowickiego, w którym istniał ich wielki magazyn". Pisząc *„powiada się"*, au-

Widok z Donjonu na szosę w kierunku Ząbkowic Śląskich, którą w marcu 1945 roku miał przyjechać do Silberbergu tajemniczy konwój ciężarówek.

tor powyższych słów jakby odcina się od nich i nie za bardzo chyba wierzy w od lat powtarzaną z ust do ust historię z marca 1945 roku. W tym minifolderze brakuje natomiast choćby kilku zdań o tym, co rozsławia Srebrną Górę. Uzupełnijmy tę lukę.

Twierdza srebrnogórska powstała w drugiej połowie XVIII w., na polecenie króla Prus Fryderyka II Wielkiego, który zdobywszy Śląsk, postanowił ufortyfikować te ziemie. Zrealizowano dopiero drugi projekt, którego autorem był płk Ludwik von Regeler. Jego zamysł obejmował nie tylko budowę fortu zasadniczego, czyli Donjonu na Warownej Górze, ale także przewidywał umocnienie grzbietu Gór Sowich na znacznej długości, oraz zakładał budowę fortów pomocniczych, w tym fortu Ostróg zlokalizowanego już po przeciwnej, południowo-wschodniej stronie przełęczy, na wzgórzu wchodzącym w skład pasma Gór Bardzkich. Budowa głównego bastionu twierdzy srebrnogórskiej trwała niespełna cztery lata (1765–1768), a w następnych dziewięciu zbudowano zespół 6. fortów i 2. baterii. Były to forty: Ostróg, Rogowy I i II, Małego Chochoła, luneta Małego Chochoła, działobitnia Średniego Chochoła i działobitnia kazamatowa Wielkiego Chochoła oraz reduta Wielkiego Chochoła. Bastiony, raweliny i szańce flankujące utworzyły dwuipółkilometrową linię obronną. Przez prawie 100 lat, do 1867 r., gdy twierdzę rozbrojono jako przestarzałą, nikt jej nie zdobył. Opuszczona, stała się jeszcze obiektem prób nowych moździerzy oblężniczych i ćwiczeń z bawełną strzelniczą.

W ostatnich latach XIX w. niszczejąca twierdza niespodziewanie stała się celem wycieczek turystów, dla których w pomieszczeniach Donjonu, już w 1885 r., urządzono restaurację. W pierwszych latach II wojny światowej w fortach Ostróg i Rogowy II znajdował się obóz jeniecki Oflag VIIIb dla wziętych do niewoli we wrześniu 1939 r. oficerów polskich, wśród których byli m.in. generał Tadeusz Piskor i kontradmirał Józef Unrug. W 1940 r. z tego obozu uciekło 10 jeńców, co było nie lada wyczynem.

Antkowiak wskazuje Ostróg

Opowieści o konwoju ciężarówek, który w marcu 1945 r. przejechał przez Silberberg, nie umarły śmiercią naturalną. Krążą nadal w środowiskach poszukiwaczy skarbów, chociaż w tych najświeższych liczbę przejeżdżających przez miasteczko samochodów, zredukowano do kilkunastu, a nawet kilku, co je tylko uprawdopodobnia, ponieważ znalezienie 250 czy 300 sprawnych ciężarówek w marcu 1945 r. na Dolnym Śląsku graniczyło z cudem.

Samochody te coś przywiozły, czy może wywiozły? Tej ostatniej możliwości nikt z poszukiwaczy nie bierze pod uwagę, a jest ona prawdopodobna. Myślenie o twierdzy zdominował jeden pogląd – tu coś ukryto.

Gdy latem 1993 r. w Srebrnej Górze zbierałem materiały do „Milczących śladów", moi informatorzy mówili o rejonie Chochołów, gdzie miano coś ukryć. Autor cytowanego minifolderu sugeruje, że były to dobra kultury złożone w Kamieńcu Ząbkowickim, który do 1945 r. nazywał się Kamenz. Właśnie w tym miasteczku dr Günther Grundmann, konserwator zabytków Prowincji Dolnośląskiej, urządził jedną ze swych pierwszych składnic dzieł sztuki, od 1942 r. ewakuowanych z Breslau i innych większych miast dolnośląskich, narażonych na alianckie bombardowania. Losy skarbów ze składnicy w Kamenz są znane i nic nie wskazuje, by pod koniec wojny zostały one ukryte gdzieś w wilgotnych pomieszczeniach któregoś z fortów twierdzy srebrnogórskiej. W grudniu 1944 r., po częściowym opróżnieniu przeładowanej składnicy kamienieckiej, zabytki z niej przewieziono do Bad Landeck, Bad Reinerz i Rückers, czyli do miejscowości, które dziś nazywają się Lądek-Zdrój, Duszniki-Zdrój i Szczytna.

Donjon…

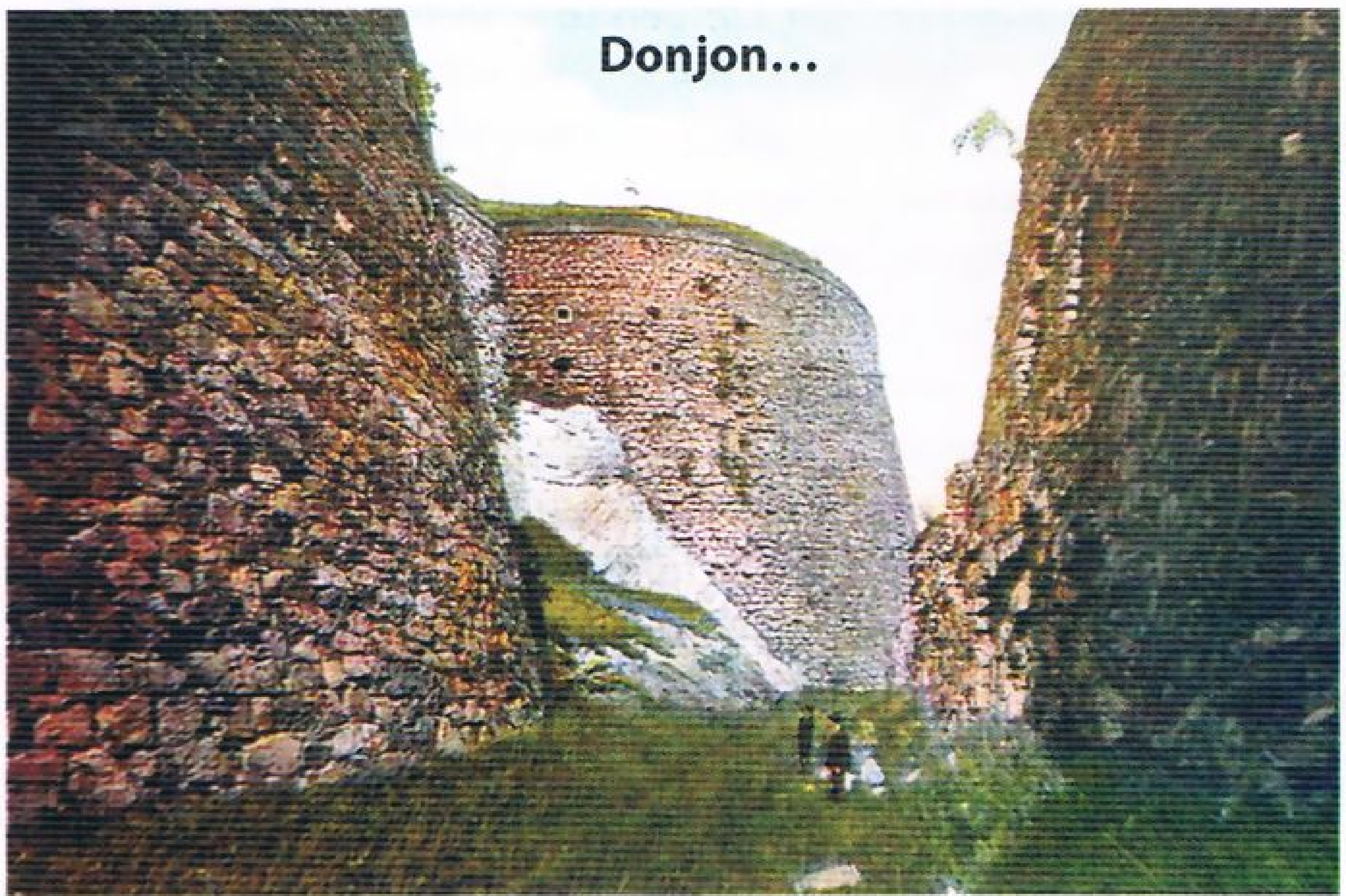

… oraz restauracja w Donjonie twierdzy srebrnogórskiej na podkolorowanej widokówce z początku XX wieku.

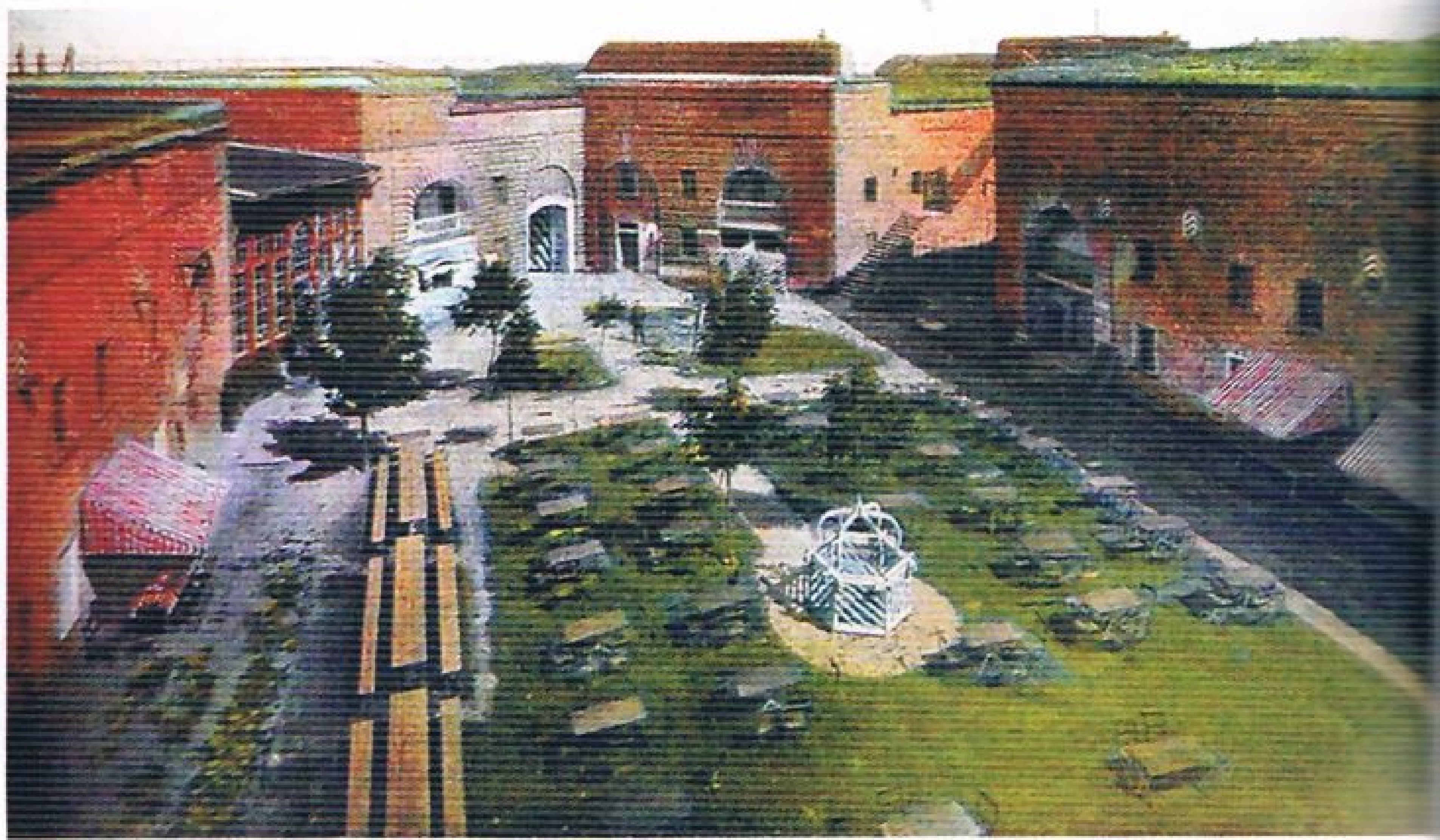

POLEN

FUNDSTÜCK aus der Preußen-Festung Donjon in Silberberg

Goldı

In Niedersc
Begehrt ist

Mindestens zv
Robert Siel
muß der Uhrmac
Feld, treibt es ihr
ge oder tief in scl
kriecht der Chef
gischen Vereins"
klettert steile Fel
in modrigen Seer
nach dem Abent
nach verborgen
Deutschen am E
kriegs in Schlesi
„Seit vier Jahr
in Polen", hat J
torin eines Buch
Schätze, festges
hen bei Breslau
(Walbrzych) od
Gora) mit Spat
mit Metalldetek
linien oder die
trecks ab. Sie filt
Sieben wi
im ame
Gefrag
ist: S
Rek

DIE FESTUNG DONJON (1765–1777): angebliches Ziel von Transporten der Nazis

GEHEIMNISVOLLES FORT

IDEALE VERSTECKE in unterirdischen Gewölben

278

Fragment artykułu „Goldrausch in Schlesien" Gudrun Dometeit i Marii Graczyk zamieszczonego w monachijskim tygodniku „Focus" (nr 36/1996).

Gdy poszukiwacze skarbów rozbijali mury sowiogórskich fortów twierdzy srebrnogórskiej, w Toruniu wybuchła bomba. Mieszkający w tym mieście literat i poszukiwacz skarbów, Włodzimierz Antkowiak, ogłosił publicznie, że interesuje się fortem Ostróg zlokalizowanym po przeciwnej stronie Przełęczy Srebrnej. Właśnie pod tym fortem – mówił mi wczesną jesienią 1995 roku – odkryto nieznane podziemia. Przyczynił się do tego radar geologiczny SIR-3, który w połowie ostatniej dekady XX w. był w Polsce nowością. Posiadał go toruński oddział Polskiej Akademii Nauk, a odkrycie nastąpiło podczas akcji zorganizowanej przez Międzynarodową Agencję Poszukiwawczą (MAP) z siedzibą w Toruniu, na której czele stał właśnie Antkowiak. Na początku lat 90. zasłynął on książką „Nieodkryte skarby" (w oryginale „Nie odkryte skarby", bo takie wtedy obowiązywały zasady pisowni), która rychło zyskała opinię swoistej biblii poszukiwaczy.

W „Głosie Wielkopolskim" z 10/11/12 listopada 1995 r. pisałem: *„O odkryciu w Srebrnej Górze głośno jest już w światku polskich eksploratorów. Niektóre grupy planują nielegalne, a więc bez zgody konserwatora zabytków, wejście do podziemi. O zgodę taką stara się Międzynarodowa Agencja Poszukiwawcza. »Uważam« – mówi szef MAP – »że pierwsi powinniśmy wejść do odkrytych przez nas podziemi. Gdyby nam tego odmówiono, uznalibyśmy to za niesprawiedliwość«".*

Do akcji wkracza prokurator

Włodzimierz Antkowiak nie zamierzał odpuścić. Gdy cytowane wyżej słowa dotarły do czytelników, rozpoczynała się długa batalia prawna szefa MAP o legalną eksplorację w forcie Ostróg. W jej środku, latem 1996 r., zjawiłem się w Srebrnej Górze towarzysząc dziennikarkom: Gudrun Dometeit z niemieckiego magazynu „Focus" i Marii Graczyk z tygodnika „Wprost", którego redakcja znajdowała się wówczas w Poznaniu. Plonem pobytu obu pań na Dolnym Śląsku były wspólnie napisane, chociaż nie identyczne, artykuły: „Goldrausch in Schlesien" i „Skarby Śląska", które w obu tygodnikach ukazały się na początku września tegoż roku. Dometeit i Graczyk pisały m.in.:

„Twierdzę Donjon w Srebrnej Górze od 1991 r. dzierżawi Przemysław Iberle. Na razie wraz ze swoim niemieckim znajomym Martinem Wienckiem rozpoznają teren; dotychczas sprawdzili ok. 45 proc. podziemi. Przed intruzami strzeże ich trzech ochroniarzy i dwa psy. Pochodzący z Górnego Śląska Martin Wiencek ma nadzieję, że są na tropie tajemniczego transportu z 3 marca 1945 r., którego ślad się urywa w Srebrnej Górze. Być może właśnie tymi ciężarówkami przewożono wrocławskie złoto – kilka lub kilkanaście ton sztabek cennego kruszcu i biżuterii. Na razie znalazł niemiecki krzyż, monety i banknoty z okresu wojny. »Ani razu nie wróciłem z Polski z pustymi rękami« – dodaje. Pytany o pozwolenie na poszukiwania, Iberle odpowiada enigmatycznie: »W ramach remontu można dużo zrobić«".

Maria Graczyk, za te słowa, i ja, za podobne, w końcu sierpnia 1996 r. opublikowane w „Głosie Wielkopolskim", zostaliśmy przez poznańską policję, działającą na zlecenie jednej z dolnośląskich prokuratur, przesłuchani jako świadkowie. Domyślaliśmy się, kto złożył zawiadomienie o popełnieniu przez Iberlego przestępstwa. Sprawę – o ile mnie później dobrze poinformowano – umorzono.

Artykuł w monachijskim tygodniku „Focus" sprowadził do Polski ekipę magazynu „Die Reporter" niemieckiej telewizji ProSieben (PRO7, jedna z największych komercyjnych stacji telewizyjnych w Niemczech). Niemcy przyjechali licząc, że na własne oczy zobaczą i na magnetycznej taśmie wizyjnej utrwalą moment odkrycia urządzonej przez hitlerowców w Silberbergu skrytki. Odkrycia jednak nie było. Wojewódzki Konserwator Zabytków w Wałbrzychu nie cofając Międzynarodowej Agencji Poszukiwawczej zgody na poszukiwania na Ostrogu, stwierdził, że próba dotarcia do podziemi nie może się odbyć, ponieważ… nie ma kogo wysłać do Srebrnej Góry. A obecność przedstawiciela konserwatora podczas końcowego etapu prac eksploracyjnych jest wymagana, w celu choćby zabezpieczenia ewentualnego znaleziska.

W obiektywie kamery ProSieben

Ekipa telewizyjna magazynu „Die Reporter" nie wróciła do Niemiec z niczym, a to, co zarejestrowano w Srebrnej Górze i okolicach tej wioski, obejrzeli widzowie ProSieben w wielu państwach. Dowiedzieli się, że na Dolnym Śląsku działają liczne grupy poszukiwaczy skarbów, ukrytych tu przez Niemców na krótko przed wkroczeniem na te ziemie Armii Czerwonej. Usłyszeli także rozmowę z mieszkańcem Srebrnej Góry – autochtonem, który opowiadał o konwoju ciężarówek z marca 1945 r. i środkach bezpieczeństwa podjętych przez Niemców na czas przejazdu samochodów. Niemiecka ekipa telewizyjna zarejestrowała również poszukiwania zamaskowanych podziemi na Ostrogu, za pośrednictwem georadaru, oraz próbę penetracji wąskiego i niskiego korytarza, wiodącego ze stoku góry Ostróg w kierunku fortu. Prowadzący program dr Wal-

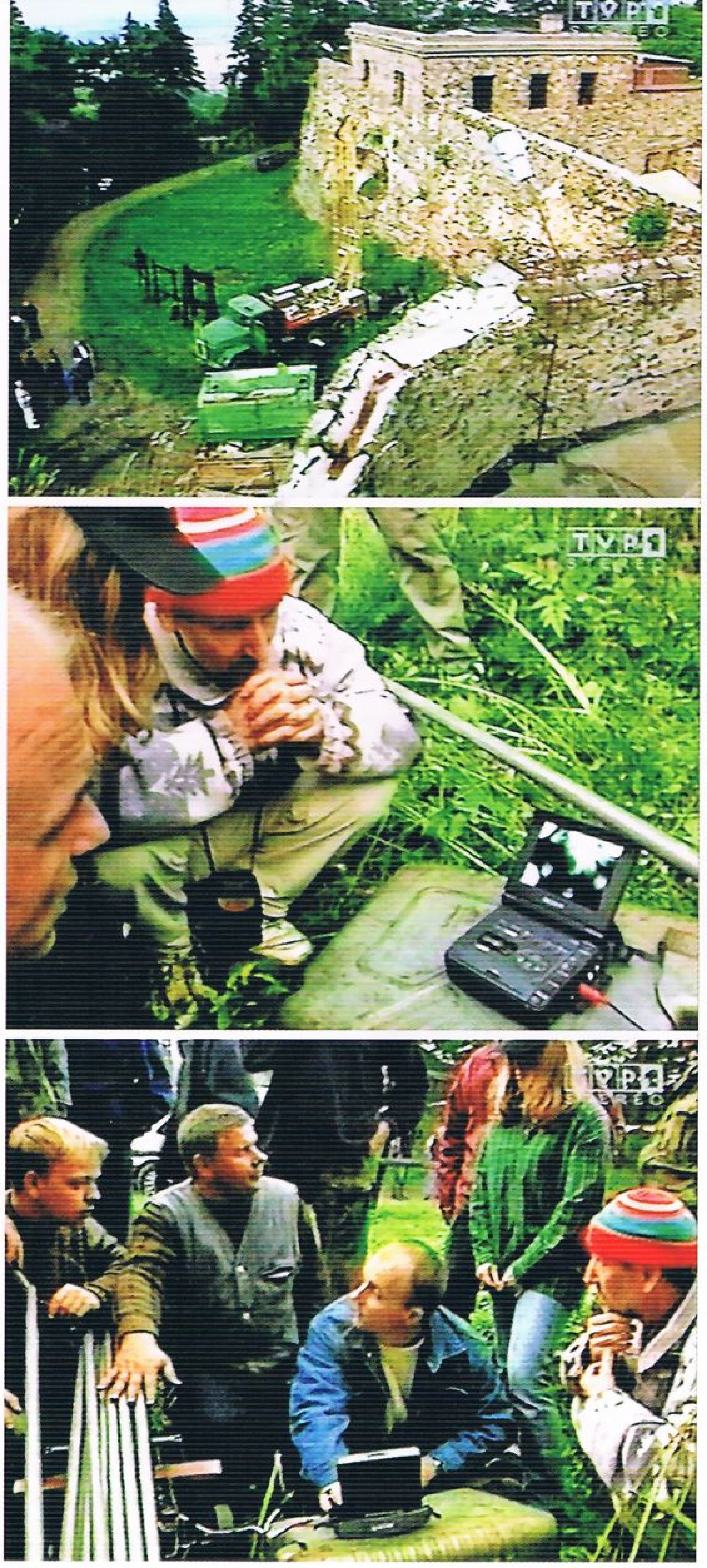

Akcja poszukiwawcza na Ostrogu we wrześniu 2001 roku. Kadry z filmu dokumentalnego TVP „Zagadka Srebrnej Góry".

ther Ziegler przeprowadził też krótkie rozmowy z Antkowiakiem i towarzyszącym mu Radosławem Biczakiem, który wprawdzie nie został przez Niemców przedstawiony z nazwiska, ale z ekranu poznałem postać późniejszego dziennikarza „Odkrywcy" z pierwszego okresu działalności miesięcznika. *„To jest nasza pasja. Poszukiwania są mieszanką ryzyka i tajemnicy"* – mówił Biczak. A szef MAP dodał: *„Nigdy nie przestaniemy szukać"*.

Zbierając materiały do tej publikacji, natrafiłem też na zamieszczony w „Głosie Wielkopolskim" 7 czerwca 2001 r. mój artykuł pt. „Komory pod fortem Ostróg". Przypomniałem w nim trwającą już kilka lat batalię Antkowiaka o legalną eksplorację na górze noszącej tę nazwę, wspominając nie tylko wskazane przez georadar podziemia, ale także dużą komorę podziemną o długości prawie 40 m, szerokości 20 i wysokości dochodzącej miejscami do 7 m, przypadkowo odkrytą u podnóża góry Ostróg. Po raz kolejny cytowałem również Antkowiaka, który mówiąc o wskazanych przez georadar podziemiach, powiedział: *„One nie są puste. Tam coś jest! Co? Tego georadar nie pokaże. Może to być gruz, urobek skalny, ale może…"*.

Znakomicie wiedziałem, co ma na myśli. Antkowiak nie brał chyba pod uwagę jeszcze innej ewentualności. Trzy miesiące po opublikowaniu artykułu „Komory pod fortem Ostróg" wszystko miało się wyjaśnić.

Dzień Świętego Wawrzyńca

5 września 2001 roku, a więc w Dzień Świętego Wawrzyńca – tradycyjnego patrona poszukiwaczy skarbów – rozpoczęła się w Srebrnej Górze długo oczekiwana akcja eksploracyjna. Chyba wszyscy jej uczestnicy oczami wyobraźni widzieli już wyciągane z podziemnej skrytki skrzynie, ozdobione hitlerowską „gapą", a w nich sztaby złota, pozłacane monstrancje i tym podobne skarby. Do pomocy MAP ściągnęła nieco przypadkowy zespół ludzi z całego kraju, wśród których bodaj najwięcej pochodziło z Poznania. Ze stolicy Wielkopolski przyjechali m.in. Paweł Piątkiewicz ze Stowarzyszenia „Perkun" i współpracujący z nim Zygmunt Adamski, szef firmy PIRO-NUR. Całą akcję sfilmowała ekipa Telewizji Polskiej,

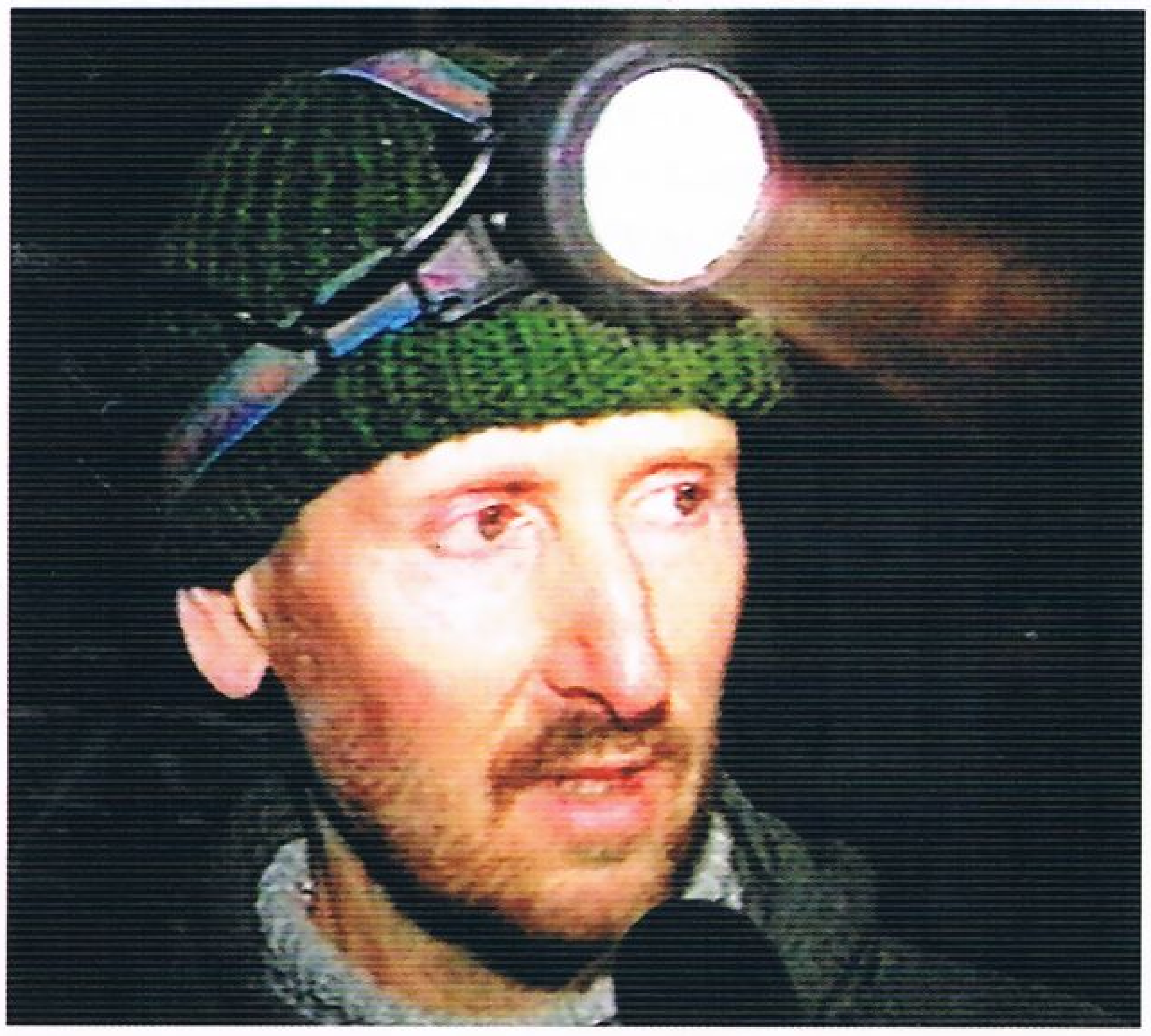

Włodzimierz Antkowiak w Srebrnej Górze skarbów nie znalazł. Kadr z programu „Die Reporter" niemieckiej telewizji ProSieben z 1996 roku.

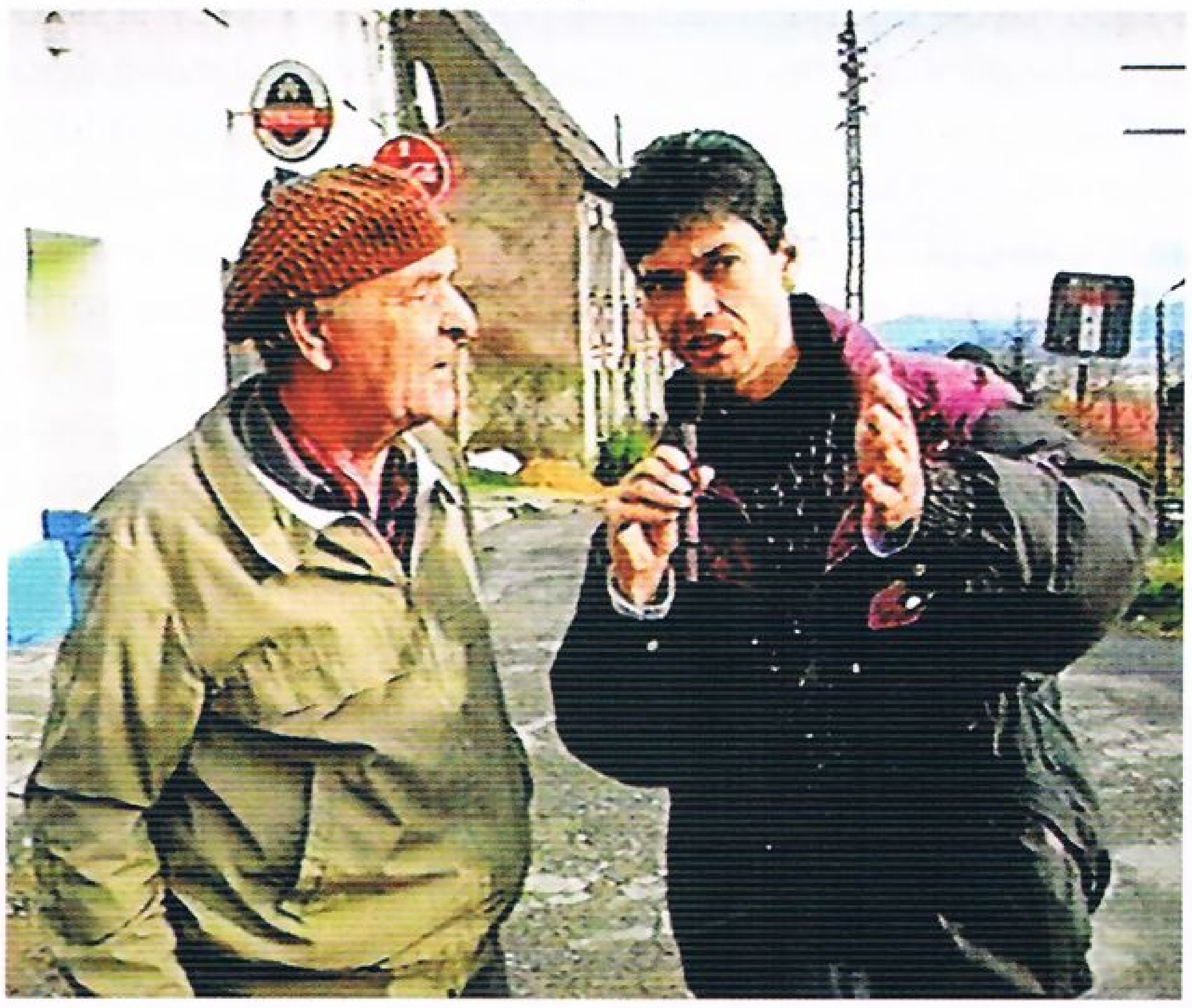

Doktor Walther Ziegler rozmawia z mieszkańcem Srebrnej Góry o konwoju ciężarówek z marca 1945 roku. Kadr z programu „Die Reporter" niemieckiej telewizji ProSieben z 1996 roku.

która pod kierownictwem Piotra Koziarskiego i Piotra Kusznieruka zrealizowała film dokumentalny „Zagadka Srebrnej Góry". Widzowie pierwszego programu telewizji publicznej mogli więc obejrzeć poszczególne etapy dwudniowych prac: wiercenia u podnóża góry Ostróg, szczegółową penetrację podziemnej hali oraz prace pod szczytem Ostrogu, przed znajdującym się tam fortem. Eksploratorzy nie weszli na teren zabytkowego fortu, ale przed nim przeprowadzili badania bezinwazyjne, za pomocą sprzętu dostarczonego przez firmę Zygmunta Adamskiego, w celu ustalenia przebiegu zachowanego w niezłym stanie tuneliku. Przeprowadzono też jedno pionowe wiercenie, a w otwór wprowadzono kamerę. Na ukryte skarby nie natrafiono…

Patrząc na ekran małego monitora Włodzimierz Antkowiak nie miał wesołej miny, co widać było w „Zagadce Srebrnej Góry". Jakby nie wierzył w to, co widzi na monitorze. I taka reakcja jest zrozumiała. Tyle lat przygotowań, użerania się z urzędnikami i nic.

W wydanej w 2002 r. książce „Podziemia i wody kryją skarby", w której szczegółowo opisał akcję w twierdzy srebrnogórskiej, kilkakrotnie pojawia się słowo „pokora": *„Początkiem poszukiwań stały się wiercenia u podnóża góry Ostróg – i to była właśnie lekcja pokory"*, albo: *„Praktyka poszukiwań uczy pokory"*.

Paweł Piątkiewicz twierdzi, że już pierwsze wyniki badań georadarowych zostały źle zinterpretowane. Ogromny blok kwarcu wzięto za podziemne wyrobisko. Konsultant naukowy całego przedsięwzięcia, mjr dr Piotr Rozwadowski, zwrócił też uwagę, że przed przystąpieniem do tak poważnej akcji należało lepiej przygotować się merytorycznie, przede wszystkim zaś dobrze poznać historię fortu Ostróg. Georadar pokazał bowiem te jego fragmenty, które – zdaniem Piątkiewicza – wiele lat temu, jako nieprzydatne do celów obronnych, zostały zasypane lub częściowo rozebrane, a zinterpretowano je jako ukryte pomieszczenia.

Zamiast zakończenia

W filmie „Zagadka Srebrnej Góry" pojawia się krótki komentarz, że zorganizowana przez Włodzimierza Antkowiaka akcja na Ostrogu zakończyła się częściowym sukcesem. Faktycznie zaś zakończyła się niepowodzeniem lub… pełnym sukcesem, jeśli za sukces uznamy ostateczne wyeliminowanie tego śladu. Na Ostrogu nie ma i nigdy nie było żadnych skarbów w tym znaczeniu, jakie wymarzyli sobie poszukiwacze.

Ćwierć wieku eksploracji w całej twierdzy srebrnogórskiej, legalne, nielegalne i półlegalne (pod pretekstem remontu) penetracje w sowiogórskich fortach twierdzy nie naprowadziły na najmniejszy nawet ślad rzekomo przywiezionych tu w marcu 1945 r. skarbów. Pozostaje jeszcze ów konwój ciężarówek, który mieli widzieć świadkowie. Nikt nigdy nie natrafił na jakikolwiek dokument w tej sprawie, także w postaci zeznania jeńca kierowcy ciężarówki, czy żołnierza z eskorty konwoju. Te fakty, jak i brak jakichkolwiek innych faktów nie przeszkadzają kolejnym pokoleniom szukać nie tyle wiatru w polu, co ukrytych w twierdzy mitów.

ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCH. AUTORA.

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor prawie 20 cieszących się sporym zainteresowaniem czytelników książek o tajemniczych zdarzeniach z czasów II wojny światowej. Najnowszą książką tego Autora jest, wydana nakładem Repliki, pozycja pt. „Poligon. Sensacje z Kraju Warty".

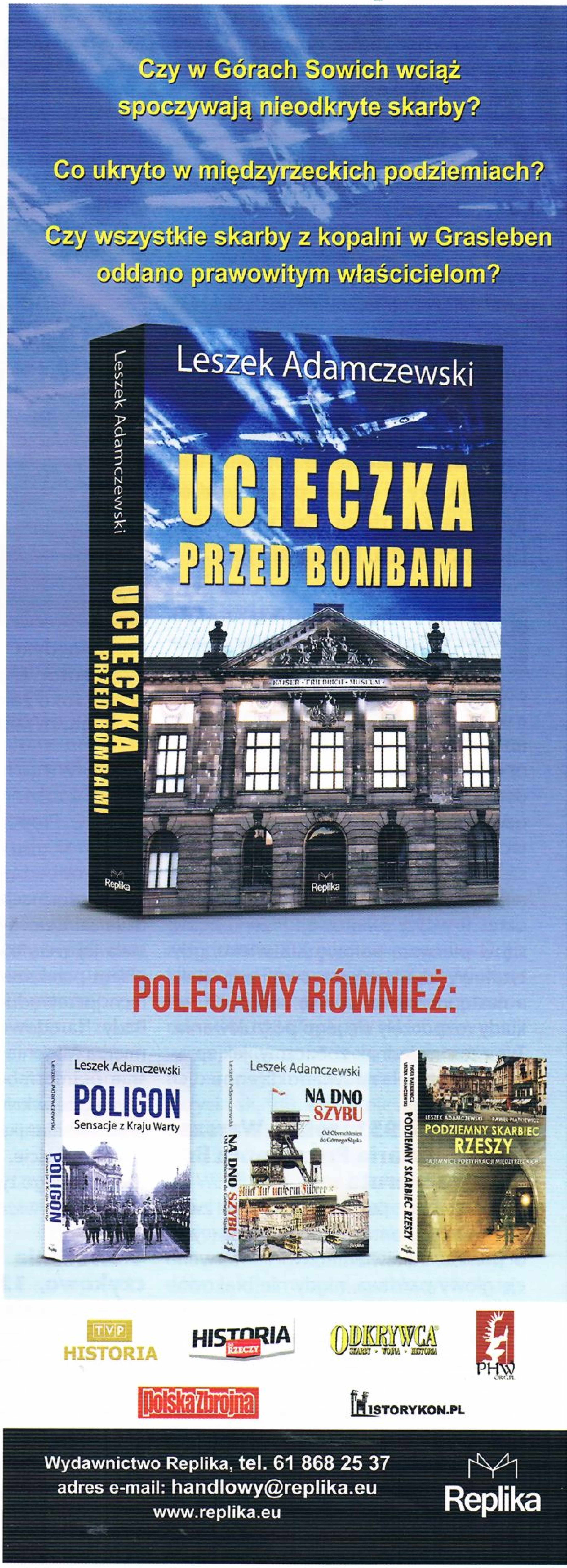

Bogactwo w cieniu ubóstwa, czyli tajemnica lubińskich mnichów…

PIOTR MASZKOWSKI

Być może sprawą tą, pomiędzy kolejnymi polowaniami, osobiście zainteresował się sam Bierut. W każdym razie informacja o skarbie ukrytym w podziemiach lubińskiego klasztoru, wpłynęła do jego kancelarii. Jakiś czas potem Rada Państwa zleciła jej ponowną weryfikację. Czy w wyniku przeprowadzonych wówczas działań udało się dokonać jakiegoś odkrycia? Przekonajmy się…

Historia ta odtworzona została z treści notatek, raportów i korespondencji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z lat 1951-1954, a więc okresu stalinizmu i terroru komunistycznego w Polsce. Jednak chronologicznie materiały te stanowią jedynie przyczynek do zasadniczej części opowieści, która zaczyna się znacznie wcześniej. Tym razem bowiem cofniemy się w czasie dużo dalej niż zwykle i, co nietypowe, ominiemy szerokim łukiem okres II wojny światowej. Przeniesiemy się w pierwszą połowę XIX wieku, gdy tytułowy skarb bierze swój początek, a następnie w końcówkę lat 20. XX w., kiedy rozpoczęły się jego poszukiwania. Tymczasem jednak zobaczmy, jak sprawa ta wypłynęła na światło dzienne…

Sierpień 1951 roku, Warszawa, Kancelaria Prezydenta Bolesława Bieruta

Codzienna paczka listów jak zwykle była ogromna. Ludzi proszących o pomoc, wstawiennictwo i interwencję głowy państwa, nigdy nie brakowało. Wśród nich znalazła się również intrygująca korespondencja, która nadeszła od niejakiej Jadwigi Gomól z Puszczykowa w województwie poznańskim. Zawierała niezwykle interesującą, a zarazem jak się wydawało intratną ofertę. Kobieta bowiem twierdziła, iż dysponuje planem ukrycia w podziemiach klasztoru OO. Benedyktynów w Lubiniu znacznego majątku, zabezpieczonego przez zakonników jeszcze w czasach zaborów. Proponowała pomoc w odnalezieniu skarbu i przekazanie go na potrzeby odbudowującego się po wojnie kraju. Informacja ta najwyraźniej wzbudziła zainteresowanie, gdyż zlecona została jej weryfikacja. Sprawę wraz z odpisem przekazano niedługo później na ręce przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu, Włodzimierza Migonia (1950-1953). Jednocześnie poinformowano pisemnie nadawczynię, że wkrótce ma się spodziewać jego wysłannika, który skontaktuje się z nią osobiście. Jednak wówczas żadne działania tego typu nie mogły się obejść bez udziału wszechwładnej bezpieki…

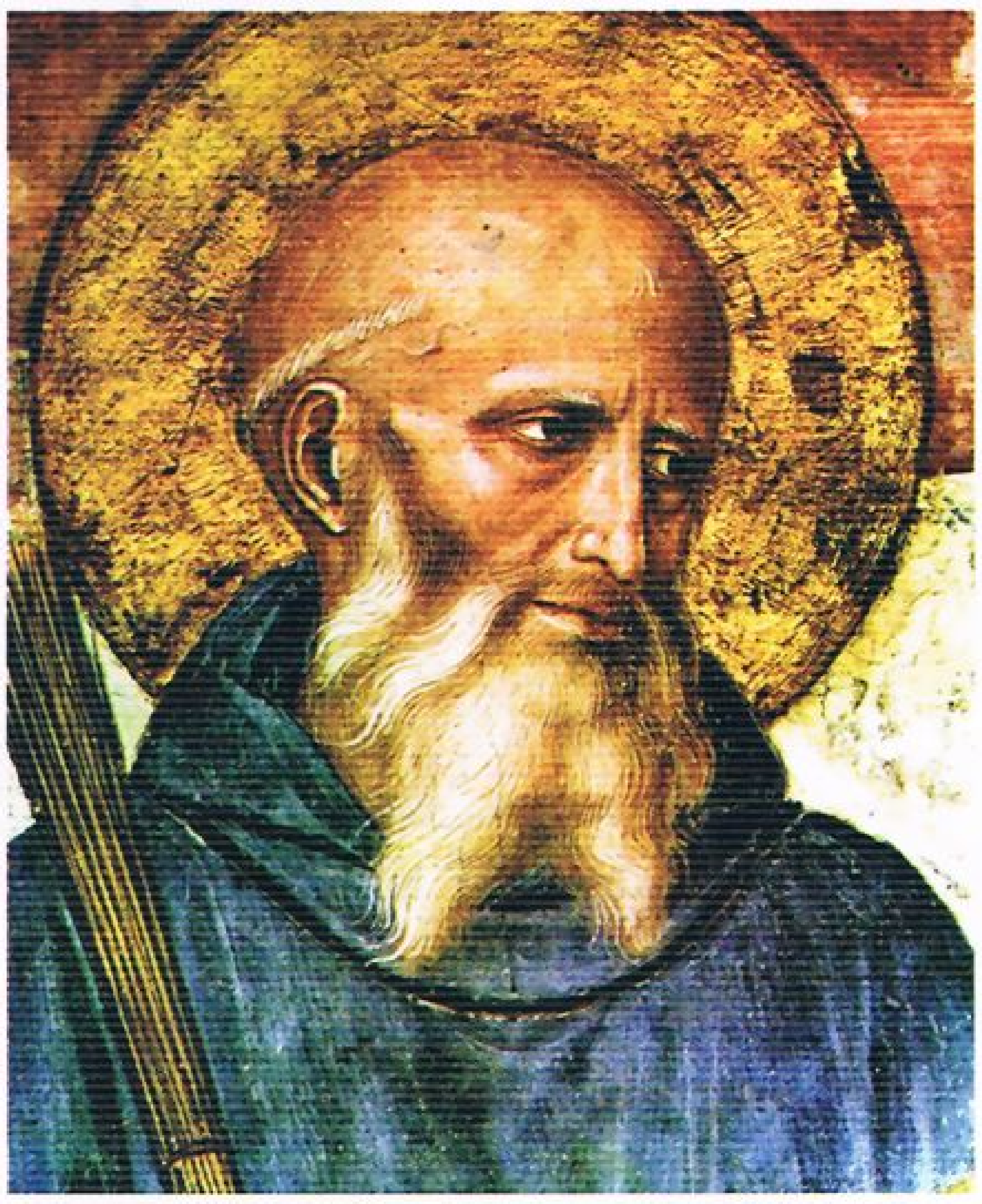

Św. Benedykt z Nursji, według tradycji autor reguły benedyktyńskiej. W 529 roku założył pierwszy klasztor na wzgórzu Monte Cassino.

4 września 1951 roku, Puszczykowo, 12 km na południe od Poznania

Tego dnia Jadwiga Gomól, pracownica miejscowej Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska, wróciła do domu nieco wcześniej niż zwykle. Gdy krzątała się po kuchni, szykując obiad, usłyszała dzwonek do drzwi. Gdy je otworzyła, ujrzała stojącego przed nimi, schludnie ubranego mężczyznę. – *Dzień dobry towarzyszko* – rzekł uprzejmym tonem funkcjonariusz Wydziału V (Kontrola Organizacji Politycznych, Społecznych i Kościelnych) Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu, mł. referent, Seweryn Woźniak.

– *Przysyła mnie Kancelaria Prezydenta RP, jak się towarzyszka domyśla, w wiadomej sprawie* – podkreślił konfidencjonalnie.

Jednak wbrew jego oczekiwaniom, prezentacja ta nie wzbudziła entuzjazmu rozmówczyni. Kobieta zmarszczyła brwi, przymrużyła oczy i jedynie pokiwała głową z wyraźną dezaprobatą. Po chwili krępującego milczenia odezwała się do nieco zdezorientowanego ubeka.

– *Wie towarzysz co? A mi się wydaje, że wcale nie jest towarzysz z Warszawy, tylko z Poznania. Dostałam list i w nim było wyraźnie napisane, że zgłosi się do mnie ktoś z Wojewódzkiej Rady Narodowej od samego przewodniczącego Migonia. Coś więc nam się tu nie zgadza, a może się mylę?*

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Funkcjonariusz bliski był bowiem zdekonspirowania, zebrał się jednak w sobie i pewnym głosem zaczął tłumaczyć nieporozumienie: – *Ależ pani Jadwigo, po co te nerwy. Proszę, oto odpis pani własnoręcznego listu, a tu jest dowód, że jestem członkiem WRN* – powiedział, wyciągając kopertę i legitymację kolejową, potwierdzającą rzeczywiście ten fakt. Dodał jednocześnie nieco przyciszonym głosem: – *Proszę wybaczyć, ale nie mogłem tak od razu się przedstawić, bowiem moje stanowisko nie jest do końca jawne. Zdradzam więc pewną tajemnicę i proszę o dyskrecję oraz zachowanie jej wyłącznie dla siebie. W istocie jestem pracownikiem Wojewódzkiej Rady Narodowej do spraw specjalnych i ściśle tajnych, załatwiając sprawy, którymi interesuje się wyłącznie sam Przewodniczący*. Gospodyni uważnie przyjrzała się legitymacji, spoglądając wnikliwie to na zdjęcie, to na stojącego przed nią osobnika. W końcu, najwyraźniej się odprężyła i nabrała do niego zaufania. Na tyle, że za-

Dawna siedziba Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu, obecnie Komenda Wojewódzka Policji.

Kościół św. Leonarda w Lubiniu.

prosiła do pokoju i wskazała kanapę, by spoczął. Proponując herbatę, rozpoczęła swoją opowieść.

Lubiń pow. Kościan rok 1929

Wiele lat wcześniej, na długo przed wojną, pani Jadwiga pracowała jako prywatna nauczycielka córki dzierżawców miejscowego majątku, niejakich Koralewskich. Administrował nim agronom, Józef Walter, z którym blisko się zaprzyjaźniła, choć trudno powiedzieć, czy łączyło ich coś więcej. W każdym razie mężczyzna darzył ją pełnym zaufaniem. Powierzył jej bowiem niezwykłą tajemnicę, którą próbował od lat rozwikłać. Wymagało to jednak od niego pewnych nakładów finansowych, a niestety, mimo dobrej posady, długo nie był w stanie odłożyć odpowiedniej kwoty. Jak wspominała pani Jadwiga, od dłuższego czasu widać było, że coś go wyraźnie trapi. Długo jednak nie chciał zatroskanej kobiecie zdradzić, czym całymi dniami wyraźnie się zadręcza. Któregoś wieczora, podczas wspólnej kolacji, dość niespodziewanie się otworzył. Opowiedział jej wówczas niezwykłą historię.

Okazało się, że kilka lat wcześniej jego umierający ojciec, na łożu śmierci, przekazał mu skrywany przez całe życie sekret – sekret skarbu Benedyktynów z pobliskiego klasztoru, którzy w obliczu kasaty ich majątku przez władze pruskie, postanowili uratować najcenniejsze jego elementy i ukryć w średniowiecznych podziemiach.

Nie była to jednak tylko opowieść, bowiem wraz z nią – w swoistym spadku – Józef Walter miał otrzymać również (pogrubienia P. M.) *„wyrysowany na papierze /pergamin/* ***plan*** *korytarzy/, klasztoru i okolic, gdzie znajduje się rzekomy* ***skarb*** *oraz pismo, w którym opisana była przyczyna ukrycia skarbu i zalecana ze względu na* ***wielką wartość*** *konieczność jego odnalezienia"*. Całość zaś miała zostać sporządzona i opracowana przez brata stryjecznego ojca – bezpośredniego uczestnika opisywanych wydarzeń – Benedyktyna z lubińskiego klasztoru…

100 lat wcześniej…

Klasztor Benedyktynów w Lubiniu, niegdyś potężny i bogaty, na początku XIX wieku był już tylko cieniem swej dawnej świetności, budowanej tu od niemal ośmiu stuleci przez pracowitych mnichów. Ich liczne dobra i rozległe włości, podobnie jak i innych zakonów, padły wówczas łupem pruskiej polityki sekularyzacyjnej, polegającej na podporządkowaniu ewangelickim władzom kościoła katolickiego, stopniowego ograniczania jego przywilejów i praw, a w końcu konfiskaty majątków. Problemy zaczęły się niedługo po II rozbiorze Polski, gdy Lubiń znalazł się w granicach Królestwa Prus. W 1795 roku nowe władze nałożyły na opactwo pierwsze ograniczenia, m.in. obowiązek uzyskiwania pozwoleń państwowych na przyjęcie kandydatów do nowicjatu i zakaz wstępowania do klasztoru obcokrajowców. Po kolejnych dwóch latach zaborca skonfiskował dobra klasztorne i opackie. Lecz wciąż był to zaledwie początek zbliżającej się katastrofy.

„Ogołocenia i spustoszenie klasztoru odbywało się w dalszym ciągu. Tak w r. 1816 zabronił rząd nawet krajowców przyjmować do nowicyatu, skazując tem samem klasztor na wymarcie. I wymarło powoli szczupłe grono zakonników, tak, iż w końcu tylko trzech pozostało" – pisał na łamach wydanej w 1915 roku broszury na temat dziejów lubińskiego klasztoru ks. Antoni Jezierski, proboszcz miejscowej parafii, w oparciu o zachowane i dostępne mu źródła. *„Z trzech ostatnich zakonników został ks. Szulczewski wybrany przeorem (ostatnim), ks. Kukawski podprzeorem, a ks. Wojciechowski poszedł na probostwo do Starego Gostynia. Rząd skonfiskowawszy już dawniej dobra klasztorne, zabrał w r. 1836 resztę majątku, wynoszącego w gotówce 39221 talarów, 8 srb. i 5 fen. (…). Potem przyszła kolej na bibliotekę i archiwum, na które rząd już pod koniec r. 1835 rękę położył. (…) A gdy tak na wszystkie strony rozrywano szaty klasztorne, rozdzielano także aparaty i sprzęty kościelne pomiędzy rozmaite parafie. (…) Samych ornatów, jak wykazują akta kościelne, rozdano 46, prócz tego kapy, monstrancye, kielichy, lichtarze, mnóstwo bielizny kościelnej i najrozmaitszych przyborów potrzebnych do służby bożej. Ogołocono więc klasztor bez miłosierdzia (…) tak, że zaledwie mszę św. można było odprawić w bogatej niegdyś świątyni benedyktyńskiej"*. Wreszcie w roku 1845 utworzona została w Lubiniu parafia protestancka, która przejęła gotycki kościół parafialny św. Leonarda, zaś pozostałe średniowieczne budynki klasztorne Prusacy wysadzili przy pomocy materiałów wybuchowych na przełomie 1846 i 1847 roku. W takich oto mniej więcej okolicznościach, rozpoczyna się najbardziej interesująca nas historia ukrycia skarbu, której niestety, potwierdzenia na próżno szukać w jakimkolwiek źródle z epoki.

Według relacji pani Jadwigi przekazanej jej przez Józefa Waltera, ostatni Benedyktyni z Lubinia wcale nie przyglądali się biernie konfiskacie klasztornych dóbr, jak już wiemy, grabionych systematycznie przez Prusaków. Postanowili część z nich zabezpieczyć i ukryć najcenniejsze przedmioty (*„złoto i pieniądze"*), pochodzące z okolicznych majątków i parafii. W tym celu mieli wykopać, a raczej wykuć, w głównym krużganku podziemnym, prowadzącym z klasztoru do kaplicy, komory boczne, i tam potajemnie złożyć cenny depozyt.

Skrytka na kilka dekad została zapomniana, a brat stryjeczny ojca Józefa Waltera, zakonnik, nigdy nie podejmował prób odzyskania skarbu, ale wiedzę na jego temat przekazał swemu krewnemu, jeszcze w czasie trwania zaboru pruskiego. Oczywiście w wielkiej konspiracji, bowiem gdyby władze niemieckie dowiedziały się o skrywanym depozycie, z pewnością zainteresowałyby się jego wydobyciem. Tym samym, ojciec Waltera dopiero w momencie odzyskania niepodległości w 1918 roku zaczął poważnie myśleć o przeprowadzeniu poszukiwań, lecz długi czas nie mógł zebrać odpowiednich funduszy. Ze względu na wiek i stan zdrowia nigdy już nie dane mu było tego uczynić. Przekazał więc swoją wiedzę na ten temat synowi.

Lubiń... lata 20, lata 30

Jak wiemy, również Józef Walter długo nie był w stanie zdobyć odpowiednich na ten cel środków finansowych. Tymczasem do Lubinia w 1923 roku, po niemal wieku nieobecności, zaczęli powracać Benedyktyni, tworząc zalążki nowej wspólnoty praktycznie od podstaw, bo klasztor został, jak wiemy, wysadzony przez Prusaków. Pierwszy przeor klasztoru, przybyły z Czech Linus Prochaska, szybko doprowadził do budowy nowego obiektu. Prace przy nim trwały pomiędzy majem 1928, a listopadem 1929 roku, kiedy został ukończony i podczas doniosłej uroczystości poświęcony przez księdza prymasa Polski Edmunda Dalbora. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie Józef Walter, zapewne korzystając z okazji, jak opowiadała pani Jadwiga, *„wynajął kilku robotników, którym polecił kopać w miejscu rzekomego wejścia do ganku podziemnego. Na głębokości kilku metrów natrafiono na fundamenty domu, z którego schodziło się do podziemia. W tym czasie zaczęła występować woda zaskórna i zalała wykopane miejsca. Zaczęła zbliżać się zima. Walter z braku funduszy i z powodu trudności przerwał poszukiwania"*.

Niepowodzenia te z pewnością okazały się zniechęcające, a cała sprawa nie tak prosta jak się wcześniej wydawało. Mimo w miarę precyzyjnego planu i wskazówek dotarcia do komór zawierających depozyt, zlokalizowanie właściwego miejsca w zalanych podziemiach, stanowiło poważny problem zarówno natury technicznej, jak i organizacyjnej. Józef dość szybko zrozumiał, że bez odpowiedniego wsparcia, nie ma większych szans na odkrycie swojego skarbu. Dlatego też postanowił ujawnić swoją wiedzę zakonnikom, jak i władzom państwowym.

zdarzyło się...

28 II 1952 r.

63 lata temu w więzieniu mokotowskim w Warszawie został stracony niemiecki zbrodniarz wojenny Albert Forster, były nazistowski Namiestnik Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Obok Ericha Kocha, gauleitera Prus Wschodnich, i Arthura Greisera, namiestnika Kraju Warty, był trzecim najwyższym rangą dygnitarzem nazistowskim, który stanął przed polskim wymiarem sprawiedliwości. W czasie II wojny światowej kierował hitlerowskim aparatem represji skierowanym przeciwko Polakom zamieszkującym tereny Pomorza Gdańskiego, również z jego inicjatywy powstał w Sztutowie obóz koncentracyjny KL Stutthof. Osądzony wyrokiem Najwyższego Trybunału Narodowego i skazany na śmierć w 1948 roku, na jego wykonanie oczekiwał 4 lata. Podobnie jak jego partyjni koledzy do końca liczył na złagodzenie wymiaru kary. Jego nadzieje okazały się płonne, choć istnieją pewne teorie, że przeżył sfingowaną egzekucję, dożywając w Związku Radzieckim późnej starości.

„Gdy w następnym roku chciał wznowić poszukiwania – wspominała pani Jadwiga – *postawiono go przed faktem wypłacenia 60% wartości znalezionego skarbu państwu, 30% zakonowi Benedyktynów, ponieważ to była ich ziemia, pozostałe zaś 10% miał otrzymać Walter. Takie warunki i wyjazd zmusiły go do zaniechania poszukiwań skarbu. Gdy Walter wyjeżdżał, przeor zakonu, ojciec Prochaska, Czech z pochodzenia, OO. Ostrowski i Dąbrowski chcieli koniecznie kupić plan, jednak Walter Józef odmówił im sprzedaży"*.

Trudno powiedzieć dlaczego ta, stosunkowo uczciwa oferta, nie została przez niego przyjęta. Tym bardziej, że ukrycie majątku Benedyktynów z Lubinia miało na celu zabezpieczenie przed zagarnięciem przez władze pruskie. Cel ów został osiągnięty, Polska była już od dekady niepodległa, a i zakonnicy wrócili po latach na swe stare włości, co więcej, proponując w dodatku odkupienie planów. Być może zawładnęła nim wizja bogactwa i „skarbowa gorączka", chociaż mogła o tym również zadecydować wspomniana konieczność wyjazdu z Lubinia. Tak czy inaczej, wolał przekazać kopię posiadanych przez siebie materiałów... pani Jadwidze.

„Wręczył mi ją i powiedział, że gdy on nie wróci i nie będzie miał pieniędzy na poszukiwania, wtedy ja mam poszukiwać skarbu".

Kobieta potraktowała powierzoną przez agronoma misję bardzo poważnie. *„Jak sobie przypominam, to w poszukiwaniach brał udział znany studniarz ze Żnina, ob. Szarke. Posiadał on różdżkę, która wskazywała na wodę lub próżnię w ziemi. Postawiony na miejscu rzekomego wejścia do podziemia, różdżkarz, szedł po linii wykazanego na planie ganku i doszedł do kaplicy, gdzie wg planu miało się znajdować wejście. Ja osobiście zainteresowana tym, byłam kilka razy w podziemiach klasztoru. Opukiwałam tam ściany, w celu poszukania próżni. Robiłam to dlatego, ponieważ w liście jaki otrzymał Walter od ojca, było napisane, że z podziemi klasztoru jest także wejście do korytarza. Niektóre miejsca wskazywały na próżnie, jednak ze względu na wielkość głazów i kamieni, z których był budowany fundament kaplicy, nie mogłam ich odwalić, na co nie zgodził się przeor klasztoru. Również na murze otaczającym klasztor, w miejscu, gdzie na planie przecina go rzekomy korytarz, można zauważyć inny skład kilku cegieł. Ja również, ze względu na trudności jakie mi były stawiane i brak funduszów, nie przystąpiłam do poszukiwania"*.

Nigdy jednak o skarbie nie zapomniała. Z Józefem, który przeniósł się do Zbęcewa, a następnie Pleszewa, utrzy-

mywała kontakt do wybuchu wojny, a po jej zakończeniu długo nie wiedziała, czy w ogóle ją przeżył. Dopiero na początku lat 50. dowiedziała się, że przetrwał, i podobno zarządza dużym gospodarstwem w okolicach Szamotuł.

Puszczykowo–Poznań–Warszawa. Rok 1951 i 1954

Pani Jadwiga kończyła powoli swoją opowieść. Za pokwitowaniem przekazała *„referentowi do spraw specjalnych”* odpis oryginalnego planu ukrycia skarbu, jednocześnie zaznaczając, że jeżeli nikt nie odezwie się do niej ponownie w ciągu 10 najbliższych dni, osobiście skontaktuje się z przewodniczącym WRN w Poznaniu, Migoniem. Ubek wkrótce po powrocie do urzędu rozpoczął opracowanie raportu dla swoich przełożonych. Długo zastanawiał się nad wiarygodnością opowieści, którą usłyszał. Najwyraźniej miał w tej kwestii spore wątpliwości:

„Powyższą sprawę ob. Gomol opowiadała w b. legendarny sposób, przytaczała różne wypowiedzi medium i starych ludzi odn. palących się na polu ogni, gdzie wg starych opowiadań ma być zakopane złoto. Z rozmowy z ob. Gomol wynikało, że jest ona przekonana, że państwo poczyni jakieś kroki w kierunku poszukiwania rzekomego skarbu, a ona dlatego że zna te miejsca i czyniła już pewne poszukiwania, będzie udzielała różnych rad i wskazówek. Wyraziła nawet chęci porzucenia dotychczasowej pracy i branie udziału w poszukiwaniach”.

Co się wydarzyło później? Trudno ze względu na brak materiałów ustalić. Jednak to nie koniec tej sprawy, bowiem nieoczekiwanie miała ona swój ciąg dalszy trzy lata później.

16 czerwca 1954 roku ppłk M. Janicki, Naczelnik Wydziału IV Departamentu Ogólno-Administracyjnego MBP w Warszawie, przesłał, na wyraźne polecenie Rady Państwa, odpis listu Jadwigi Gomól *„w sprawie ukrytych rzekomo skarbów w podziemiach zlikwidowanego w okresie rozbiorów Polski Klasztoru OO. Benedyktów w Lubiniu pow. Kościan”* oraz *„plan klasztoru, na którym wyznaczone było miejsce przechowania kosztowności”* do szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu, kapitana Emila Niemirowskiego. Materiały te niedługo później zostały przekazane do Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej *„celem podjęcia ewentualnych poszukiwań”*.

Czy zostały one podjęte?

21 czerwca 1954 roku nastąpiło ponowne przesłuchanie Jadwigi Gomól. Rozmowa ta nie wniosła do sprawy niczego nowego. Co ciekawe, notatka z niej zawiera identyczne zapisy i wnioski, jak sformułowane w raporcie sporządzonym trzy lata wcześniej, w 1951 roku. Jedynym właściwie novum jest informacja, że Józef Walter przeżył wojnę, i tuż po niej administrował gospodarstwem, zapewne tym razem już państwowym, gdzieś nieopodal Szamotuł. Sporządzający ją funkcjonariusz 9 lipca 1954 roku napisał: *„Sprawa powyższa, naszym zdaniem, wygląda bardzo zagadkowo i raczej będzie legendą, gdyż dziwnym wydaje się, aby przed 1939 rokiem władze sanacyjne wiedząc o tak wartościowym skarbie – nie poczyniły kroków w celu odnalezienia go”.*

Powyższe informacje zostały następnie wysłane do st. Inspektora Sawickiego w Gabinecie Szefa Urzędu Rady Ministrów i zapewne tam utknęły, nie wzbudzając już dalszego zainteresowania. W każdym razie do tej pory nie udało się natrafić na dokumenty, które świadczyły by inaczej. Wątpliwe jest również, aby bezpieka podjęła jakiekolwiek czynności na terenie samego opactwa, którym bez wątpienia była niezwykle zainteresowana. Wydział V Departamentu V MBP na szczeblu centralnym, wojewódzkim i powiatowym, podobnie jak Prusacy 100 lat wcześniej, z porównywalną brutalnością zajmował się bowiem zwalczaniem wpływów kościoła katolickiego, ograniczaniem działalności duszpasterskiej duchowieństwa, jak i prześladowaniem samych zakonników. Na pewno nie zaś poszukiwaniem skarbów. Oczywiste więc się wydaje, że ubecy nie przywiązywali do tej sprawy większej wagi, zwyczajnie przepisując ze starego raportu najważniejsze informacje uzyskane 3 lata wcześniej. Zresztą w tym samym czasie bezpieka przechodziła poważne zmiany organizacyjne i nikt zapewne nie miał głowy do tego typu historii. Poza tym władza ludowa wciąż wymagała utrwalania…

A sama historia skarbu?

Jest na pewno interesująca i ciekawa. Jest również kolejną wspaniałą legendą. A że w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy, niewykluczone, że i w tej coś musi być na rzeczy. Co? Jeszcze tego nie odkryto. Warto jednak wspomnieć, że zarówno wzgórze klasztorne, klasztor, kościół pw. św. Leonarda, jak i przylegający do niego cmentarz, w latach 1978-1994 były objęte badaniami archeologicznymi. W ich trakcie wiele odnaleziono, lecz żadne ze znalezisk nie przypominało skarbu z opowieści pani Jadwigi. Być może więc wszystko przed nami. Zwłaszcza, że tajemniczy plan ukrycia skarbu zapewne zachował się gdzieś do dziś…

ZDJĘCIA: WIKIMEDIA COMMONS

Literatura:
1. A. Jezierski, „Klasztor Benedyktyński w Lubiniu”, Poznań 1915
2. Z. Kurnatowska, „Kościół Św. Leonarda w Lubiniu (po pracach archeologicznych i architektonicznych)”, [w:] „Archeologia Polski”, t. XXXVII, 1992, z. 1-2.
3. Z. Kurnatowska, „Klasztor OO. Benedyktynów w Lubiniu w świetle badań archeologicznych”, [w:] „Benedyktyni Tynieccy w średniowieczu. Materiały z Sesji Naukowej Wawel-Tyniec, 13-15.10. 1994”
4. O. J. Ostrowski, „O.S.B. Bibljoteka Klasztoru Benedyktynów w Lubiniu”, Poznań 1929
5. J. Stańczewski, „Klasztor OO. Benedyktynów w Lubiniu Poznańskim”, Poznań 1927

REKLAMA

ARMAND
METAL® DETECTORS

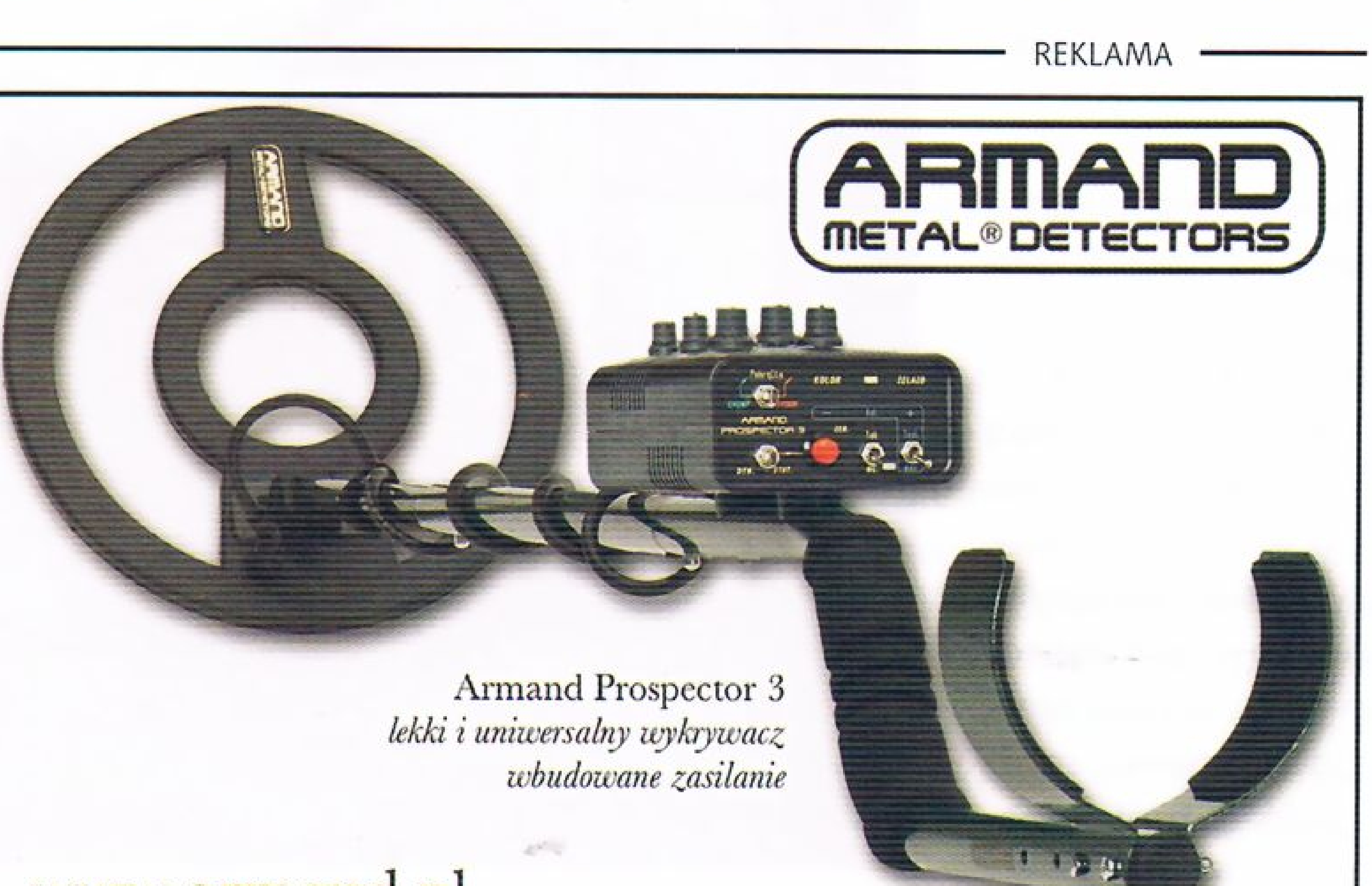

Armand Prospector 3
lekki i uniwersalny wykrywacz
wbudowane zasilanie

www.armand.pl
512 138 545

Kulisy rewindykacji na Dolnym Śląsku (cz. 13)

Wałbrzyskie skarby… nie tylko muzealne

SZYMON WRZESIŃSKI

Muzeum Miejskie w Wałbrzychu zaczęto odwiedzać dopiero od wiosny 1947 roku, bowiem po zakończeniu II wojny światowej placówka była znacząco zdewastowana, a zbiory przetrzebione bądź zniszczone. Nie oznacza to wcale, że nie trafiały tutaj cenne znaleziska. Wystarczy przytoczyć jedną z głośniejszych swego czasu historii. Otóż kilka miesięcy przed oficjalnym otwarciem do muzeum sprowadzono cenne obrazy, znalezione w skrytce położonej w jednej z wałbrzyskich willi…

Pierwsze muzeum, a w zasadzie coś w rodzaju „izby pamięci", sięga swoimi początkami ubiegłego stulecia, kiedy członkowie niemieckiego towarzystwa regionalnego pod nazwą Altertumsverein für das Waldenburger Gebirgsland (Towarzystwa Starożytności Ziemi Wałbrzyskiej) postanowili przekazać część swoich prywatnych zbiorów na rzecz edukacji historycznej lokalnego społeczeństwa. Ta ostatnia kwestia miała spore znaczenie przy wyborze miejsca, którym okazała się sala szkoły ewangelickiej dla chłopców, tzw. Auenschule (ob. siedziba wałbrzyskiego II Liceum Ogólnokształcącego). Uroczyste otwarcie „izby pamięci" miało miejsce 20 grudnia 1908 roku. Ponieważ przeważały w niej eksponaty związane z lokalną tradycją wytwarzania lnu, z czasem pomieszczenie to zaczęto nazywać „izbą tkacką".

Z każdym kolejnym miesiącem izbę tkacką odwiedzało coraz więcej mieszkańców, a miejsce zaczęło cieszyć się znaczną popularnością. Dlatego też 1 kwietnia 1911 roku władze miejskie podjęły decyzję o udostępnieniu czterech pomieszczeń na pierwszym piętrze jednego z budynków przy Bäckerstrasse (ob. ul. Rycerska). Ponieważ po przeprowadzce i pozyskaniu kolejnych eksponatów przygotowano sale tematyczne, od tego momentu można mówić o funkcjonowaniu prawdziwego muzeum. Taką też przybrało nazwę: „Altertumsmuseum für das Waldenburger Gebirgsland" (Muzeum Starożytności Ziemi Wałbrzyskiej).

Jedno z pomieszczeń prezentowało „Izbę chłopską", kolejne „Pokój mieszczański", następnie „Pokój cechowy" wraz z ekspozycją geologiczną i górniczą, zaś w czwartej sali prezentowano lokalną faunę. Dodatkowy zbiór ukazywał militaria, których sporo pochodziło z czasów wojen napoleońskich na Śląsku (1813 r.).

I wojna światowa, w której poległo wielu członków „Towarzystwa Starożytności Ziemi Wałbrzyskiej", poważnie zagroziła dalszemu funkcjonowaniu tej cennej placówki. Na szczęście powołanie do istnienia nowego Wałbrzyskiego Towarzystwa Muzealnego (Waldenburger Museumsverein) uratowało muzeum przed zamknięciem. Symptomem zmian była nie tylko zmiana nazwy – na Muzeum Regionalne w Wałbrzychu (Heimatmuseum in Waldenburg), lecz przede wszystkim konkretne wsparcie ze strony burmistrza i kilku radnych. Nie dość, że skuteczne propagowano przekazywanie prywatnych zbiorów etnograficznych, historycznych i bibliologicznych, to jeszcze zagospodarowano nowy lokal. Był nim reprezentacyjny pałac mieszczański Albertich przy Gottesbergerstrasse 23, zwany „Domem Albertich" (Albertihaus).[1] Postanowiono, iż klasycystyczny obiekt posiadał tak wielką kubaturę, że poza muzeum będzie można uruchomić we wnętrzach dodatkowo Bibliotekę Miejską. Dodajmy, że na początku posiadała ona zbiór niemal 2 tys. cennych woluminów.[2]

Uroczyste otwarcie Muzeum Regionalnego nastąpiło 6 grudnia 1926 roku. Od tego dnia opiekę nad zbiorami przejął ówczesny Zarząd Miejski, dzięki czemu placówka miała stałe wsparcie finansowe i mogła bez przeszkód uruchamiać kolejne działy. Początkowo w sześciu salach, na przestrzeni 200 m kw., zaprezentowano zbiory związane z historią regionu i miejscowego rzemiosła, w tym: przyrodniczo-geologiczne, etnograficzne oraz górnicze. Ponadto wystawiono broń, szereg unikalnych dokumentów, rozmaite medale i pojedyncze dzieła sztuki. Kilka lat później dwukrotnie zwiększono kubaturę, dzięki czemu wystawy stałe z ponad 3 tysiącami eksponatów zajmowały już 11 pomieszczeń dawnego pałacu Albertich. Zdecydowano, że ekspozycja broni prezentowana będzie odtąd na parterze w holu głównym, zaś w jednej z nowo otwartych sal ukazana zostanie historia podwałbrzyskiego rolnictwa. Ciekawą inicjatywą było zagospodarowanie ogrodu, który stanowił zarówno element ekspozycji, jak i miejsce relaksu.

Muzeum prowadzone przez Friedricha Steltera, pierwszego etatowego kierownika, a od 1936 roku przez Heinricha Bartscha, stale poszerzało swoje zbio-

Fasada Muzeum w Wałbrzychu wg R. Krafta. Źródło: Beiträge zur Geschichte der Stadt Waldenburg i Schl.

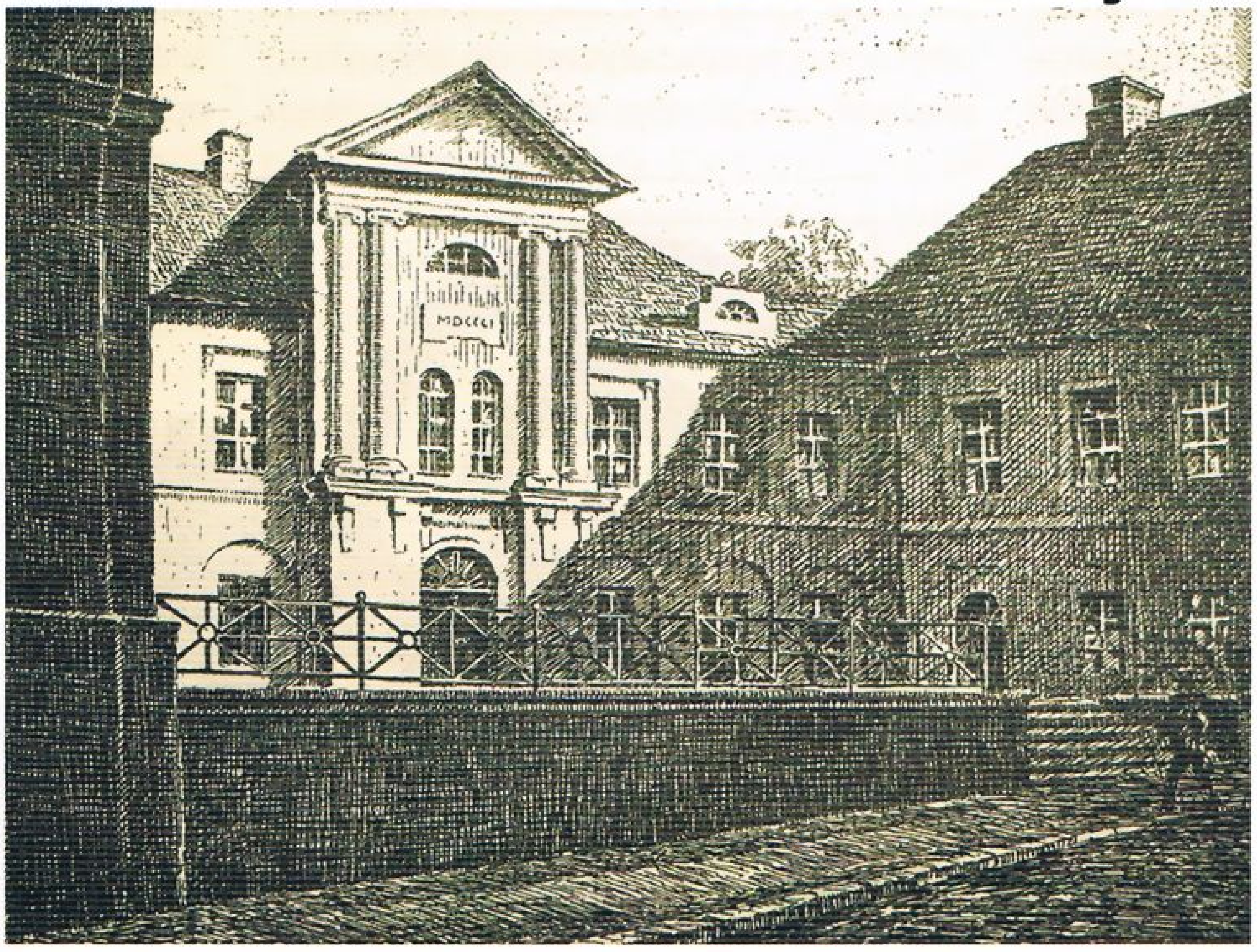

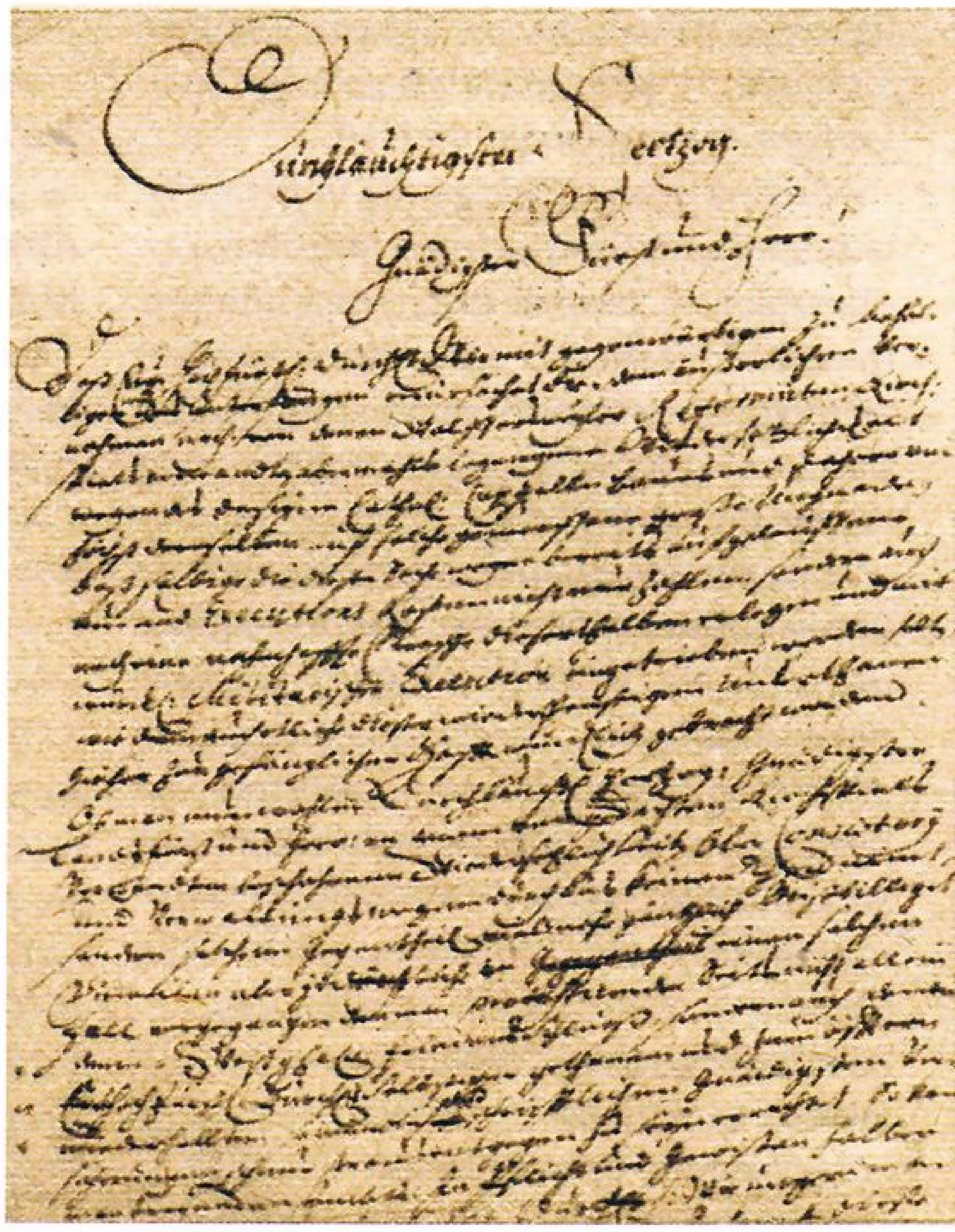

Fragment listu (XVIII w.) odnalezionego w 1947 r. pod Wałbrzychem, kopia ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

ry regionalne. Dzięki ich kreatywności na początku lat 40. wałbrzyska placówka posiadała już przeszło 5 tys. eksponatów. Warta zaznaczenia jest ostatnia, duża wystawa przygotowana w 1940 roku pt. „Artyści ziemi wałbrzyskiej". 30 twórców zrzeszonych w Dolnośląskim Stowarzyszeniu Sztuki (Niederschlesische Kunstvereinigung) zaprezentowało prace: malarskie, rzeźbiarskie, ceramiczne, dzieła wykonane w szkle oraz w metalu. Lata II wojny światowej istotnie wpłynęły na funkcjonowanie Muzeum Regionalnego. Ingerencja nazistów w zbiory, przynależność partyjna pracowników oraz problemy finansowe przyczyniły się do stagnacji placówki.

Po II wojnie światowej zbiory wałbrzyskiego Muzeum zostały w znacznym stopniu zniszczone bądź wyszabrowane. Pierwsze, konkretne działania do ponownego otwarcia Muzeum podjęto dopiero na początku 1946 roku, kiedy obiekt faktycznie został zabezpieczony przez miejscowe władze terenowe. Powołano wówczas pierwszy personel pod kierunkiem Marka Sagana: *„Muzeum (...) przejęte zostało po wojnie przez Zarząd Miejski w stanie znacznej dewastacji budynku i zbiorów"* – pisał przed kilkudziesięciu laty Józef Gębczak, historyk sztuki, od marca 1953 roku dyrektor Muzeum Śląskiego we Wrocławiu. *„Mimo to, po dokonaniu koniecznych prac zabezpieczających udostępniono je w maju 1947 roku"* – dodawał.

Zanim jednak wałbrzyską placówkę otwarto dla zwiedzających, trafiły tutaj rozmaite eksponaty kupowane lub rewindykowane na terenie miasta oraz w najbliższej okolicy. Bywało, że znalezione przypadkowo eksponaty, które uznano za ważne dla dziedzictwa kulturowego Wałbrzycha, trafiały do miejscowego Muzeum. O jednym z takich przypadków wspomina artykuł zamieszczony w „Słowie Polskim" pod koniec 1946 roku:

„W Dyrekcji Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego dokonano cennego odkrycia. Magister Kornicki, którego zaintrygowała dziwna budowa wejścia do łazienki w willi nr 2, wydał polecenie otwarcia zamaskowanych drzwi, które, jak się okazało, prowadziły do małego pokoiku, gdzie ukryto 20 cennych obrazów olejnych szkoły włoskiej, holenderskiej i niemieckiej, nazwisk malarzy na razie nie ustalono. Obrazy, które przedstawiają wartość muzealną (jeden z nich pochodzi z roku 1673) przekazano do tutejszego Muzeum Miejskiego". Niestety większość z nich nie przetrwała tutaj do czasów obecnych.

Najprawdopodobniej okazało się, iż część obrazów stanowiła dawną własność rodziny von Pless, posiadającej rezydencje w Pszczynie na Górnym Śląsku oraz w Książu: – *W odpowiedzi na zapytanie związane z przekazem, trwającym od listopada 1946 do końca 1947 roku, obrazów mistrzów włoskich, niemieckich i holenderskich do Muzeum w Wałbrzychu uprzejmie informujemy, że większość kolekcji malarstwa została przekazana do Muzeum w Pszczynie. Do dyspozycji naszego muzeum pozostawiono zbiór pięciu obrazów autorstwa Sebastiana Carla Christopha Reinhardta (1738-1827), który wzbogaciliśmy zakupem dwóch kolejnych. Na uwagę zasługują dwa portrety małżeństwa Johanny i Lorenza Salice z kręgu XVIII-wiecznego malarstwa włoskiego oraz portret hrabiny Sophi Eleonory Stolberg z 1703 roku, jako przykład malarstwa niemieckiego. Niewątpliwie cennym obrazem jest pochodzący z dawnych zbiorów portret św. Marii Magdaleny, wywodzący się prawdopodobnie z kręgu warsztatu Philipa Christiana Bentuma* – poinformowała mnie jedna z pracownic wałbrzyskiej placówki.

Lokalna prasa sporadycznie wspominała o przekazaniu tego, czy innego rarytasu do Muzeum. A szkoda, bo znacznie chętniej wspominano o zaskakujących odkryciach i przetrzymywanych zbiorach. Na dwa miesiące przed otwarciem placówki w „Słowie Polskim" pojawił się ciekawy artykuł, który miał za zadanie przestrzec Polaków przed chęcią przywłaszczania sobie cennego majątku ruchomego po dawnych mieszkańcach:

„Delegatura Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym w Wałbrzychu zakończyła dochodzenie przeciw Z. Relidze, kiedy jako sołtys gromady Choina [ob. Zagórze Śląskie – przyp. SZ.W.] *w latach 1945 i 1946 przywłaszczył sobie mienie poniemieckie ukryte przez Niemców w grobowcu cmentarnym w Choinie. W grobowcu tym znajdowało się wiele futer, biżuterii, złota i kuponów materiałowych o łącznej wartości 2 milionów złotych. Religę, który częścio-*

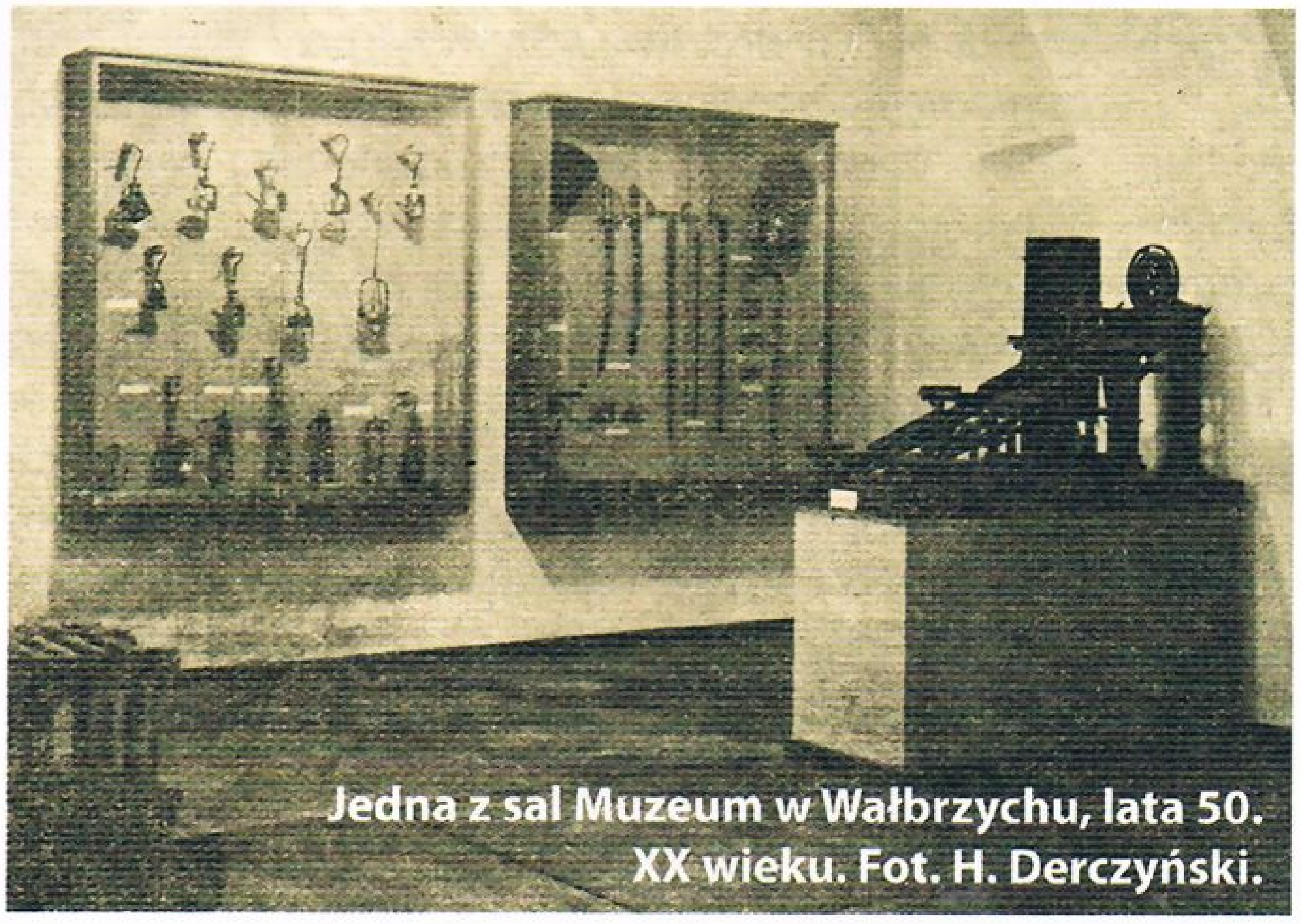

Jedna z sal Muzeum w Wałbrzychu, lata 50. XX wieku. Fot. H. Derczyński.

Heimatmuseum und Stadtbücherei in Waldenburg

Das Heimatmuseum und die Stadtbücherei in Waldenburg in Schlesien

Das Zimmer der heimatlichen Tier- und Pflanzenwelt

Am 6. Dezember ist in Waldenburg ein Heimatmuseum seitens der Stadt feierlich eröffnet worden. Untergebracht ist es in einem alten Hause der Empire-Zeit auf der Gottesberger Straße, das früher der angesehenen Kaufmannsfamilie Alberti gehörte, zugleich mit der neugegründeten Stadtbücherei, einer Lesehalle und dem Städtischen Verkehrsamt.

Sämtliche Photos W. Rittmann, Waldenburg

Schlesische Bauernstube

Bürgerzimmer um 1800

Muzeum w Wałbrzychu ulokowane w pałacu rodu Albertich. Źródło: Biblioteka Cyfrowa Uniwersytetu Wrocławskiego.

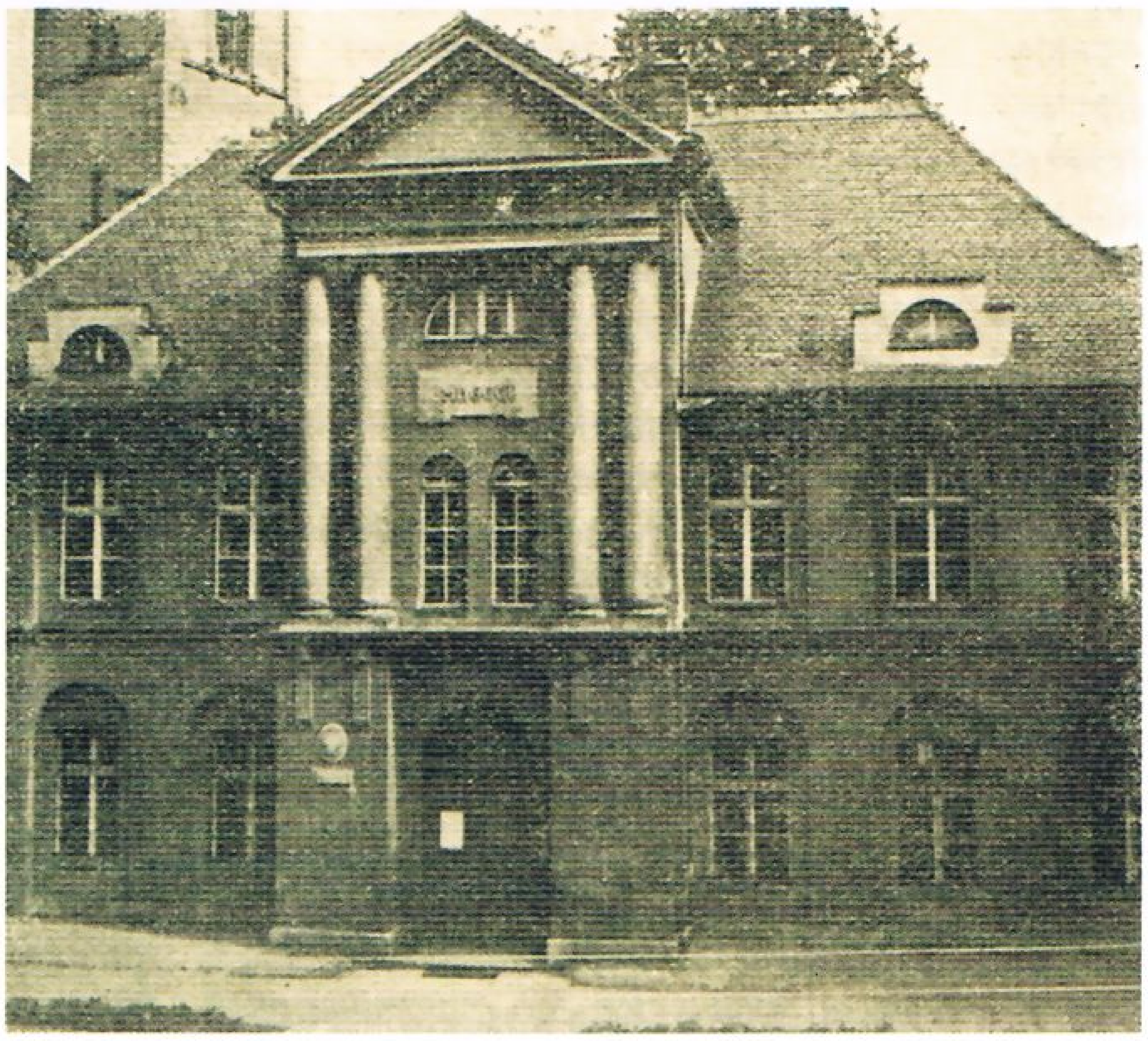

Wejście do Muzeum w Wałbrzychu w latach 50. XX wieku. Fot. H. Derczyński.

wo przyznał się do winy, Główna Komisja Specjalna w Warszawie skazała na dwa lata obozu pracy przymusowej".

Głośna sprawa widać nie wystraszyła szabrowników, złodziei i innych osób planujących zarobić kosztem czyjegoś mienia. Pół roku po ogłoszeniu wyroku w regionalnej prasie ponownie doniesiono o próbie wywiezienia i sprzedania cennych zbiorów:

„Na światło dzienne wyszły inne zakulisowe sprawy biblioteki z Książa[3]*, którymi zajęła się Delegatura Komisji Specjalnej w Wałbrzychu. Dzięki jej energicznym dochodzeniom część bezcennych druków, rękopisów i pergaminów z XV i XVI wieku odnalazła się w mieszkaniu prywatnym J. Racynera, zamieszkałego w Wałbrzychu (…). Obywatel ten był jednym ze współwłaścicieli Zbiornicy Szmat i Odpadków (…). Druki te obywatel Racyner odnalazł wśród bezwartościowej makulatury i przypisując im większą wartość, zabrał je do swego mieszkania, chcąc je następnie przewieźć do centralnej Polski. W momencie, gdy na trop afery wkroczyła Komisja Specjalna, ob. Racyner, mając widocznie więcej podobnych spraw na głowie, zbiegł za granicę".* Nie wiadomo, gdzie trafiły wartościowe dokumenty. Najprawdopodobniej zabrała je ze sobą jedna z wrocławskich ekip rewindykacyjnych.

Zaledwie tydzień później w jednej z popularnych gazet pojawił się tekst o wymownym tytule: „Historia ukrytych skarbów". Opisano w nim kradzież przedmiotów właściciela jednej z wałbrzyskich willi przy ulicy Niepodległości:

„Przesłuchany w toku dochodzeń L. Buchenroth wyjaśnił, że w domu, w którym mieszkał, była skrytka dobrze zamaskowana. W schowku tym, pod warstwą desek i najrozmaitszego rodzaju śmieci, umieścił klejnoty. Pewnego dnia Buchenroth spostrzegł brak kosztowności. Podejrzenie skierował z miejsca na sąsiadkę z drugiego piętra, J. Szewczyk, do której mieszkania skrytka ta przylegała i oświadczył jej, że klejnoty złożone w schowku nie są mieniem poniemieckim, lecz stanowią jego własność prywatną. Po bezskutecznych próbach przekonania swej sąsiadki o konieczności oddania klejnotów – Buchenroth powiadomił o całej sprawie Komendę M.O. W śledztwie J. Szewczyk przyznała się do popełnienia zarzucanego jej czynu, dodając, że kradzieży klejnotów w postaci złotych zegarków, dolarów, pierścionków oraz drogocennych bransoletek dokonała wespół z niejakim Poluckim. Do sprawy został również wmieszany narzeczony oskarżonej ob. W. Barejszak, który polecił sprzedaż biżuterii swemu przyrodniemu bratu Próchnickiemu. Poza tym aresztowano kupca biżuterii B. Cukermana oraz S. Kapela, który przestrzegał Poluckiego przed grożącym mu aresztowaniem. Wszyscy aresztowani znaleźni się przed Sądem Okręgowym w Wałbrzychu".

Mimo, iż tym razem nie chodziło o poniemieckie dobra, sprawa opisuje codzienność tamtych czasów, kiedy Polacy szukali rozmaitych skrytek w willach, pałacach, czy na cmentarzach. Zdawali sobie sprawę, czym to grozi, jednak chęć łatwego i dużego zarobku była dla wielu zbyt silną pokusą. Dowodem na to niechaj będzie jeszcze jeden przykład, odnotowany w dolnośląskiej prasie:

„Od dawna we wsi Drzymałów powiat Wałbrzych [ob. Dziećmorowice – przyp. Sz. W.], *na tamtejszym cmentarzu Niemcy ukryli skarby. Pewnego dnia J. Kazimirski i Z. Kowalski wybrali się na poszukiwanie rzekomych skarbów na cmentarz. Po sprofanowaniu grobowca, odkryto istotnie nieco zastawy stołowej. Przy próbie wywiezienia tych rzeczy, »poszukiwacze skarbów« zostali aresztowani".*

Wróćmy jednak do Muzeum Miejskiego w Wałbrzychu. O jego otwarciu pisano wiosną 1947 roku w „Trybunie Ludu". Oczywiście, zgodnie z duchem ówczesnych czasów i partyjnym charakterem gazety, nie omieszkano nadmienić, że wybór terminu nie był przypadkowy: *„W drugą rocznicę przejęcia Wałbrzycha przez władze polskie otwarte tu zostało Muzeum Miejskie".* I na tym koniec! No, może nie do końca, albo-

wiem kolejne dwa zdania opisują wydobywczo-przemysłowy charakter miasta. Na szczęście znacznie wartościowszym okazał się kolejny artykuł ze wspomnianej gazety. Tym razem szczegółowo opisano dzień otwarcia i wygląd poszczególnych sal. Dowiadujemy się zatem, iż w obecności przedstawicieli władz lokalnych, instytucji i organizacji społecznych, uroczystego otwarcia dokonał prezydent miasta, Eugeniusz Szewczyk. Nowo otwarte Muzeum poświęcił miejscowy dziekan, ks. Świderski: *„Ze zniszczonego budynku, który dwa lata temu służył jako magazyn mąki, dziś, dzięki mrówczej pracy, nieliczni pracownicy Muzeum, z kustoszem miejskim ob. Saganem na czele, przemienili budynek w »pałac zabytków sztuki«* – czytamy w gazecie. W osiemnastu salach zaprezentowano ok. 6 tys. eksponatów. Pierwszy dział, który polecano zwiedzającym, był poświęcony mineralogii związanej z bliższą i dalszą okolicą Wałbrzycha: *„Sala ta z powodzeniem służyć może uczniom i górnikom jako pracownia doświadczalna"* – stwierdził dziennikarz „Trybuny Ludu". W prawym skrzydle budynku zgromadzono eksponaty obrazujące rozwój wałbrzyskiego rzemiosła. Przewodnicy polecali zwrócić szczególną uwagę na zbiory wyrobów cynowych, pochodzących z XVIII i XIX wieku, oraz wykonane ręcznie kunsztowne okucia i zamki do drzwi. W kolejnych salach mieściły się „narzędzia gospodarcze" oraz ludowe meble śląskie. Zachęcano przy tym do dokładnego obejrzenia szaf regionalnych z ręcznymi malowidłami oraz czepków śląskich haftowanych złotymi nićmi. Nie mogło zabraknąć sali akcentującej przemysł wydobywczy:

„Bardzo ładnie prezentuje się sala górnicza, gdzie znajdują się modele wnętrza kopalni, urządzeń koksowni, szybu i wiele innych. Pierwsze piętro – to barwna mozaika różnego rodzaju zabytków muzealnych o bezcennej wartości. Zatrzymujemy się w sali mebli zabytkowych. Meble z okresu baroku i renesansu oraz w stylu cesarstwa zainteresują wszystkich. Pięknie przedstawia się zbiór broni od dzid począwszy, a skończywszy na karabinach i innych. W sali – nazwijmy ją porcelanową – specjalnie dłużej zatrzymują się panie, zachwycone pięknym zbiorem porcelan i majoliki pochodzących z wałbrzyskich fabryk porcelany. Oglądamy porcelanę saską, angielską, wiedeńską, berlińską, francuską, a nawet chińską. Z sali porcelanowej tylko »trzy kroki« dzielą nas od dalekich, egzotycznych krajów zamorskich. W tej sali młodzież szkolna w wyobraźni zwiedza dalekie kraje zamorskie, gdzie groźny wąż boa-dusiciel czyha na swoje ofiary. Sala zoologiczna, [jest] bogato zaopatrzona w ptaki różnego gatunku, motyle i zbiór trzmieli (…). Etnologowie, miłośnicy przyrody i młodzież z wielką przyjemnością oglądają i podziwiają zgromadzone zbiory. Miłośników sztuk pięknych czeka miła niespodzianka w dużej i jasnej sali (…). Znajdujemy tu bogaty zbiór wartościowych, pięknych obrazów pochodzących z zamku Książ".[4]

Pod koniec lat 50. Józef Gębczak opisując wałbrzyskie Muzeum, nadmienił, że mieściła się tutaj również *„wystawa ilustrująca dzieje miasta oraz pokaz kultury materialnej mieszczańskiej"*. Ponadto wystawiano pokaźny zbiór żeliwnych płaskorzeźb kominkowych z XVII i XVIII wieku, przywiezionych z zamku Książ. Z kolei w dziale górniczym najcenniejszym miał być zbiór starych lamp górniczych. Co ciekawe, twierdził on, że Muzeum zajmowało w latach 50. ubiegłego stulecia tylko dwanaście, a nie osiem-

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima z sondami 29 cm w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

naście sal. W tym okresie placówka posiadała pięciu pracowników, którzy rokrocznie obsługiwali ok. 20 tys. odwiedzających, co było wynikiem bardzo dobrym – zwłaszcza w kontekście jedenastu podobnych placówek muzealnych na Dolnym Śląsku.

Po remoncie przeprowadzonym w 1953 roku, stały rozwój oraz reorganizacja polskiego muzealnictwa i wprowadzenie nowego podziału administracyjnego (1975 r.), doprowadziły do podniesienia wałbrzyskiej placówki do rangi Muzeum Okręgowego. W 1996 utraciło ono jednak ten status i odtąd, pod mianem Muzeum w Wałbrzychu, stało się gminną instytucją kultury, co ograniczyło jego dotychczasowe możliwości działania w zakresie ochrony dziedzictwa kulturowego regionu. Na szczęście odgórne decyzje nie ograniczyły bogatej oferty i działań skierowanych zarówno do dorosłych, młodzieży, jak i młodszych dzieci.

Osobom, które zastanawiają się nad odwiedzeniem wałbrzyskiego muzeum, polecę słowa tamtejszych pracownic naukowych:

– Do cennych zbiorów muzeum należy datowana na 1676 r. szafa ziemiańska ręcznie malowana, która pochodzi z willi przy ulicy Friedlanterstrasse 43 (obecnie ul. Zamkowa 2), w której zmarła księżna Maria Teresa Oliwia Hochberg von Pless. Do najstarszych i najcenniejszych obiektów ceramicznych, przekazanych lub zakupionych do zbiorów wałbrzyskiego Muzeum po 1945 roku, zaliczyć można wiele cennych przykładów ceramiki i porcelany z manufaktur śląskich oraz z najsłynniejszych fabryk europejskich i polskich. Na szczególną uwagę zasługuje grupa figuralna »Sprzedaż Amorków«, rzeźba biskwitowa z wytwórni w Miśni pochodząca z 1785-1786 r., czy zestaw figur biskwitowych przedstawiających sceny myśliwskie (wg obrazów J. B. Oudry) z wytwórni z Sevres z 1905 r., tworzących dekoracyjną zastawę stołową. Pośród wielu cennych obiektów są również XVIII-wieczne fajansowe patery z Delft, wyroby jaspisowe Wedgwooda, włoska majolika z Docci k. Florencji, porcelana z Miśni, czy z KPM Berlin oraz wyroby z manufaktury C. Kristera i C. Tielscha.

zdarzyło się...

3 II 1959 r.

56 lat temu przybył do Polski transport z częścią ewakuowanych w 1939 roku najznamienitszych eksponatów pochodzących z krajowych placówek muzealnych, bibliotek i kościołów. Wśród z nich znalazł się m.in. Szczerbiec – miecz koronacyjny królów Polski, kroniki Galla Anonima i Wincentego Kadłubka, Biblia Gutenberga i część zachowanych regaliów królewskich. Tuż po wybuchu II wojny światowej, w obliczu zagrożenia niemiecką grabieżą, zostały one zabezpieczone i wywiezione z Europy, a następnie zdeponowane w Kanadzie. Po zakończeniu wojny, władze komunistyczne podjęły starania o ich zwrot, jednak rząd w Ottawie, ze względów politycznych nie chciał się na to zgodzić. Po długotrwałych negocjacjach i naciskach opinii publicznej ostatecznie udało się tę operację sfinalizować. Dwa lata później wróciła do Polski reszta przechowywanych za oceanem depozytów.

Autor dziękuje za pomoc w uzyskaniu informacji o zbiorach: p. Edycie Patro z Działu Sztuki, p. Jadwidze Korneckiej-Cebuli z Działu Ceramiki oraz p. Jolancie Pawlak z Działu Oświatowo-Naukowego z Muzeum w Wałbrzychu.

Przypisy:

[1] W budynku tym znajduje się obecna siedziba Muzeum w Wałbrzychu.

[2] Alberti-Haus (Hauses Alberti) – trójskrzydłowy, dwukondygnacyjny pałac zamożnej kupieckiej rodziny był wzniesiony w latach 1801-1803 na planie litery „U". Został wybudowany na zlecenie kupca J. Sonnabenda, wg projektu L. Niederräckera (uczeń słynnego architekta Carla Gottharda Langhansa). W 1834 r. obiekt kupiła bogata rodzina kupiecka Albertich. Po tym jak stał się własnością miasta, ulokowano tutaj muzeum z biblioteką, a później dodatkowo archiwum miejskie. Obecnie ul. 1 Maja nr 9.

[3] W oryginale jest zamek „Książno". Użycie określenia „inne sprawy" dotyczy znalezienia w lipcu 1947 r. listu pisanego do Konrada Ernsta Maksymiliana von Hochberg (1705-1742).

[4] W oryginale jest zamek „Książno".

Literatura:

1. „Führer durch das Heimatmuseum der Stadt Waldenburg in Schlesien", Waldenburg 1935
2. J. Gębczak, „Muzeum Śląskie w latach 1945-1956" [w:] „Roczniki Sztuki Śląskiej", Tom I, 1959
3. G. Pietsch, „Festschrift zur Feier des fünfhundertjährigen Bestehens der Stadt und der Einweihung des Heimatmuseums", Waldenburg 1926
4. K. Pflug, „Chronik der Stadt Waldenburg in Schlesien", Waldenburg 1908
5. M. Solecka, „Muzeum w Wałbrzychu w latach 1908-1945" [w:] „Wałbrzyskie Zeszyty Muzealne", Tom I, 2006
6. „Słowo Polskie" i „Trybuna Ludu" – roczniki 1947 i 1948

Szymon Wrzesiński
Historyk i publicysta. Napisał m.in.: „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku. Relacje, dokumenty, wspomnienia"; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy. Kulisy rewindykacji i poszukiwań terenowych na Dolnym Śląsku"; „Zamek Książ. Legenda III Rzeszy".

Z publikowanego w „Odkrywcy" cyklu „Kulisy rewindykacji na Dolnym Śląsku" ukazały się:

» cz. 1 „Składnica Paulinum", nr 1/2014,
» cz. 2 „Zaginione dzieła z Biedrzychowic", nr 2/2014,
» cz. 3 „Opróżnianie pałaców w Kunowie i Stadniskach", nr 3/2014,
» cz. 4 „Spalona składnica w Nowym Kościele", nr 4/2014,
» cz. 5 „Grabież pałaców pod Zgorzelcem", nr 5/2014,
» cz. 6 „Powstanie i upadek lubańskiego muzeum", nr 6/2014,
» cz. 7 „Zapomniane skrzynie ze skarbami…", nr 7/2014,
» cz. 8 „Na tropach rękopisu Marcina Lutra", nr 9/2014,
» cz. 9 „Między nami zakonnicami… składnica w Lubomierzu", nr 10/2014,
» cz. 10 „Karpniki – ostatnia misja Grundmanna", nr 11/2014,
» cz. 11 „Co ukryto, a co znaleziono na zamku Książ?", nr 12/2014,
» cz. 12 „Na tropie sudeckich skrytek w Siedlęcinie i Rząsinach", nr 1/2015

ARCHIWUM „ODKRYWCY" – TAK TANIO JESZCZE NIE BYŁO!

Dla naszych Czytelników przygotowaliśmy specjalną ofertę zakupu egzemplarzy archiwalnych. Przez okres od **1 STYCZNIA** do **28 LUTEGO 2015 roku** (liczy się termin złożenia zamówienia) proponujemy Wam zakup archiwalnych numerów „Odkrywcy" **PO REWELACYJNIE NISKIEJ CENIE 5 ZŁ ZA EGZEMPLARZ.**

Oferta dotyczy wszystkich dostępnych numerów, a szczególnie numerów z lat 2006-2013 (od 1/84 do 12/179), których regularna cena wynosi od 7 do 10 zł, oraz numerów z pierwszego półrocza 2014 roku (od nr 1/180 do 6/185) których regularna cena to 12, 60zł.

Dodatkowe warunki promocji dotyczące numerów od 1/84 do 6/185 opłaconych przed odbiorem:

» przy zamówieniu 12 dowolnych numerów lub całego rocznika, Zamawiający nie ponosi żadnych dodatkowych kosztów,
» przy zamówieniu od 9 do 11 numerów – ze względu na wagę jest to już paczka – Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 13 zł,
» przy zamówieniu od 5 do 8 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 6,30 zł*,
» przy zamówieniu od 2 do 4 numerów, Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 3,70 zł,
» przy zamówieniu 1 numeru Zamawiający pokrywa koszty wysyłki w wysokości 1,75 zł.

Wpłaty należy kierować na nasze konto: numer 98 2490 0005 0000 4520 6153 2533
dla IBHiK sp. z o.o., ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin.
Uwaga: dokonując wpłaty odpowiedniej kwoty na nasze konto, akceptujecie Państwo podane warunki promocji wraz z dodatkowymi opłatami.

Prosimy pamiętać o podaniu swoich danych (**imię, nazwisko i adres**) niezbędnych do realizacji zamówienia. W tytule przelewu prosimy o wpisanie jakich numerów dotyczy zamówienie.

Przykłady:
1. Zamawiam rocznik (12 numerów) z 2012 roku – cena stara 108 zł – **cena nowa 60 zł**
2. Zamawiam 8 numerów z lat 2010-2012 – cena stara od 72 zł – **cena nowa 40 zł ***
3. Zamawiam 5 pierwszych numerów z roku 2014 – cena stara 63 zł – **cena nowa 25 zł**

Przy zamówieniach opłaconych przy odbiorze, czyli „za pobraniem", do wartości zamówienia, poza ewentualnym kosztem przesyłki, doliczamy dodatkowo 3 zł za usługę pobrania. **Uwaga:** takie zamówienie należy złożyć drogą mailową na adres: prenumerata@odkrywca.pl lub przesłać faksem pod numer 71 329 83 71. W zamówieniu należy podać dokładnie, jakie numery Państwo zamawiacie, podać wartość zamówienia wraz z opłatami dodatkowymi – przesyłka i pobranie. Zamówienia „za pobraniem" złożone telefoniczne nie będą realizowane. Informujemy, że mają Państwo prawo do odstąpienia od umowy zakupu w terminie do 14 dni od dnia otrzymania zamówienia.

Podstawa prawna: Ustawa o prawach konsumenta, Kodeks cywilny.

Dodatkowe informacje możecie Państwo uzyskać pod numerem telefonu 71 329 71 71, e-mailem prenumerata@odkrywca.pl a także na stronie www.odkrywca.pl i na facebooku.

Zapraszamy do uzupełnienia swojego archiwum po wyjątkowo preferencyjnych cenach!

Przypominamy, że numery z lat 2001-2005 są do nabycie zawsze w cenie 5zł/egz. natomiast numery z II półrocza 2014 roku (od 7/186) do aktualnego, są do nabycia w obniżonej cenie wydawniczej 12, 60 zł/egz. razem z wysyłką listem zwykłym krajowym.

Najprościej dokonując wpłaty

Dane adresowe naszego Wydawnictwa

Numer konta bankowego naszego Wydawnictwa

*) przykład graficzny

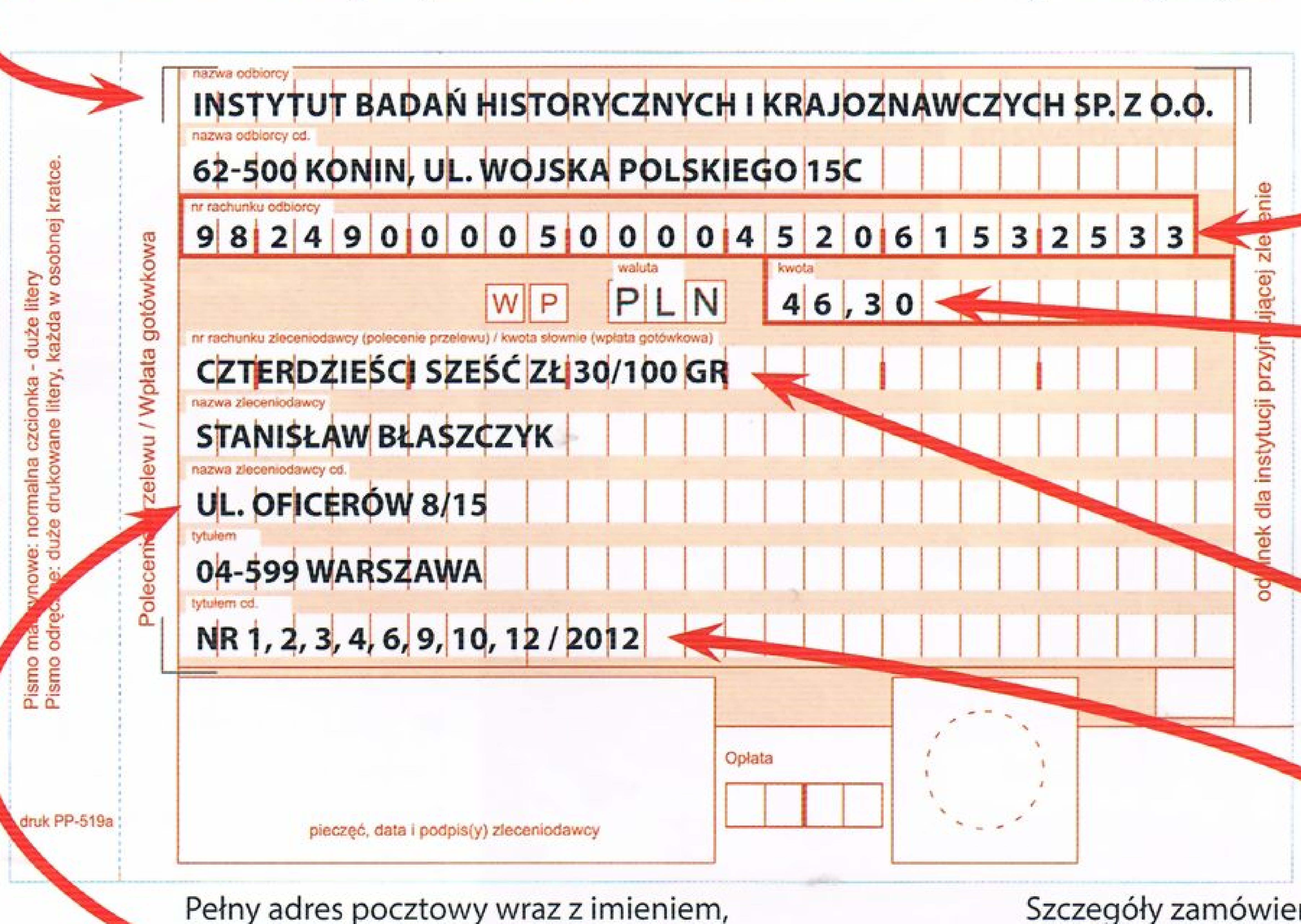
nazwa odbiorcy
INSTYTUT BADAŃ HISTORYCZNYCH I KRAJOZNAWCZYCH SP. Z O.O.
nazwa odbiorcy cd.
62-500 KONIN, UL. WOJSKA POLSKIEGO 15C
nr rachunku odbiorcy
98 2490 0005 0000 4520 6153 2533
W P | waluta PLN | kwota 46,30
nr rachunku zleceniodawcy (polecenie przelewu) / kwota słownie (wpłata gotówkowa)
CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ ZŁ 30/100 GR
nazwa zleceniodawcy
STANISŁAW BŁASZCZYK
nazwa zleceniodawcy cd.
UL. OFICERÓW 8/15
tytułem
04-599 WARSZAWA
tytułem cd.
NR 1, 2, 3, 4, 6, 9, 10, 12 / 2012
pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy
Opłata
Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa
Pismo maszynowe: normalna czcionka - duże litery
Pismo odręczne: duże drukowane litery, każda w osobnej kratce.
odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie
druk PP-519a

Kwota zgodna z warunkami promocji podanymi wyżej

Numer konta wpłacającego lub kwota słownie

Pełny adres pocztowy wraz z imieniem, nazwiskiem i/lub ewentualnie nazwą firmy bądź instytucji.

Szczegóły zamówienia

SKARBY z karkonoskich schronisk

TOMASZ RZECZYCKI

Przeglądając różnego typu książki i opracowania dotyczące Sudetów, nadziwić się nie mogę bezkrytycznej wierze w skarby, rzekomo ukryte przez Niemców w schroniskach górskich. Chyba tylko niedostatkiem powojennych lat można wytłumaczyć to, jak łatwowierni potrafili być czytelnicy, chłonący tego typu publikacje. A już nimb tajemniczości, jakim próbowano otaczać wypadki spłonięcia schronisk, trudny jest do wytłumaczenia w sposób racjonalny. Potęga opowieści o ukrytym skarbie, czy też o zagadkowym pożarze schroniska spalonego tylko po to, aby ukryć wielką defraudację… niezmiernie mnie zadziwia. Czy jest w nich choć ziarnko prawdy?

Odpowiedź na to pytanie jest typowo prawnicza: to zależy. Konkretnie zależy, co uznamy za skarb. Spróbujmy więc przyjrzeć się kilku schroniskom karkonoskim, leżącym głównie na terenie Karpacza, i temu, co się w nich wydarzyło mniej więcej w połowie XX wieku. Cofnijmy się więc myślami w czasie…

Latem 1945 roku niewiele osób myślało o wędrówce szlakami Karkonoszy. Polska dopiero oswajała się z włączonym w jej granice Śląskiem, a niedawni obywatele III Rzeszy jeszcze nie potrafili uwierzyć, że to już nie są ich ziemie. Szklarska Poręba, Karpacz czy Kowary, były nadal pod względem etnicznym gminami, w których przeważającą część mieszkańców stanowiła mniejszość niemiecka. Choć brzmi to nienaturalnie, to mniej więcej w ten sposób określano sytuację narodowościową w comiesięcznych raportach wysyłanych do władz zwierzchnich. Polaków w Karkonoszach było niewielu.

I właśnie z tego ciekawego dla historyków czasu niemal brak jest wiarygodnych relacji, co się działo w górach z karkonoskimi schroniskami.

Wiadomo, że część z nich nadal prowadzona była przez dotychczasowych niemieckich gospodarzy. W części obiektów stacjonowali żołnierze Wojska Polskiego, którzy do końca października 1945 roku pilnowali granicy z Czechosłowacją, zanim tę rolę przejęły Wojska Ochrony Pogranicza. Więcej informacji o stanie schronisk mamy z 1946 roku, kiedy to zaczęli przyjeżdżać w śląskie góry dziennikarze z prasy wielkopolskiej, małopolskiej czy górnośląskiej, opisując to, co zastali. Spora część karkonoskich schronisk była wtedy dokumentnie wyszabrowana i zdewastowana. Można przypuszczać, że dokonali tego głównie polscy szabrownicy, traktujący Ziemie Odzyskane jako darmowy rezerwuar dóbr wszelakich. Zachowały się też nieliczne wzmianki próbujące zrzucić przynajmniej część winy na obywateli Czechosłowacji, rozkradających opuszczone, przygraniczne schroniska w Karkonoszach.

Na usta ciśnie się podstawowe pytanie: cóż takiego wyniesiono z opuszczonych schronisk? Czy szabrownicy znaleźli tam kufry ze złotem ukryte przez zapobiegliwych Niemców w nadziei, że grzbiet Karkonoszy znajdzie się z dala od linii frontu i będzie tu można przeczekać spokojnie wojenną zawieruchę?

Faktem jest, że „długoletni, przejściowi panowie tych ziem", jak nazywano wówczas Niemców, nie zdążyli, lub nie mieli możliwości, opróżnić schronisk „do czysta" i co nieco wartościowego w nich zostało. Choć od razu należy zaznaczyć, że tuż po wojnie każdy niemal artykuł miał dużą wartość. Pamiętam jak swego czasu, w Archiwum Straży Granicznej w Szczecinie, przeglądałem meldunki dzienne Wojsk Ochrony Pogranicza z terenu Karkonoszy, z lat tużpowojennych. Część z nich była wydrukowana na odwrocie niemieckiego papieru firmowego jednego ze schronisk, bodajże schroniska pod Łabskim Szczytem. Jak widać, jednostronnie czysty papier był w pewnych sytuacjach przydatniejszy od złota…

Znajdowano też bardziej zaskakujące łupy.

Nieistniejące już dzisiaj schronisko Schlingelbaude w szacie zimowej na przedwojennych widokówkach. W tle Prinz-Heinrich-Baude. Źródło: pl.wikipedia.org

Wybudowane w 1894 r. uznawane było za jeden z najpiękniejszych obiektów w Karkonoszach. W 1951 r. schronisko zostało przejęte przez PTTK i wówczas nazwano je imieniem Bronisława Czecha. Spłonęło doszczętnie w 1966 roku. Źródło: pl.wikipedia.org

W schronisku na Śnieżce trzeba było zdemontować kabiny z radiową aparaturą nasłuchową, używaną podczas wojny przez niemiecką armię. W schronisku Strzecha Akademicka znajdowały się, według relacji z lutego 1946 roku, bogate kolekcje talerzy, miedzioryty, drzeworyty czy poroża łosi. Ten ostatni budynek akurat nie został rozszabrowany, gdyż Polacy zagospodarowali go już w 1945 roku.

Skarbowa legenda towarzyszyła Domkowi Myśliwskiemu. Schronisko to, położone poniżej Małego Stawu, było tuż po wojnie wydzierżawione przez osobę prywatną, później niszczało, potem zajął się nim kolejny prywatny inwestor, aż wreszcie przejął je Karkonoski Park Narodowy (KPN). Jak widać, na przestrzeni pierwszych kilkunastu powojennych lat, obiekt parokrotnie stał pusty i z pewnością nie brakowało okazji, aby go dokumentnie przeszukać. Kilka lat po utworzeniu KPN-u, budynek zaczął pełnić funkcję schroniska studenckiego. Pierwszym jego gospodarzem, po wydzierżawieniu przez Zrzeszenie Studentów Polskich, był Jerzy Stryjecki, późniejszy bytomski adwokat. W październiku 2010 roku spotkałem się z nim przypadkowo, w trakcie spotkania ze słuchaczami Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Bytomiu, które poświęcone było m.in. książce „Góry Polski". Umówiliśmy się na rozmowę na temat początków funkcjonowania Domku Myśliwskiego w roli schroniska studentów wrocławskich uczelni. Usłyszałem historię remontu i zagospodarowania obiektu, w którym panowały naprawdę spartańskie warunki. Okazuje się, że wówczas, w latach 60. XX wieku, Jerzy Stryjecki nie mógł się opędzić od poszukiwaczy skarbów. – *Panie, czy jest tu co do wyszabrowania?* – takie zapytanie padło wtedy niejeden raz. Aby zniechęcić potencjalnych penetratorów, młody gospodarz Domku Myśliwskiego posługiwał się fortelem, odpowiadając im: – *Nie ma. To co było, samemu wszystko wyszabrowałem*. Skutkowało.

Tej opowieści zapewne nie słyszeli panowie ze służb podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, którzy kilka lat później w rejon Domku Myśliwskiego, zawieźli Herberta Klosego – w ramach akcji poszukiwania domniemanych niemieckich skarbów, jakie miały zostać wywiezione z Wrocławia pod koniec II wojny światowej. Wątek ten został opisany m.in. w książce Jacka M. Kowalskiego, Roberta J. Kudelskiego pt. „Złoto generałów", wydanej przez wydawnictwo Technol – tam więc odsyłam zainteresowanych szczegółami. Tu starczy nadmienić, że rejon Domku Myśliwskiego został wytypowany jako potencjalne miejsce ukrycia skarbów. Wydaje się jednak, że tym razem chodziło o skrytki nie w samym schronisku, lecz gdzieś obok niego. Tak czy siak, niczego nie znaleziono.

Nieco powyżej Domku Myśliwskiego, prawie nad brzegiem Małego Stawu, znajduje się schronisko Samotnia. Jak wynika z dokumentów, to właśnie w tym obiekcie coś, mniej lub bardziej cennego, zostało ukryte przez Niemców. Co? Niełatwo powiedzieć…

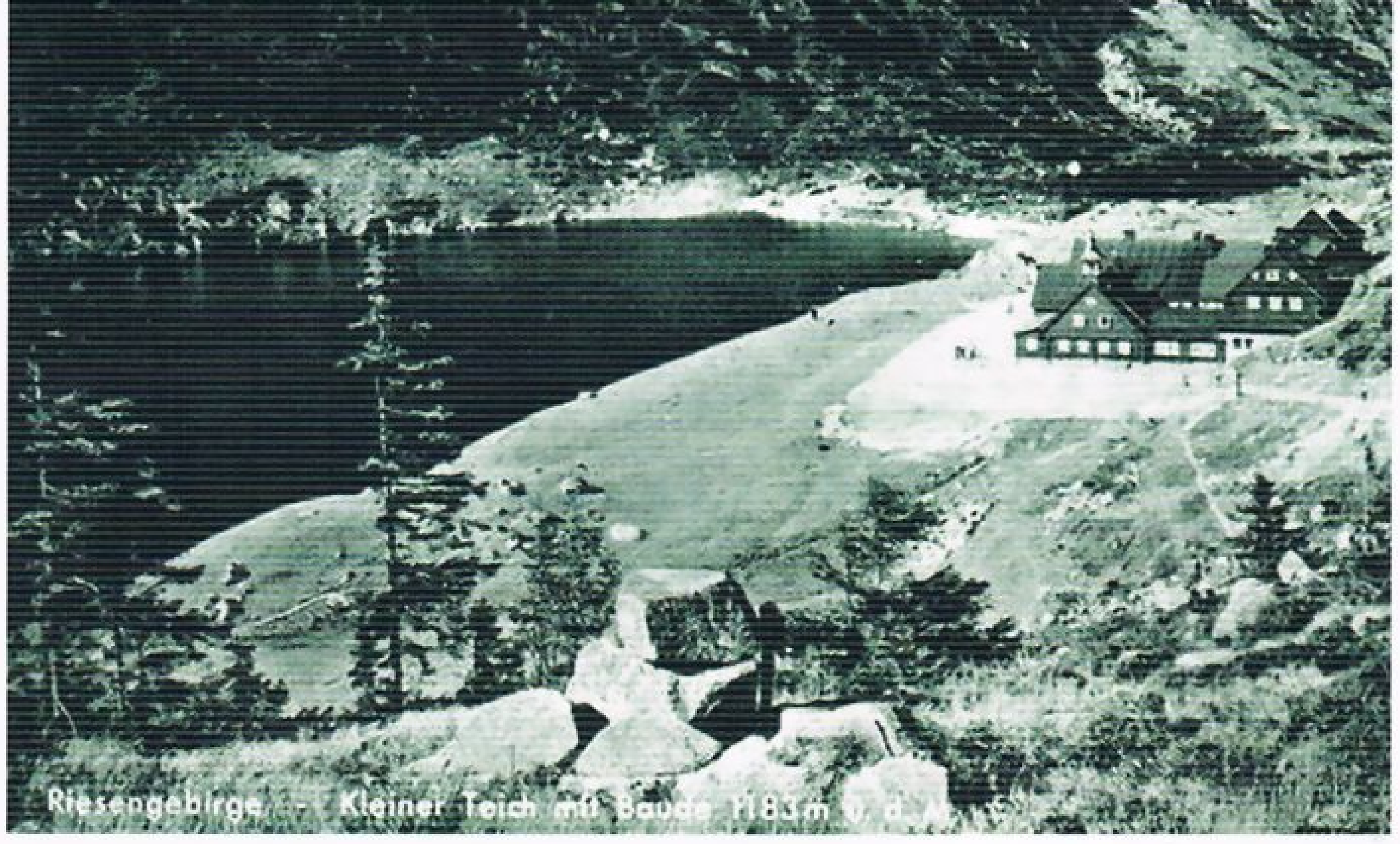

Mały Staw i schronisko Samotnia na przedwojennej widokówce. Źródło: Jeleniogórskie Centrum Informacji i Edukacji Regionalnej – Książnica Karkonoska. Wydawca: Walter Staudte, Werbe-Kunst-Atelier/Verlag, www: jbc.jelenia-gora.pl

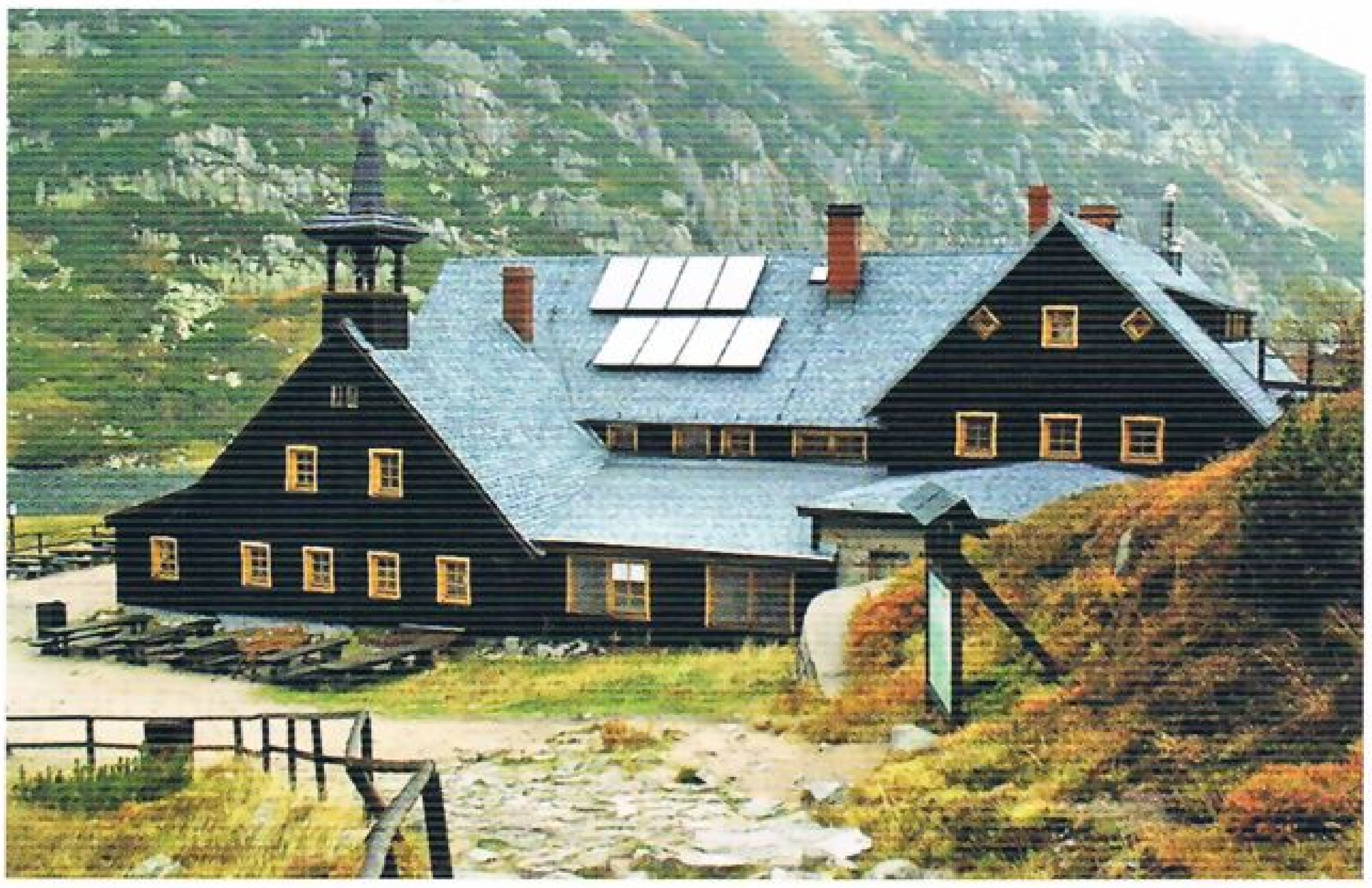

Schronisko PTTK Samotnia w pełnej okazałości na zdjęciu współczesnym. Źródło: commons.wikimedia.org

W lutym 1951 roku zakończona została kontrola w oddziale Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Jeleniej Górze, prowadzona od jesieni roku poprzedniego. Przeprowadziła ją wrocławska delegatura Najwyższej Izby Kontroli. Akta z tejże kontroli zachowały się w Archiwum Państwowym we Wrocławiu. Nas w tym momencie najbardziej zainteresować może zeznanie, jakie złożył Henryk Graff, wówczas kierownik karkonoskiego schroniska „Odrodzenie" stojącego nad Przełęczą Karkonoską:

„Wg wypowiedzi zdaje się Borkowskiego – Staroń wieszał Niemców z »Samotni«, których tam zastał, po to, by powiedzieli, gdzie są rzeczy schowane. Gdy powiedzieli, to ich zwolnił". Wspomniany Przemysław Borkowski, na którego powoływał się Henryk Graff, był do 1950 roku kierownikiem schroniska Śląski Dom na Przełęczy pod Śnieżką. Natomiast oskarżany o wieszanie Niemców Stanisław Staroń, był pierwszym polskim gospodarzem

Schronisko Domek Myśliwski. Fotografia z lat 60. XX wieku ze zbiorów Jerzego Stryjeckiego.

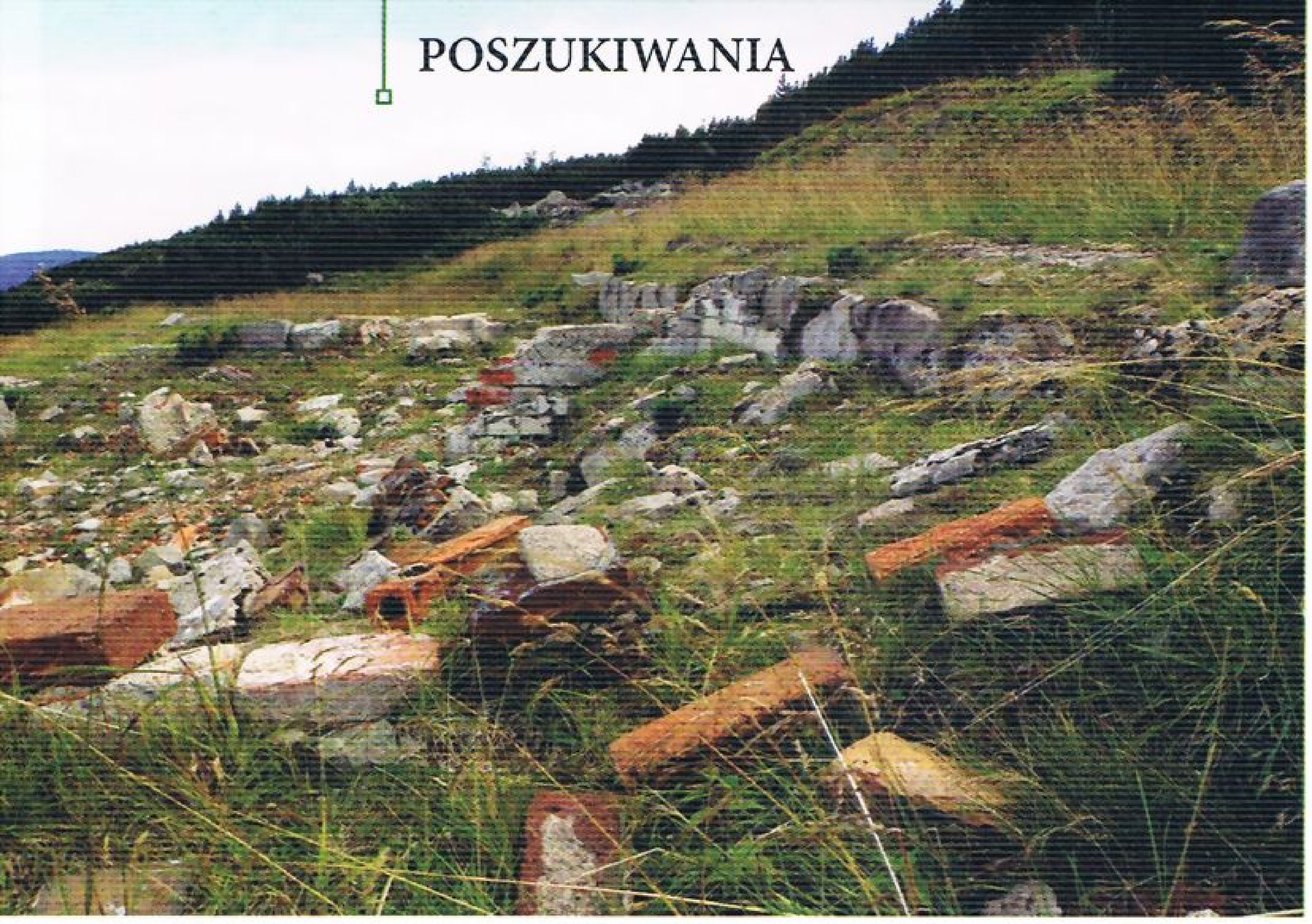

Resztki ruin podmurówki rozebranego schroniska. Czy zachowały się piwnice z hipotetycznym skarbem? Fot. Tomasz Rzeczycki.

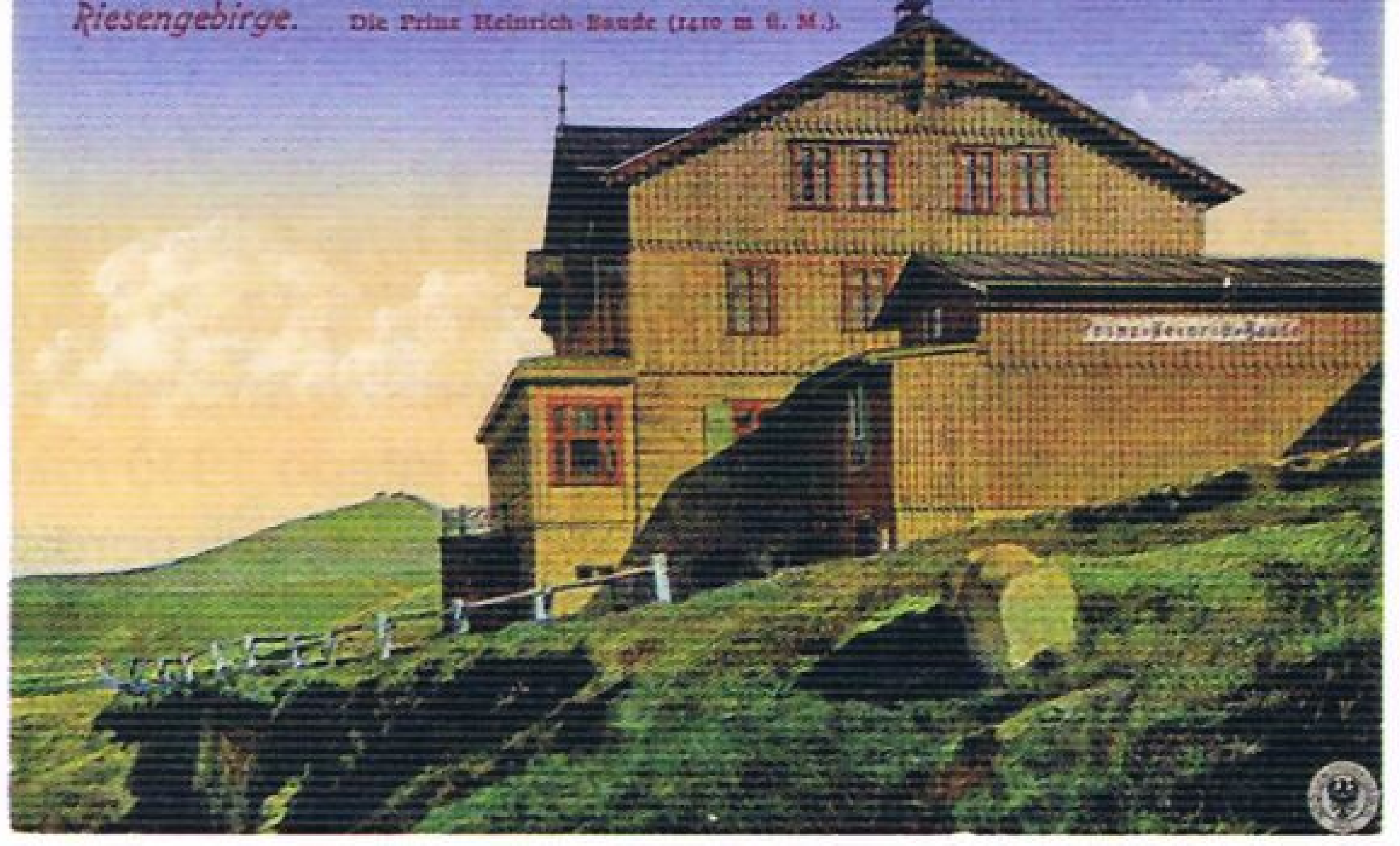

Schronisko Prinz Heinrich Baude. Rok 1912. Źródło: portal dolny-slask.org.pl
Wybudowano je w latach 1888-1889. W tym czasie było jednym z najnowocześniejszych i najbardziej luksusowych w Sudetach. Początkowo miało się nazywać Baude am Mittagstein (od nazwy skały Mittagstein), ale po wizycie w 1888 na miejscu budowy księcia Henryka Hohenzollerna (brata cesarza Wilhelma II) zmieniono nazwę na Prinz-Heinrich-Baude. Po II wojnie światowej nazwę schroniska spolszczono na Księcia Henryka. Było niemal całkowicie opustoszałe – mieszkał w nim tylko przedwojenny właściciel z synami. Jako jedyne w okolicy nie zostało otwarte i przejęte przez którąś z polskich organizacji. W nocy z 9 na 10 X 1946 roku spłonęło w niewyjaśnionych okolicznościach.

Samotni. Czy znalazł tam srebrną zastawę stołową, złote monety, czy też innego rodzaju kosztowności, tego się już pewnie nie dowiemy.

Skarbowe tło próbowano dorobić pożarowi schroniska im. księcia Henryka Pobożnego na Smogorni. Obiekt ten spłonął w nocy z 10 na 11 października 1946 roku. Historia ta opisywana była na łamach „Odkrywcy" kilka lat temu („Odkrywca" nr 2/2012). Publicystą, który rozpowszechnił sensacyjną hipotezę, był Andrzej Klamut, działacz sportowy z Karpacza. Później usiłował on połączyć sprawę pożaru schroniska im. księcia Henryka Pobożnego na Smogorni z pożarem schroniska im. Bronisława Czecha. Ten drugi pożar miał miejsce w pierwszej połowie grudnia 1966 roku. Andrzej Klamut widział pewne analogie pomiędzy obydwoma wydarzeniami i zastanawiał się, czy sprawa ma drugie dno:

„Do tej pory nie wiadomo jednak czy pożar wywołany został celowo, czy też był to nieszczęśliwy wypadek. W tym czasie bardzo surowo karano dowody marnotrawstwa dobra narodowego. Dziwi więc cisza, jaka zapadła po pożarze »Bronka Czecha«. (...) Zastanawiający jest również fakt, iż pożar wybuchł w pomieszczeniu, gdzie był jedyny aparat telefoniczny. Ponadto w pokoju kierownika nie brakowało zapewne popielniczek. Przypadek, czy celowe działanie? – pytanie to zostaje otwarte".

Czyżby schronisko im. Bronisława Czecha, leżące w górnej części Karpacza, przy ul. Na Śnieżkę, miało zostać podpalone w celu ukrycia jakiejś wielkiej defraudacji? Teza to karkołomna i nie mniej absurdalna, niż ta, że ofiary lawiny śnieżnej w Białym Jarze z marca 1968 roku pojechały tam w Karkonosze zimą, aby odkopać spod śniegu złoto Wrocławia. Na pytania stawiane przez Andrzeja Klamuta da się logicznie odpowiedzieć. Z innych relacji wynika, że w schronisku nie było jednego aparatu telefonicznego, lecz dwa. Tyle że ten drugi… nie posiadał tarczy, więc nie można było z niego wykręcić żadnego numeru. Mógł on więc służyć głównie do odbierania połączeń. Tak, tak, w czasach PRL były i takie aparaty telefoniczne bez tarczy. Ponadto po pożarze schroniska im. Bronisława Czecha nie zapanowała żadna cisza, wręcz odwrotnie – sprawa obiła się głośnym echem, a koncepcja odbudowy wałkowana była jeszcze przez wiele lat. Dalej. Może i w pokoju kierownika schroniska nie brakowało popielniczek, ale faktem jest, że niedopałek wrzucono do wiklinowego kosza. Ot nonszalancja palaczy…

Jestem przekonany, że dzisiaj nie ma najmniejszego sensu zrywać podłóg albo poszukiwać zamaskowanych skrytek w piwnicach karkonoskich schronisk turystycznych. Przez obiekty te, tuż po wojnie, przeszły gromady maruderów i poszukiwaczy łupów. W części schronisk funkcjonowały, przez pewien czas, strażnice, bądź też tylko placówki Wojsk Ochrony Pogranicza. Dziesiątki ekip remontowo-budowlanych przewinęły się przez każde ze schronisk na przestrzeni dziesięcioleci. Niejeden z kierowników miał też wystarczająco dużo czasu, aby nasłuchać się ewentualnych opowieści o poniemieckich skrytkach, a potem ewentualnie, w martwym sezonie, gdy w schronisku nie było żadnych turystów, zweryfikować te opowieści. Ale jeśli kogoś to nie przekonuje – proszę bardzo. Wystarczy kupić bilet wstępu do Karkonoskiego Parku Narodowego oraz, co będzie ciut większym wydatkiem, profesjonalny wykrywacz metalu i ruszyć na wędrówkę od schroniska do schroniska. Oczywiście po uprzednim uzyskaniu wszelkich pozwoleń. Powodzenia!

Literatura i źródła:
1. A. Klamut, „Tajemnica »Bronka Czecha«, [w:] „Karkonosze" nr 3 (175)/ 1992, s. 41-44
2. J. M. Kowalski, R. J. Kudelski, „Złoto generałów", Technol, Kraków 2009
3. T. Rzeczycki, „Zagadka spalonego schroniska księcia Henryka Pobożnego" [w:] „Odkrywca" nr 2 (157)/2012 s. 27-31

Tomasz Rzeczycki
Długoletni współpracownik „Odkrywcy". Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju.

W poszukiwaniu Rossgartenstrasse…

WOJCIECH GUDACZEWSKI

W Królikowie (20 km od Ostródy) w czasie II wojny światowej znajdował się jeden z największych obozów jenieckich w Prusach Wschodnich – Stalag IB Hohenstein.[1] Historycy szacują, że w latach 1939-1945 przez ten obóz przeszło około 600 tysięcy jeńców wojennych różnych narodowości – Polaków, Rosjan, Belgów, Francuzów, Włochów. Obozowi macierzystemu Stalag IB Hohenstein w Królikowie podlegało wiele oddziałów roboczych, znajdujących się m.in.: w Olsztynie, Ostródzie, Morągu. Poszukiwania zaginionych śladów przeszłości trwają do dziś.[2]

Wirtualne spotkanie

Wiele lat temu na jednym z ostródzkich forów internetowych pani Cecile Dutrone z Francji umieściła apel, w którym zwróciła się do mieszkańców Ostródy o pomoc, w ustaleniu faktów dotyczących losów jej dziadka: *„Mój dziadek był jeńcem wojennym, w czasie drugiej wojny światowej przebywał w Osterode* [Ostróda – przyp. red.]. *Pracował w firmie Braci Kühn, na ulicy Rossgartenstrasse 4-6. Oto moje pytania:*

– czy jeszcze istnieje ta ulica?

– czy wszystkie budynki stojące przy tej ulicy były zniszczone?

– Czy ktoś ma dawne, lub obecne, zdjęcia tej ulicy?

Z góry dziękuję za wszelkie informacje".

Ulica Rossgartenstrasse to część dzisiejszej ulicy Mickiewicza w Ostródzie. Przed 1945 rokiem stały przy niej: młyn wodny, zakład metalurgiczny, stylowe kamienice oraz budynek będący siedzibą loży masońskiej. Powodowany chęcią udzielenia pomocy oraz ustalenia, czy w Ostródzie faktycznie przebywali jeńcy francuscy, postanowiłem odpisać na mejla. Efekty wymiany informacji, a następnie kontaktów z p. Cecile Dutrone, przerosły moje oczekiwania.

Orientacyjny plan Stalagu IB Hohenstein sporządzony w oparciu o zeznania b. więźnia (za: Z. Lietz, „Obozy jenieckie w Prusach Wschodnich 1939-1945", W-wa 1983), [w:] „Odkrywca" nr 5(160)/2012.

Stalag IB Hohenstein

Na początku 1939 roku Niemcy przystąpili do budowy obozu jenieckiego pod Olsztynkiem, który miał być przeznaczony dla jeńców wojennych. *„Lokalizacja obozu, działającego jako Mannschafts Stamm Lager – Stalag IB Hohenstein, miała względy zarówno praktyczne, jak i polityczne. W latach 30. XX wieku na polach pomiędzy Sudwą a Olsztynkiem wzniesiono*

Dawna ulica Rossgartenstrasse, z prawej fabryka Braci Kühn. Obecnie to część dzisiejszej ulicy Mickiewicza w Ostródzie.

Relikty Stalagu IB Hohenstein. Stan z lat 80. XX wieku.

zdarzyło się…

15 II 1941 r.

74 lata temu miał miejsce pierwszy zrzut Cichociemnych. Dwusilnikowym bombowcem polecieli do okupowanej Polski kpt. Stanisław Krzymowski („Kostka"), por. Józef Zabielski („Żbik") oraz kurier do Delegatury Rządu, Czesław Raczkowski („Janek"). Mieli być zrzuceni w okolicach Włoszczowy i dotrzeć do Warszawy, ale piloci pomylili drogę i zrzucili Polaków na terenach przyłączonego do Rzeszy Śląska Cieszyńskiego, 130 km od miejsca, gdzie czekali na skoczków partyzanci. Po lądowaniu każdy na własną rękę (Zabielski ze złamaną nogą) próbowali dotrzeć do Warszawy. Udało się to obu oficerom, Raczkowski wpadł w ręce Niemców i został uwięziony. Na szczęście po 3. miesiącach udało się go wykupić z więzienia w Wadowicach i także zameldował się w stolicy.

monumentalne założenie pomnikowe upamiętniające historyczną bitwę pod Tannenbergiem. Była to budowla przypominająca wyglądem średniowieczną warownię, w której znajdowało się mauzoleum marszałka Paula von Hindenburga – autora pamiętnego zwycięstwa i ostatniego prezydenta Republiki Weimarskiej. Jego grób, jak i okolica upamiętniająca bitwę, była miejscem »pielgrzymek« licznych grup i wycieczek z Niemiec, a na polach otaczających pomnik corocznie organizowano uroczystości i zjazdy weteranów. Na potrzeby i do obsługi odwiedzających wybudowano tu niezbędną infrastrukturę, łącznie z siecią energetyczną i wodociągową, barakami i polem namiotowym oraz kolejką wąskotorową. Tak więc z chwilą wybuchu wojny miejsce to, po odgrodzeniu zasiekami, idealnie nadawało się do umieszczenia w nim jeńców. Dodatkowo, »obecność« marszałka w pobliżu, miała obniżać morale przetrzymywanych tu więźniów".[3]

Obóz utworzono latem 1939 roku, jako przejściowe miejsce zesłania polskich żołnierzy wziętych do niewoli w trakcie Kampanii Wrześniowej (tzw. Dulag). Jednakże wraz ze wzrastającą liczbą przebywających w nim jeńców, Dulag przemianowano na Stalag IB Hohenstein. *„W pierwszych miesiącach wojny jeńcy przetrzymywani byli w namiotach oraz pod gołym niebem, natomiast załoga zajmowała budynki przeznaczone wcześniej dla wycieczek odwiedzających pomnik. Z czasem, wraz ze wzrastającą liczbą przybywających, infrastrukturę obozową rozbudowano o kolejne baraki i inne budynki".*[4] W 1940 roku, w momencie inwazji Niemiec na kraje Europy Zachodniej i Północnej, w Stalagu IB Hohenstein pojawili się żołnierze francuscy, belgijscy, a w późniejszym czasie także włoscy.

Masowy napływ jeńców francuskich do Stalagu IB rozpoczął się w maju 1940 roku i przez cały ten rok trwał nieprzerwanie. Obok Polaków, a później Rosjan, Francuzi stanowili najliczniejszą grupę jeniecką w Olsztynku. Nastąpiła wówczas dalsza rozbudowa obozu. W tym czasie było tu już około stu baraków. W takim stanie Stalag przetrwał w zasadzie do końca wojny. W 1941 roku na terenie obozu umieszczono jeńców radzieckich; francuskich zaś – przeniesiono do baraków poza obozem. Wśród tych ostatnich była także grupa ciemnoskórych żołnierzy rekrutujących się z kolonii francuskich w Afryce. Umieszczeni byli osobno i źle znosili panujące chłody. Ze wspomnień jeńców wynika, że pewnej nocy zniknęli. Przypuszcza się, że zostali zamordowani przez hitlerowców.

Na początku czerwca 1940 roku wśród tysięcy jeńców francuskich przybyłych do Stalagu IB Hohenstein, był także Georges Dutrone, który dostał się do niewoli 29 maja 1940 r. w Verlinghem (koło Lille na północy Francji). Na początku wojny we Francji służył w 54. Pułku Piechoty. Obsługiwał przeciwlotniczy karabin maszynowy. Jego pułk stacjonował najpierw w sektorze Valenciennes, który później wycofywał się w kierunku Dunkierki. Po ciężkim bombardowaniu żołnierze z 54. Pułku dostali do niewoli w lesie pod Verlinghem. Z Francji przewieziono ich do Olsztynka. Podróż trwała około tygodnia. Jechali w zamkniętych wagonach, a na czas transportu wydawano im pół bochenka wojskowego chleba, na jednego żołnierza, i dziesięć dekagramów konserwy mięsnej. Nie podawano im wody. W Stalagu IB Hohenstein Georges Dutrone otrzymał numer FZ15740.

Po dotarciu na miejsce, rozlokowano ich w barakach. Jeńcy mieszkali po 500–700 osób w baraku, spali na słomie bez jakiegokolwiek okrycia. Wyżywienie składało się z jednego litra zupy na dzień i kilku nieobranych kartofli; jeden bochenek chleba przypadał na pięć do ośmiu osób, do tego wydawano 20 gramów margaryny lub marmolady na osobę. Rozdawaniu posiłków zwykle towarzyszyło bicie jeńców. Ge-

Dawne biuro Braci Kühn.

Georges Dutrone i Paul Fache w zakładzie Braci Kühn w Ostródzie.

orges Dutrone wspominał: *„(...) pewnego dnia poprosiłem o trochę więcej zupy. Z tego powodu niemiecki żołnierz uderzył mnie w twarz".*

Teren obozu przybrał kształt olbrzymiego czworoboku, odgrodzonego podwójną linią zasieków. W jego obrębie wydzielono poszczególne sektory oddzielone drutami kolczastymi, w których przetrzymywano jeńców według narodowości. Zbliżenie się do ogrodzenia, karane było śmiercią. Niemal codziennie Niemcy dopuszczali się okrutnych morderstw w stosunku do przebywających tam jeńców. Zdarzały się przypadki zastrzelenia przy jakiejkolwiek niesubordynacji czy naruszeniu porządku.

Pod koniec 1941 roku do Stalagu zaczęli napływać Rosjanie. Setkami, tysiącami wypełnili cały obóz. Przybywali w opłakanym stanie, często wycieńczeni, chorzy. Śmiertelność wśród nich była ogromna. W pewnym okresie, z powodu zimna, umierało powyżej stu jeńców dziennie. Chowano ich w zbiorowych mogiłach, na cmentarzu znajdującym się ok. 2 km od obozu, przy drodze na Ostródę.

Część jeńców pracowała poza obozem u okolicznych gospodarzy, pozostali wykonywali prace na terenie Stalagu. Polegały one na kopaniu różnego rodzaju dołów, budowie baraków i namiotów oraz wykonywaniu prac porządkowych. Georges Dutrone pracował w obozie, m.in. wyładowywał z transportu kolejowego sztabki aluminium pochodzące z Rosji. Jeńcy pracowali pojedynczo lub w kilkudziesięcio- i kilkusetosobowych grupach – u rolników, w przemyśle i budownictwie, m.in. w zakładach stolarskich w Morągu. Liczna grupa, ok. 700 osób, była zatrudniona przy pracach porządkowych i w transporcie w Olsztynie. Praca w podobozie w wyznaczonej miejscowości, była jedyną szansą, aby przetrwać trudy życia w Stalagu IB Hohenstein. Gdy wśród jeńców poszukiwano tokarzy do pracy w Ostródzie, w firmie Braci Kühn, Georges Dutrone (z zawodu tokarz) oraz jego przyjaciel Paul Fache zgłosili się na ochotnika.

Francuzi w Ostródzie

Do pracy w fabryce Artura Reinholda i Friedricha Kühna zostało skierowanych 20 jeńców francuskich, którzy początkowo stale przebywali na terenie zakładu. Tam też mieli wyznaczone pomieszczenie na zakwaterowanie, spali na piętrowych pryczach. Zakład Braci Kühn zajmował się produkcją m.in. włazów do studzienek kanalizacyjnych, dwie z nich zachowały się do dnia dzisiejszego. Francuzi pracowali około 11 godzin dziennie. Za wykonywaną pracę otrzymywali niewielkie wynagrodzenie, za które mogli kupić produkty żywnościowe, ale gorszej kategorii – przeznaczone tylko dla jeńców wojennych.

Prawdopodobnie w połowie marca 1940 roku Niemcy rozpoczęli akcję – wbrew prawu międzynarodowemu (decyzja ta stanowiła pogwałcenie art. 20 Konwencji Genewskiej z 1929 roku) – pozbawiania statusu jenieckiego i przenoszenia na status robotników przymusowych. Była to jednak, jak twierdzono, formalna zmiana stanu zatrudnienia. Najczęściej bowiem jeńców pozostawiano w dotychczasowym miejscu pracy, zmuszając ich do podpisania deklaracji, w której „dobrowolnie wyrażali zgodę" na pozostanie w III Rzeszy do końca wojny w charakterze robotników cywilnych. Nasilenie tej akcji w Prusach Wschodnich przypadło na lata 1940-1941.

Jeńcy francuscy w mundurach...

W takich warunkach przebywali jeńcy francuscy w Ostródzie.

... i w ubraniach cywilnych.

O tym fakcie Georges Dutrone zawiadamiał swoją rodzinę we Francji, w liście z dnia 19 grudnia 1943: *„(...) Pytam się, czy jesteśmy cywilami czy jeńcami? Chciałbym to wiedzieć. To nieładnie tak postępować! Zatrzymuję się, gdyż mój list może być skreślony przez cenzurę i mógłby trafić do śmieci (...)".* Również fotografie z tego okresu świadczą o zmianie statusu jeńców wojennych. Początkowo występowali oni w mundurach francuskich, później już w ubraniach cywilnych.

Niemcy traktowali Francuzów dość łagodnie: mogli oni swobodnie poruszać się po Ostródzie, pozwolono im nawet założyć własną drużynę futbolową.Wiadomo, że jeńcy zachodnioeuropejscy, zwłaszcza francuscy, utrzymywali korespondencję z rodzinami, otrzymywali paczki za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, a nawet byli zwalniani na przepustki. Otrzymane z przesyłek czekolady, wymieniano na pieniądze, aby kupić inne produkty żywnościowe. Z kolei inni jeńcy zlewali do butelki olej z puszek po sardynkach, który wykorzy-

Do dzisiaj zachowały się dwa włazy do studzienek kanalizacyjnych, produkowanych w firmie Braci Kühn. Fot. W. Gudaczewski.

stywali do robienia posiłków. Radzili sobie, jak mogli. Na terenie zakładu Braci Kühn, Francuzi mieli ukryty odbiornik radiowy, zrobiony ze sprzętu skradzionego w firmie. Znajdował się on pod podłogą, w pomieszczeniu, w którym stały drewniane prycze. Ryzykowali, bowiem wiadomo było, iż za posiadanie radia groziła kara śmierci.

Mimo zaangażowania wielu osób nie udało się ustalić tożsamości wszystkich osób znajdujących się na fotografii.

Georges Dutrone utrzymywał dobre stosunki z jednym z właścicieli fabryki – Friedrichem Kühnem. Na jego prośbę udzielał lekcji języka francuskiego córce Reinholda Kühna. To była krępująca sytuacja wobec innych francuskich jeńców, ale... nie śmiał odmówić! Ze wspomnień Dutrone'a wynika, że Friedrich Kühn dobrze traktował jeńców. W listach do rodziny Georges pisał o nim: *„(...) to bardzo dobry człowiek... rzeczywiście nie wszyscy Niemcy są nazistami".*

Ucieczka z Ostródy

W sierpniu 1944 roku Rosjanie po raz pierwszy weszli na terytorium III Rzeszy. Po krótkiej potyczce ogniowej zwiadowcy radzieccy wycofali się, ale wśród mieszkańców Prus Wschodnich pozostał strach. Niemcy odsunęli się na Zachód. Ewakuacja pół miliona mieszkańców Prus Wschodnich do końca 1944 r. przebiegała w sposób dość zorganizowany, natomiast w 1945 r. zmieniła się w chaos.

O zbliżającym się froncie jeńcy francuscy dowiedzieli się słuchając potajemnie radia. 20 stycznia 1945 roku część mieszkańców Ostródy rozpoczęła ucieczkę przed Armią Czerwoną. Wśród nich znalazła się rodzina Kühn. Dzień później, 21 stycznia, do Ostródy wkroczyła Armia Czerwona. Nastały okrutne dni dla miasta i jego mieszkańców.

Francuzi czekali na żołnierzy Armii Czerwonej. O mało jednak nie przypłacili tego życiem, bowiem Rosjanie, którzy wzięli ich za Niemców, chcieli jeńców rozstrzelać. Na szczęście do tragedii nie doszło. Skończyło się na grabieży portfeli i obrączek ślubnych. Rosjanie zabrali także Francuzom książeczki wojskowe. Po wejściu czerwonoarmistów Dutrone mieszkał początkowo w piwnicy jakiegoś spalonego domu, martwił się o Friedricha Kühna i jego rodzinę. Trochę później dowiedział się, że zdołali uciec do Niemiec, prawdopodobnie statkiem.

Jeńcy z Ostródy nie byli jedynymi, którzy w styczniu 1945 roku odzyskali wolność. 20 stycznia 1945 roku jeńcy ze Stalagu IB Hohenstein opuścili przez nikogo już niepilnowany obóz i udali się w kierunku Ostródy. W obozie pozostali chorzy wraz z kapelanem. 21 stycznia 1945 roku pod Morągiem kolumna jeńców francuskich spotkała się z Rosjanami. Dowództwo Armii Czerwonej postanowiło przetransportować ich linią kolejową do Odessy (!), skąd mieli wypłynąć statkami do Marsylii. Jedne źródła podają, że podroż do Odessy prowadziła przez: Ostródę, Białystok, Brześć, Baranowo. Według innych, jeńcy pokonywali drogę częściowo pieszo, a częściowo koleją, trasą: Ostróda, Działdowo, Warszawa, Siedlce, Dorohusk. Drogą morską do Marsylii dostał się Paul Fache, przyjaciel Georges'a Dutrone'a z podobozu w Ostródzie.

Po wojnie Dutrone otrzymał list od Friedricha Kühna, który założył nową firmę i mieszkał w RFN. Jednakże później nie utrzymywali już kontaktu. Georges Dutrone zmarł w 1971 roku.

Poszukiwania

Wiadomości o losach francuskich jeńców wojennych przebywających w Ostródzie pochodziły głównie ze wspomnień Georges'a Dutrone'a. Z uwagi na fakt, iż zmarł on ponad 40 lat temu, dotarcie do nowych informacji i ich weryfikacja były trudne. Poszukiwania prowadzone były równolegle w Polsce (przez autora tekstu) oraz we Francji, przez wnuczkę Georges'a, panią Cecile Dutrone, która w tej sprawie zwracała się do Archiwum Kombatanta w Caen (Muzeum Mémo-

Fragmenty listów Georges'a Dutrone'a:

„Osterode, 19 grudnia 1943 r.

(...) Tutaj jest bardzo ciche miejsce (na razie). Odpukajmy w niemalowane drewno! Zima u szczytu. Już spadł śnieg, ale nie za dużo. Jeziora są już zamarznięte. Sporo ludzi, a nawet jeńców, ślizgają się na łyżwach. Ja nie mam ochoty. Boje się, że upadnę na twarz. Zadowalam się samym widokiem. Chcę pozostać w dobrym stanie".

„Osterode, 25 grudnia 1943 r.

Dziękuję za Twoje powieści przygodowe i »Charlot«. Nie zapomnij wysłać je do mnie, kiedy możesz. To robi jeńcom przyjemność. Co do znaczków: wysyłam do Ciebie dziś 4 znaczki: 1 »Andre Blondel«, 1 »Lavoisier«, 1 »Przytułek Beauna« i ostatni »Stendhal«. Powiedz mi, czy nadeszły w stanie nienaruszonym. Mam nadzieję, że ci Panowie Cenzorzy nie będą mieli zastrzeżeń. Z góry dziękuję Im (...). Co do polskich znaczków, już pytałem, ale jeszcze nie mam odpowiedzi. Robię wszystko, co możliwe. Nic się nie martw: to mnie nic nie kosztuje (...). Spędziłem dobrą Wigilię Bożego Narodzenia. Zjadłem kurczaka (...) nie wierzyłem własnym oczom".

„Osterode, 21 października 1943 r.

(...) Pytasz się, co robię tutaj? No więc, pracuję 10 i pół godziny dziennie. Wieczorem trzeba gotować. Spędzam resztę czasu na pisaniu lub czytaniu. Nie mam dużo książek. Mam kilka, ale nie są one bardzo interesujące. Widzę, że zrozumiałeś datę mojego listu. Widzisz, że jesteśmy dobrze poinformowani. Nie obawiaj się o mnie. Nic nie ryzykuję. Tego nie boję się. Będziesz miał znaczki, kiedy wrócę. Ile chcesz? Chcesz polskie znaczki również? Jest tu Pan, którego syn spytał o to samo. Więc widzisz, szukamy razem (...)".

„Osterode, 3 lipca 1944 r.

(...) Leżę na brzuchu na trawie i piszę mając deskę zamiast stołu. To położenie jest niewygodne, ale lubię być tutaj, w tym ogrodzie. Odpoczywam z daleka od hałasu fabryki (...)".

rial de Caen). Niezwykle pomocny okazał się p. Sławomir Świerczyński, mieszkający w mieście Osterode am Harz w Dolnej Saksonii. Również rodzina p. Cecile Dutrone zaangażowała się w poszukiwania m.in. listów wojennych pisanych przez Georges'a oraz zdjęć z tego okresu. W ten sposób udało się odnaleźć pięć z nich, napisanych w Ostródzie w latach 1942-1944 oraz kilkanaście fotografii.

Dzięki nim odszukaliśmy miejsca, w których przebywali francuscy jeńcy.

Jednakże nikt nie znał odpowiedzi, kim są ludzie na zachowanych archiwalnych fotografiach? Szczególnie jedno zdjęcie było interesujące, bo oprócz francuskich jeńców wojennych: Georges'a Dutrone'a i Paula Fache, znajdowało się na nim dwóch mężczyzn, prawdopodobnie Niemców…

O pomoc w ustaleniu tożsamości tych nieznanych osób poprosiliśmy byłych mieszkańców Ostródy: p. Maxa Duscha i prof. dr. Edgara Steinera, członków niemieckiej wspólnoty Kreisgemeinschaft Osterode Ostpreussen z Osterode am Harz. Niezwykle ucieszyła nas też informacja o nawiązaniu przez p. Sławomira Świerczyńskiego kontaktu z córką Reinholda Kühna – Lydią, która pamiętała francuskich jeńców wojennych. Wsparciem w ustalaniu wszelkich faktów był również naoczny świadek, były jeniec Stalagu IB Hohenstein – Louis Suarez. Źródłem informacji stała się dla nas francuska strona internetowa, gromadząca dane na temat losów francuskich jeńców w czasie II wojny światowej. Wiedza uzyskana powyższymi sposobami, pozwoliła odtworzyć pełniejszy obraz życia jeńców francuskich w Ostródzie.

Zakończenie

W lipcu 2004 roku p. Cecile Dutrone przyjechała do Ostródy. Dzięki uprzejmości obecnych właścicieli obiektów po dawnej fabryce Braci Kühn, mogła zobaczyć miejsca, w których przebywał jej dziadek oraz inni jeńcy francuscy. Zwiedziła także cmentarz wojenny w Sudwie, na którym spoczywają żołnierze ze Stalagu IB oraz teren po byłym obozie w Królikowie.

Od zakończenia II wojny światowej minęło 70 lat. Mimo upływu czasu ludzie wciąż poszukują śladów swoich bliskich. Powyższa historia jest tego najlepszym przykładem. Ta niezwykła przygoda śledcza stała się materiałem do reportażu filmowego. Powstała również strona internetowa, dzięki której zgłosiły się inne osoby, poszukujące śladów swoich bliskich, którzy przebywali w Stalagu IB Hohenstein. Jedna z nich mieszka na Tasmanii. Jej również udało się pomóc. Ale to już opowieść na kolejną historię.

ZDJĘCIA: ARCHIWUM RODZINY DUTRONE, DZIĘKI UPRZEJMOŚCI P. CECILE DUTRONE.

Przypisy:

[1] W systemie hitlerowskich obozów jenieckich cyfra rzymska oznaczała numer okręgu wojskowego, na terenie którego się znajdował – w tym przypadku był to I okręg wojskowy obejmujący prowincję Prus Wschodnich – literą natomiast oznaczono kolejność powstania obozu na terenie danego okręgu.

[2] Teren obozu został przebadany przez archeologów. Decyzję o tym podjęto w momencie, gdy w trakcie budowy węzła drogowego natrafiono na pozostałości architektury obozowej oraz liczne przedmioty po jeńcach i załodze. Badania przeprowadziła Pracownia Archeologiczno-Konserwatorska Alina Jaszewska z Zielonej Góry, a kierowali nimi Hubert Augustyniak i Monika Włodarczak, przy udziale archeologów z Poznania, Torunia, Radomia, Rzeszowa oraz studentów pod kierunkiem dr. Rafała Zapłaty z UKSW w Warszawie. Patrz: H. Augustyniak, M. Włodarczak, „Pamięć z ziemi wydobyta. Stalag IB Hohenstein w świetle badań archeologicznych", [w:] „Odkrywca" nr 5 (160)/2012

[3] H. Augustyniak, M. Włodarczak, „Pamięć z ziemi wydobyta. Stalag IB Hohenstein w świetle badań archeologicznych" , [w:] „Odkrywca" nr 5 (160)/2012

[4] Tamże.

Wojciech Gudaczewski

Regionalista, były żołnierz zawodowy i dziennikarz. Pasjonuje się tematyką Prus Wschodnich i II wojny światowej. Od ponad 20 lat działa w organizacjach pozarządowych zajmujących się kulturą i ochroną dziedzictwa kulturalnego. Autor projektów edukacyjnych, wystaw, odczytów i publikacji. Jednym z jego ostatnich projektów jest utworzenie Skansenu Fortyfikacji w Starych Jabłonkach. Za swoją działalność otrzymał tytuł „Zasłużony dla Kultury Polskiej". W latach 2005-2008 zajmował się poszukiwaniami dotyczącymi francuskich jeńców wojennych ze Stalagu IB Hohenstein.

REKLAMA

Major z Puszczy Noteckiej

MAKSYMILIAN FRĄCKOWIAK

W pobliżu miejscowości Nowy Dwór w powiecie międzyrzeckim doszło do niecodziennego odkrycia. Przedstawiciele Pracowni Badań Historycznych i Archeologicznych Pomost z Poznania przeprowadzili tam ekshumację szczątków żołnierza niemieckiego z II wojny światowej. Okazało się, iż do śródleśnego grobu złożono ciało majora Wehrmachtu.

Niecodzienne były też okoliczności odnalezienia grobu. Na jego ślady natknął się poszukiwacz, który penetrował okoliczne lasy. Gdy odkrywcy, pośród elementów ekwipunku żołnierskiego (puszki z maską przeciwgazową), ukazały się ludzkie kości, niezwłocznie zawiadomił Pomost o odnalezieniu niemieckiego grobu wojennego. Dzięki postawie anonimowego poszukiwacza nie doszło do zniszczenia mogiły. Możliwe też było przeprowadzenie ekshumacji przy użyciu metod archeologicznych, co pozwoliło na zadokumentowanie nieznanego epizodu z walk między rozproszonymi na tym odcinku oddziałami niemieckimi, a nacierającymi od strony Międzychodu wojskami radzieckimi.

Ze względu na charakter znaleziska, związany z dość płytkim zaleganiem szczątków i brakiem możliwości ich zabezpieczenia, sprawę potraktowano priorytetowo. Niezwłocznie złożono wniosek do Lubuskiego Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie Wielkopolskim o przeprowadzenie ekshumacji pod Nowym Dworem, z prośbą, o jak najszybsze rozpatrzenie. Dzięki temu do prac przystąpiono w bardzo krótkim czasie.

Odnaleziony grób znajdował się na skraju Puszczy Noteckiej, ok. 500 m na zachód od Nowego Dworu i ok. 150 m na południe od brukowanej drogi prowadzącej do wsi Świniary, i dalej do Skwierzyny. Natomiast ok. 1 km na południe od badanego miejsca, skrajem Puszczy, płynie równoleżnikowo rzeka Warta.

Po otworzeniu wykopu, we wskazanym miejscu ujawniła się niewielka prostokątna jama grobowa o wymiarach 165×60 cm, która czytelnie oddzielała się od piaszczystego podłoża. Okazało się też, iż ulokowana jest bezpośrednio pod powierzchnią leśnej drogi gruntowej. Po konsultacji z miejscowym leśniczym stwierdzono jednak, że ów dukt został przesunięty o kilkadziesiąt centymetrów podczas niedawnych prac leśnych. Wszystko wskazuje więc na to, że grób został pierwotnie wykopany przy samym skraju drogi, równolegle do jej biegu. Na planie płaskim obiektu widoczny jest również niewielki okrągły wkop, wykonany przez znalazcę grobu.

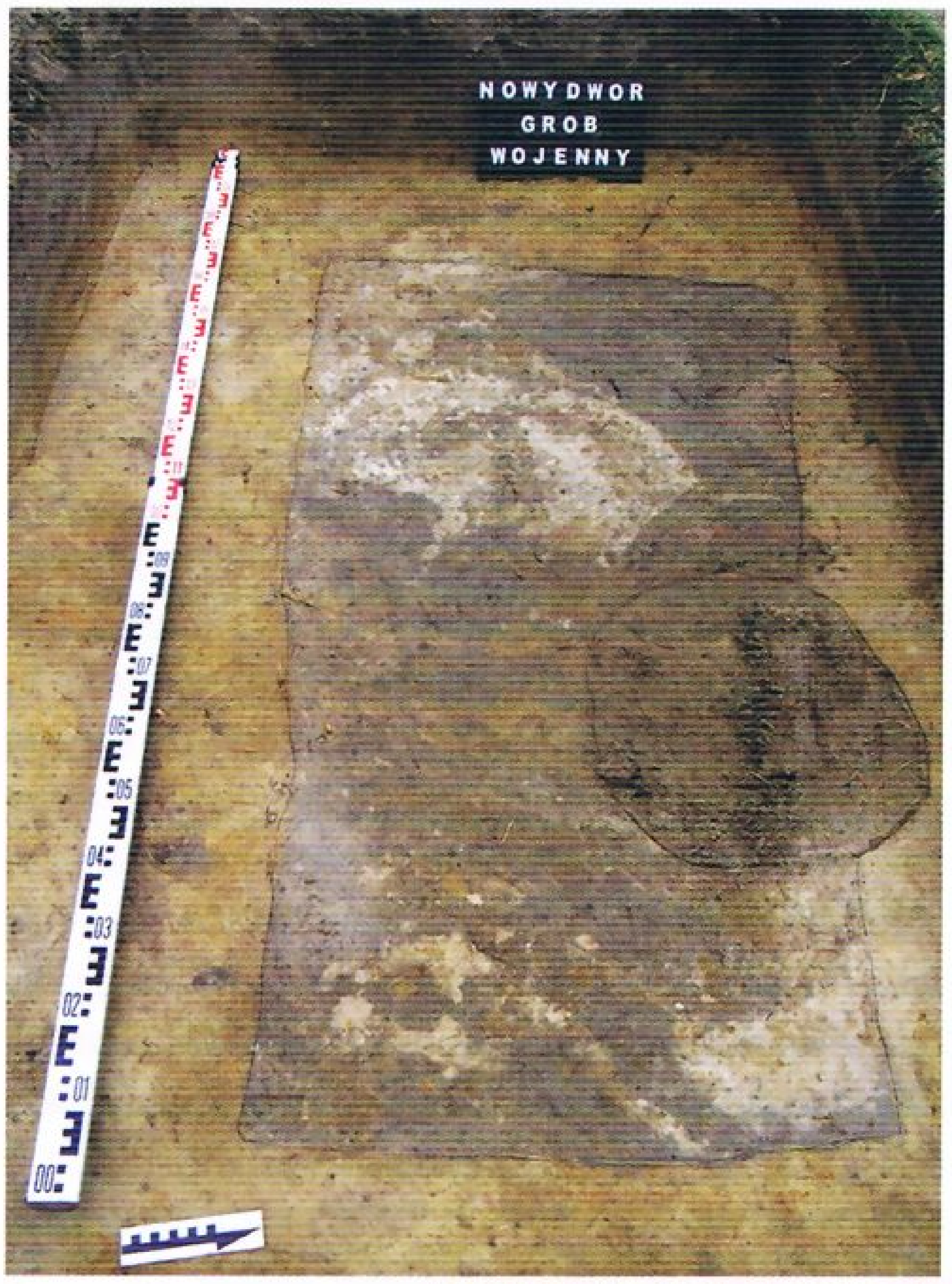

Zarys jamy grobowej o wymiarach 165×60 cm z widocznym wkopem wykonanym przez znalazcę.

Po zarejestrowaniu w wykopie pierwszych kości, przystąpiono do eksploracji grobu przy pomocy szpachelek i pędzli. Po krótkim czasie okazało się, że spoczywają w nim szczątki jednego żołnierza niemieckiego. Jama grobowa okazała się niezbyt głęboka, a jej dno znajdowało się na głębokości zaledwie 50 cm od współczesnego poziomu drogi.

Jako pierwsza znalazcom ukazała się czaszka. Już wstępna jej obserwacja wykazała najbardziej prawdopodobną przyczynę śmierci żołnierza. Zarówno górna,

Jama grobowa została zarejestrowana bezpośrednio pod powierzchnią leśnej drogi.

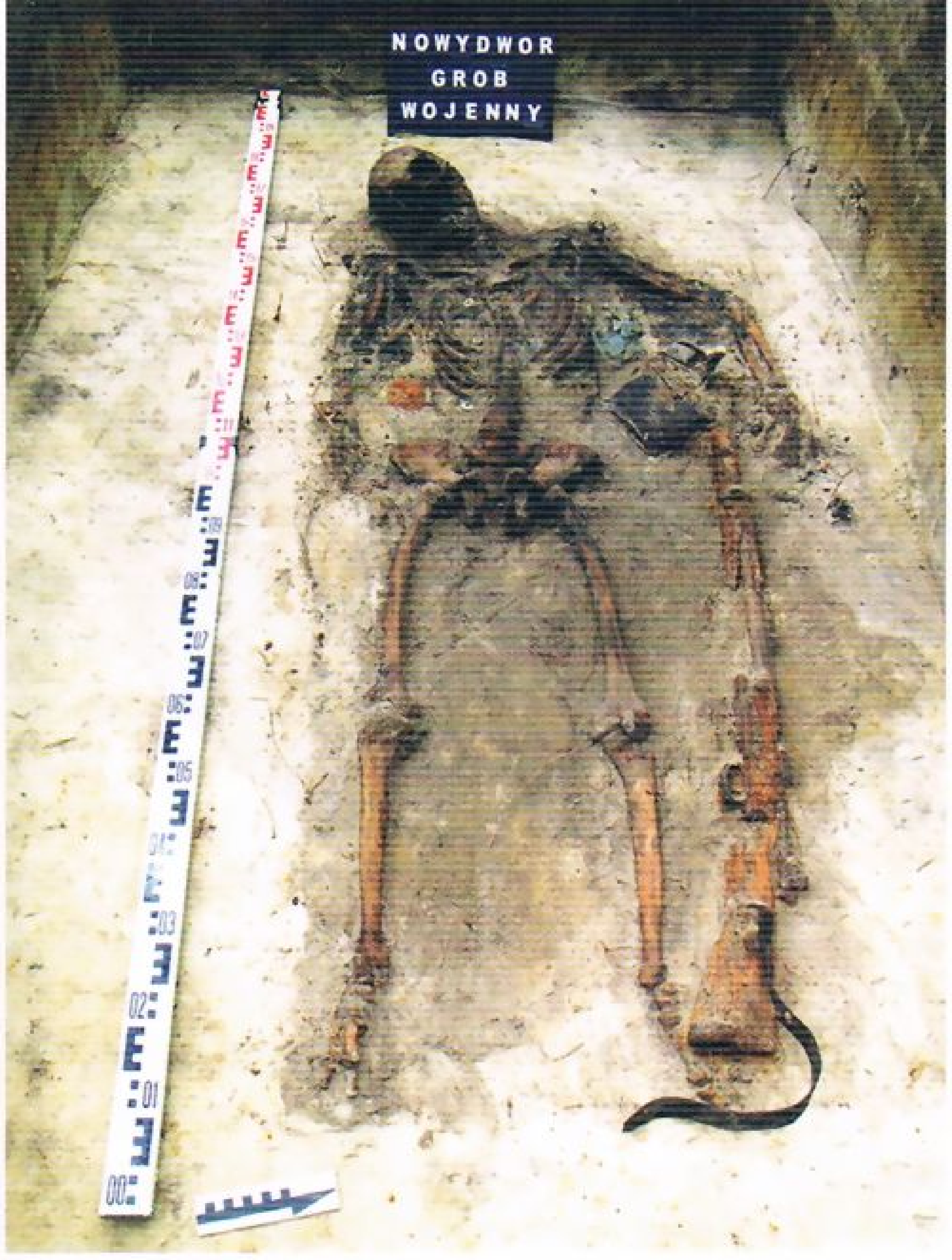

Szczątki majora Wehrmachtu podczas dokumentacji archeologicznej.

jak i dolna szczęka zostały silnie zmiażdżone i wgniecione do wewnątrz. Jednym z przypuszczalnych scenariuszy mogło być uderzenie w twarz kolbą karabinu lub innym ciężkim przedmiotem. Przy kości obojczyków zalegały fragmenty zniszczonych pagonów oficerskich.

Charakterystyczna plecionka ze srebrnych nici jednoznacznie wskazywała, że w grobie spoczywają szczątki majora Wehrmachtu. Natomiast o jego zasługach dla niemieckiej armii świadczyła grupa odznaczeń przytwierdzona pierwotnie na lewej kieszeni munduru, którego fragmenty nadal wyłaniały się spod ziemi. Wśród nich był Krzyż Żelazny I klasy przyznany podczas I wojny światowej. Tuż nad nim leżała szpanga do Żelaznego Krzyża z II wojny światowej. Zestaw ten informował, iż oficer ten został uhonorowany tym elitarnym odznaczeniem dwukrotnie, podczas obu wielkich wojen. Fakt ten sugerował także przybliżony wiek żołnierza, który wynosił zapewne minimum 45 lat. Grupę tę uzupełniała czarna Odznaka za Rany. Spod odznaczeń i fragmentów wierzchniej części kieszeni mundurowej wystawało plastikowe etui na dokumenty. Niestety, środowisko spowodowało całkowity rozkład zalegającego wewnątrz papieru. Na szczęście szczątki majora nie zostaną anonimowe. Po lewej części klatki piersiowej zarejestrowano bowiem połówkę cynkowego żołnierskiego znaku tożsamości, czyli tzw. nieśmiertelnika. Widniejące na nim dane pozwolą w przyszłości na całkowitą identyfikację osobową odnalezionych szczątków przez przedstawicieli Niemieckiego Ludowego Związku Opieki nad Grobami Wojennymi. Wiemy jednak już teraz, iż major służył pierwotnie w sztabie 83. Batalionu Budowlanego.

Wśród innych drobnych przedmiotów osobistych i elementów żołnierskiego ekwipunku było także skórzane etui na wojskową lornetkę oraz mosiężne spinki do mankietów. Jednak najbardziej zaskakującym znaleziskiem okazał się karabin, który został ułożony wzdłuż lewego boku oficera w taki sposób, że lewa ręka obejmowała jego lufę. Był to niemiecki Mauser K98k (kal. 7,92 mm), będący najpopularniejszym typem niemieckiej broni palnej podczas II wojny światowej. Na uwagę zasługuje jednak stan zachowania karabinu. Wokół żelaznego szkieletu wciąż zalegały fragmenty spróchniałej drewnianej kolby, na której osadzony był skórzany pasek.

Komplet odznaczeń oraz plastikowe etui na dokumenty. Widoczne pozostałości lewej kieszeni mundurowej.

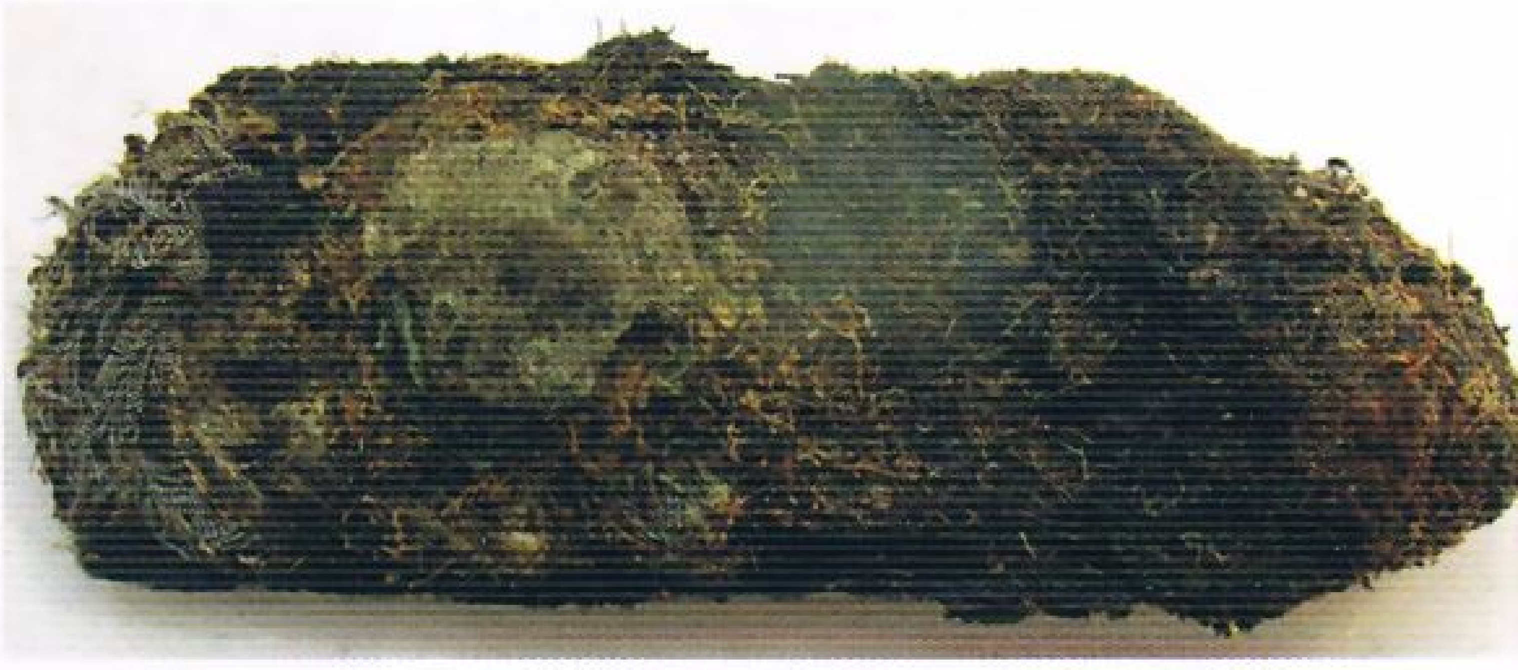

Pagon majora z resztkami srebrnych nici.

Wciąż przytwierdzone do fragmentu kieszeni mundurowej Żelazny Krzyż I klasy z I wojny światowej oraz szpanga do Żelaznego Krzyża z II wojny światowej.

zdarzyło się…

13 II 1917 r.

98 lat temu aresztowano Matę Hari. Wprost z hotelu Margareta Gertruda Zelle, bo tak naprawdę nazywała się ukrywająca się pod pseudonimem Mata Hari, holenderska tancerka i luksusowa prostytutka, została przewieziona do paryskiego więzienia Saint-Lazare. Wywiad francuski, dla którego za pieniądze miała zdobywać cenne informacje, oskarżył ją o to, że równocześnie pracuje dla Niemiec. Dowodem miały być rozszyfrowane niemieckie depesze z informacją o wysłaniu do Madrytu szpiega, który dotarł akurat wtedy, gdy zjawiła się tam Mata Hari. Holenderka przyznała się do współpracy z Niemcami, ale nie do zdrady; twierdziła, że wyciągała od nich jedynie pieniądze. 15 X 1917 r. została rozstrzelana.

Kiedy i w jakich okolicznościach mógł zginąć mjr Wehrmachtu? Na temat dokładnego przebiegu walk w rejonie Nowego Dworu i Świniar nie ma zbyt wielu źródeł.

27 stycznia 1945 r. oddziały 1. Armii Pancernej gen. Michaiła Katukowa opanowały Międzychód. Część jednostek ruszyła wzdłuż prawego brzegu Warty w kierunku Skwierzyny, zdobywając kolejne miejscowości leżące na skraju Puszczy Noteckiej. 29 stycznia czerwonoarmiści wkroczyli do Wiejc, Krobielewka, a następnie do Nowego Dworu i Świniar. W okolicy tej toczyły się mało intensywne walki zaczepne. W ich wyniku zginęło zaledwie 5 żołnierzy radzieckich w Wiejcach i kolejnych 2 w Krobielewku. Ich ciała zostały w późniejszym czasie ekshumowane na Cmentarz Żołnierzy Radzieckich w Skwierzynie. W 2011 r. w Krobielewku ekshumowano także szczątki 2 żołnierzy niemieckich. Kolejnych 2 odnaleziono na skraju Nowego Dworu, ok. 0,4 km na wschód od grobu majora. Na podstawie znalezionych przy nich znaków tożsamości udało się ustalić, że także służyli w jednostkach inżynieryjnych. Niewielka odległość od wszystkich grobów sugeruje jednak, iż wszyscy żołnierze mogli wchodzić w skład jednego, sformowanego pod koniec wojny oddziału. Z terenu Ziemi Międzyrzeckiej ekshumowano w latach 1999-2014 szczątki blisko 250 żołnierzy niemieckich. Odnalezione przy nich znaki tożsamości potwierdzają, iż oddziały broniące obszaru Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego oraz Trzcielskiej Linii Przesłaniania złożone były z żołnierzy wielu różnych rozbitych jednostek, z których na ostatnią chwilę formowano grupy bojowe. W ich skład wchodziły oddziały wojsk lądowych Luftwaffe, Kriegsmarine, a także SS.

Czarna Odznaka za Rany.

Mimo błyskawicznego tempa natarcia Armii Czerwonej major został pochowany z żołnierskimi honorami. Do mogiły złożono broń, pozostawiono odznaczenia, a także odłamano połówkę znaku tożsamości. Nie jest jednak pewne, iż zrobili to podlegli mu żołnierze. Pochować mogła go także niemiecka ludność cywilna, która nie zdążyła ewakuować się przed natarciem i w jakiś sposób zabezpieczyła część nieśmiertelnika. Wątpliwości budzi jednak brak przy szczątkach obuwia, a także innych rzeczy osobistych. Kto mógł je zabrać? Oficerskie buty stanowiły niezwykle cenną zdobycz wojenną. Ze skórzanego etui skradziono również lornetkę. Można postawić tezę, iż ciało oficera zostało ograbione z najcenniejszych przedmiotów bezpośrednio po jego śmierci, po czym zostało w tajemnicy pochowane w nocy lub już po przejściu frontu. Wiele na to wskazuje, iż szczegóły te już na zawsze pozostaną w sferze domysłów.

Połówka znaku tożsamości ze sztabu 83. Batalionu Budowlanego.

Na karabinie Mauser zachowały się pozostałości drewnianej kolby i skórzanego paska.

PRACOWNIA BADAŃ HISTORYCZNYCH I ARCHEOLOGICZNYCH POMOST

Pracownia Badań Historycznych i Archeologicznych Pomost przeprowadza ekshumacje szczątków niemieckich ofiar II wojny światowej na terenie zachodniej Polski. Prace odbywają się na zlecenie polsko-niemieckiej Fundacji Pamięć oraz Niemieckiego Ludowego Związku Opieki nad Grobami Wojennymi. Działalność tych instytucji na terenie kraju podlega Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Wszystkie osoby, które posiadają informacje na temat lokalizacji niemieckich grobów wojennych, proszone są o kontakt z Pracownią.
Tomasz Czabański (prezes) tel.: 601 469 494,
e-mail: pomost@plusnet.pl
www.pomost.net.pl

Krótko po zadokumentowaniu grobu, na miejsce zostali wezwani przedstawiciele Komendy Powiatowej Policji w Międzyrzeczu w celu zabezpieczenia odnalezionej w nim broni. Pozostałe przedmioty zostaną przekazane Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego w Międzyrzeczu, w którym wzbogacą miejscowe zbiory. Natomiast szczątki majora Wehrmachtu zostały już pochowane 9 X 2014 r. podczas zbiorowego pogrzebu żołnierzy niemieckich na Niemieckim Cmentarzu Wojennym w Starym Czarnowie pod Gryfinem. Po zidentyfikowaniu jego danych osobowych zostaną one wyryte na kamiennej, zbiorowej płycie epitafijnej.

Literatura:

1. S. Adamczyk, „Skwierzyna w czasie odzyskiwania polskich ziem zachodnich i działania administracji wojennej w roku 1945", [w:] S. Adamczyk (red.), „Skwierzyna 1945-1990", s. 15-44.
2. P. Anders, W. Kusiak, „Puszcza Notecka. Przewodnik krajoznawczy", Poznań 2011
3. M. Frąckowiak, „Ekshumacje szczątków niemieckich żołnierzy i cywilnych ofiar II wojny światowej przeprowadzone w latach 1999-2012 na terenie powiatu międzyrzeckiego", [w:] G. Urbanek (red.), „Międzyrzecki Rejon Umocniony. 80 lat zabytku architektury obronnej", Pniewo 2013, s. 139-150.
4. A. Sáiz, „Mundury, wyposażenie i osobiste przedmioty żołnierza niemieckiego 1939-1945", Poznań 2009
5. A. Vogel, U. Klar, „Bollwerk oder Papiertiger? Die Kampfhandlungen an der Festungsfront Oder-Warthe Bogen 1945, Seelow 2010

Maksymilian Frąckowiak
Archeolog, numizmatyk, absolwent Instytutu Prahistorii UAM w Poznaniu. Członek Stowarzyszenia Pomost i Pracowni Badań Historycznych i Archeologicznych Pomost.

REBIS

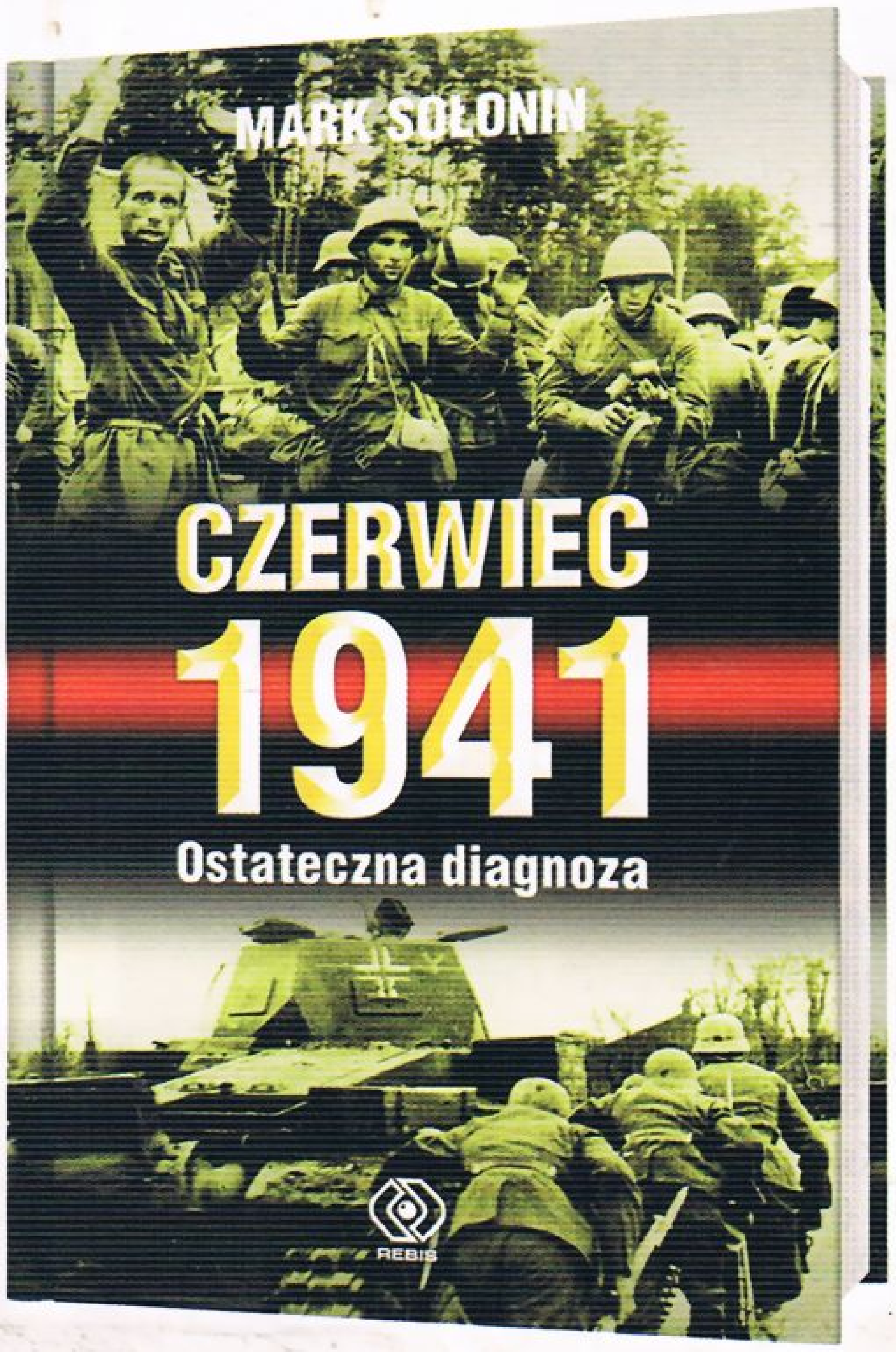

Najnowsze badania nad przyczynami klęski Armii Czerwonej w 1941 r. Ta książka to swego rodzaju uwieńczenie dotychczasowych prac Marka Sołonina i obraz początków Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, mocno różniący się od wciąż utrzymujących się mitów.

Polecamy również inne książki tego autora:

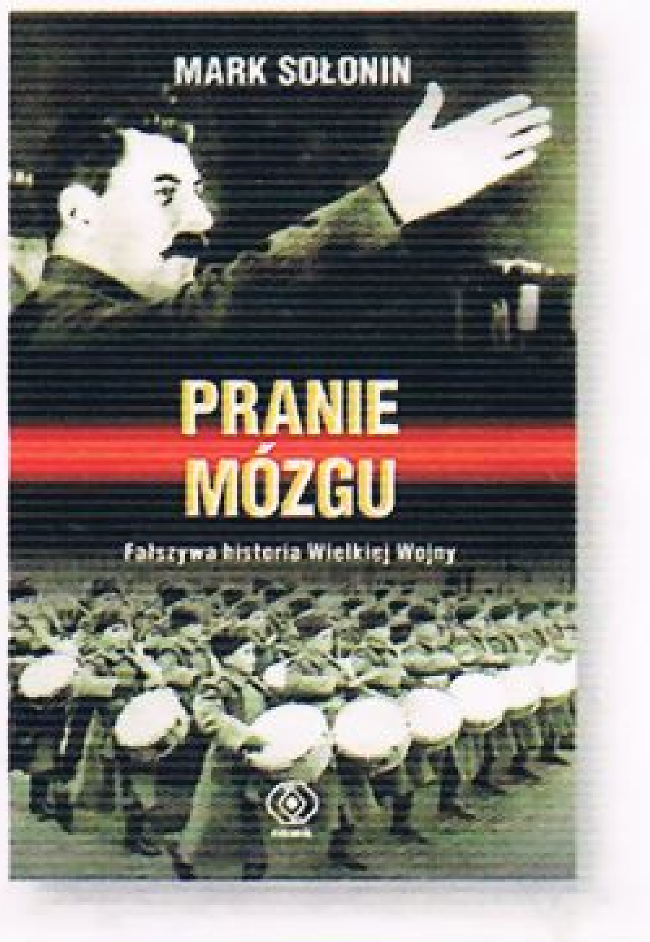

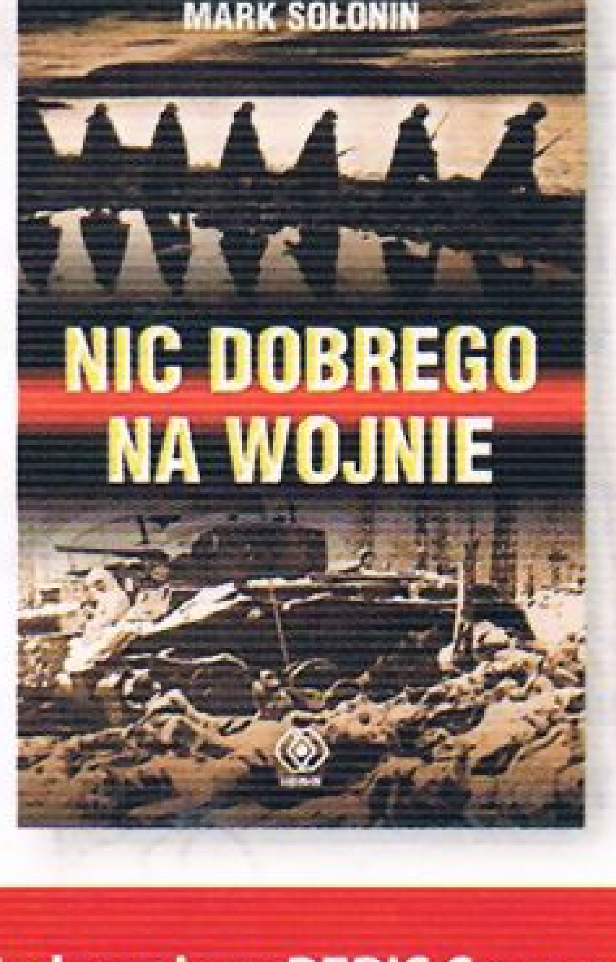

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. www.rebis.com.pl

Śmierć przy ołtarzu

– nowe fakty w sprawie morderstwa ks. Józefa Górszczyka

JANUSZ SKOWROŃSKI

10 stycznia 1964 roku w kościele podczas odprawiania mszy świętej, został zamordowany ksiądz Józef Górszczyk z zakonu pijarów. Historię tego morderstwa, dokonanego w kościele w Maciejowej pod Jelenią Górą, opisywaliśmy równo rok temu. W ciągu minionych dwunastu miesięcy zdarzyło się wiele – Polska Prowincja Zakonu Pijarów ogłosiła ten czas Rokiem o. Józefa Górszczyka, nadano wielogodzinną audycję radiową, ukazało się kilka artykułów, broszura, a nawet obszerna publikacja książkowa. Przez cały rok trwało także śledztwo „Odkrywcy", poparte kwerendą archiwalną w IPN i dotarciem do kolejnych, nieznanych świadków. Czy to przybliża nas do ustalenia prawdy i odpowiedzi na pytanie: dlaczego zamordowano księdza? Oto powracamy do tematu, w którym wciąż jest wiele niewyjaśnionych zagadek.

Ks. Józef Górszczyk (1931-1964) pracował pod Jelenią Górą od 1962 roku. Na zdjęciu podczas mszy w Staniszowie (zb. Zespół Szkół w Pisarzowej).

Przypomnijmy pokrótce. Ksiądz Józef Górszczyk (rocznik 1931) został w 1962 roku przeniesiony do klasztoru pijarów i połączonego z nim kościoła św. Jana Chrzciciela w Cieplicach Śląskich-Zdroju, wówczas samodzielnego, uzdrowiskowego miasta, dziś części Jeleniej Góry. Z drugiej strony leży Maciejowa, wtedy samodzielna wieś, dziś także dzielnica Jeleniej Góry. To tam, we wrześniu 1963 roku, przełożeni skierowali młodego księdza do pracy. Była godzina siódma rano 10 stycznia 1964 roku. Do mszy wyszedł ks. Józef Górszczyk wraz z ministrantami, uczniami pobliskiej szkoły. W trakcie przygotowania darów ofiarnych do księdza podszedł jeden z wiernych. Wcześniej wszedł on do kościoła w nakryciu głowy, z jedną lub dwiema teczkami (tu relacje są rozbieżne) i laską w ręce. Był to 55-letni Piotr Soroka, miejscowy. Ksiądz go nie widział, bo wówczas mszę odprawiano jeszcze tyłem do wiernych. Z jednej z teczek Soroka wyjął... siekierę i ruszył w kierunku głównego ołtarza.[1]

Dotychczas piszący autorzy, próbowali uporządkować ów drastyczny opis śmierci ks. Górszczyka. Służyły temu relacje kilku świadków i zgromadzone dokumenty. Jednym z pierwszych był ks. Andrzej Orczykowski, pisząc m.in.: *„Ministrant w ostatniej chwili ostrzegał kapłana, wołając: »Niech Ksiądz ucieka, bo bandyta idzie z siekierą (...)«, ale ks. Józef w dalszym ciągu nalewał wino do kielicha i w ogóle nie zwracał uwagi na krzyki i nie odwracał się; jakby nie zważał na to, co działo się wokół niego. Kiedy ks. Józef dokończył ofiarowania wina, odstawił kielich, odwrócił się, i ujrzał mężczyznę atakującego go siekierą, oparł się o mensę ołtarza, otwarcie, śmiało spojrzał na zabójcę i (...) rozłożył przed nim ręce jakby na »Dominus vobiscum«.*

Nie usiłował się bronić i nawet nie krzyknął. Pomimo, iż (...) mógł uciec przez kościół na pole i na pobliską szosę. (...) Stał tak majestatycznie i wyglądał imponująco... jak niezłomny święty. Zabójca (...) złapał siekierę w obie ręce i z rozmachem uderzył Księdza w czoło, (...) po twarzy Księdza spłynęła krew. Po tym ciosie kapłan opuścił głowę i osuwając się na nogach, otrzymał kolejne ciosy siekierą. Kiedy ks. Józef odwrócił się, napastnik z zamachem zadał ostrą siekierą na-

Dawni ministranci, Wiesław Kasperczyk (z lewej) i Wiesław Ziemlanowski, byli świadkami wydarzeń, jakie rozegrały się w Maciejowej 51 lat temu.

stępny cios w plecy, chwycił go za włosy i zaczął ciągnąć. Rzucił kapłana twarzą na posadzkę i siekierą (…) walił bez miłosierdzia w Księdza jak w kłodę drzewa. By nie było wątpliwości, co do zamierzonego skutku, wbił siekierę w głowę konającego i ze słowami przekleństw wyszedł z kościoła".[2]

Opis ten jest kompilacją zeznań świadków, uczestników tamtej tragicznej mszy – ministrantów Józefa Baranowicza i Andrzeja Kozłowskiego, zakonnika-zakrystianina Józefa Drażila oraz dwóch z przybyłych na mszę kobiet – Cezarii Ziemlanowskiej i Rozalii Wac.

W najnowszej publikacji o ks. Górszczyku autor – z pewną niekonsekwencją – podaje, że księdzu asystowało do mszy czterech 12-letnich ministrantów (Józef Baranowicz, Aleksander Kostrzewski, Wiesław i Jan Kasperczykowie).[3] Już rok temu powołując się na rozmowę z jednym z nich, pisałem:

„Po latach pan Józef [Baranowicz] *mówi, że nie wszystko, co czytał później o śmierci księdza Górszczyka odpowiada prawdzie. Przede wszystkim morderca nie ciągnął księdza za włosy, wlokąc za ołtarz. Ksiądz Górszczyk po pierwszym uderzeniu schronił się za ołtarzem, uciekając prawym wyjściem. Lewe było zastawione szopką bożonarodzeniową. Ministranci wybiegli zaalarmować kogokolwiek o zdarzeniu. Któryś z ministrantów, kolegów Józka, chwycił w sieni przy wejściu za sznur i zaczął przeraźliwie bić w dzwony. Inny świadek, zakonnik, zamknął się na klucz w zakrystii, ratując w ten sposób własne życie. Otworzył je dopiero wówczas, gdy mordercy już nie było. Z zakrystii jedyne wyjście prowadziło bowiem przez kościół".*

Było także drugie wyjście, niestety nieczynne. Dziś okazuje się, że ministrantów służących 51 lat temu do mszy było nie czterech, a pięciu. Wiesław Ziemlanowski, który w tych latach także był ministrantem, wyjaśnia, że on sam tego dnia miał wolne, a do mszy służył jeszcze inny kolega – Andrzej Kozłowski. Zastanawiać musi, dlaczego w aktach sprawy, zgromadzonych w IPN, zachowały się zeznania zaledwie dwóch z nich (Józefa Baranowicza i Andrzeja Kozłowskiego). Inny z ministrantów – Aleksander Leszek Kostrzewski stał wraz z Józefem Baranowiczem przed ołtarzem.

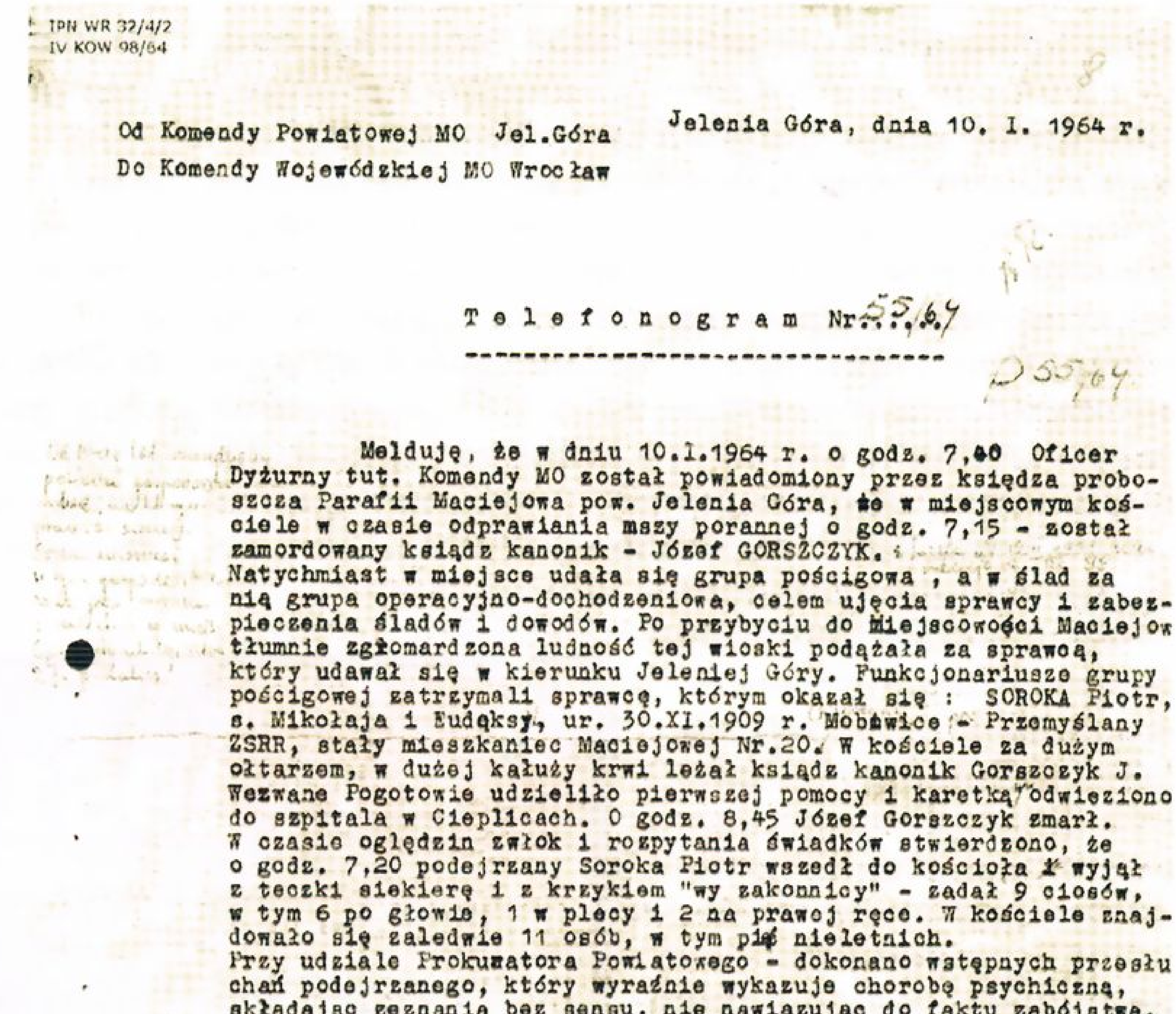

IPN WR 32/4/2
IV KOW 98/64

Od Komendy Powiatowej MO Jel.Góra
Do Komendy Wojewódzkiej MO Wrocław

Jelenia Góra, dnia 10. I. 1964 r.

Telefonogram Nr 55/64

Melduję, że w dniu 10.1.1964 r. o godz. 7,40 Oficer Dyżurny tut. Komendy MO został powiadomiony przez księdza proboszcza Parafii Maciejowa pow. Jelenia Góra, że w miejscowym kościele w czasie odprawiania mszy porannej o godz. 7,15 - został zamordowany ksiądz kanonik - Józef GORSZCZYK.
Natychmiast w miejsce udała się grupa pościgowa, a w ślad za nią grupa operacyjno-dochodzeniowa, celem ujęcia sprawcy i zabezpieczenia śladów i dowodów. Po przybyciu do Miejscowości Maciejow tłumnie zgromardzona ludność tej wioski podążała za sprawcą, który udawał się w kierunku Jeleniej Góry. Funkcjonariusze grupy pościgowej zatrzymali sprawcę, którym okazał się : SOROKA Piotr, s. Mikołaja i Eudąksy, ur. 30.XI.1909 r. Mobawice - Przemyślany ZSRR, stały mieszkaniec Maciejowej Nr.20. W kościele za dużym ołtarzem, w dużej kałuży krwi leżał ksiądz kanonik Gorszczyk J. Wezwane Pogotowie udzieliło pierwszej pomocy i karetką odwieziono do szpitala w Cieplicach. O godz. 8,45 Józef Gorszczyk zmarł.
W czasie oględzin zwłok i rozpytania świadków stwierdzono, że o godz. 7,20 podejrzany Soroka Piotr wszedł do kościoła i wyjął z teczki siekierę i z krzykiem "wy zakonnicy" - zadał 9 ciosów, w tym 6 po głowie, 1 w plecy i 2 na prawej ręce. W kościele znajdowało się zaledwie 11 osób, w tym pięć nieletnich.
Przy udziale Prokuratora Powiatowego - dokonano wstępnych przesłuchań podejrzanego, który wyraźnie wykazuje chorobę psychiczną, składając zeznania bez sensu, nie nawiązując do faktu zabójstwa.
Siekierę ze śladami krwi i inne przedmioty zostały zabezpieczone w toku dokładnie przeprowadzonych oględzin.
Śledztwo w powyższej sprawie prowadzi Prokuratura Powiatowa w Jeleniej Górze. Zwłoki znajdują się w prosektorium w Cieplicach Nie wyjaśniono dotychczas innych motywów popełnienia zbrodni.-

Nadał : Podpisał :

Przyjął: Z-ca K-dta Miasta i Powiatu MO w Jeleniej Górze

/-/ por W. PEDZIWIATR

strona: 0008

Milicyjny telefonogram o zdarzeniu (zb. IPN O/Wrocław).

„Miałem zwyczaj odwracania głowy zawsze, gdy służąc do mszy, słyszałem »ruch« w kościele, otwieranie drzwi. Tak było i tym razem. Kiedy odwróciłem głowę, ujrzałem zbliżającego się Piotra Sorokę, wyciągającego jakiś przedmiot z torby i jego głos »oj, zakonniki, ja wam pokażę!«. Ksiądz go nie widział, stał tyłem. Mszę odprawiano wówczas twarzą do ołtarza i tyłem do wiernych. Ksiądz Górszczyk odwrócił się i zdążył odłożyć trzymaną w dłoniach hostię. Pierwsze uderzenie siekierą poszło na głowę i przeszło po ręce księdza. Odszedł on od ołtarza w kierunku prawego wyjścia za ołtarz. Ja wówczas przeskoczyłem przez balaski i wybiegłem z kościoła. Podobnie zrobił Józek Baranowicz. Soroka poszedł za księdzem za ołtarz".[4]

Leszek Kostrzewski wybiegł z kościoła, był w szoku. Biegł przez wieś do domu i krzyczał bez przerwy: „zabili księdza!, zabili księdza!". Z oddali widział podążającego do kościoła księdza proboszcza Stanisława Marcelego Góralczyka, jednak nie poczekał na niego. Pobiegł dalej, byle jak najprędzej do domu. Kostrzewski podejrzewa, że zdążający do kościoła drugi ksiądz mógł jeszcze nie wiedzieć, co przed chwilą w nim zaszło. Choć w milicyjnych dokumentach można znaleźć zapis meldunku, że to *„ksiądz* [Góralczyk] *wezwał telefonicznie milicję i pogotowie ratunkowe"*, jest to informacja nieścisła. Milicję zawiadomiła wybiegająca z kościoła parafianka, Ludwika Manacka. Naprzeciw znajdowała się szkoła a w niej najbliższy telefon.

Prawdopodobnym jest, że podążającego do kościoła proboszcza Góralczyka zaniepokoiło co innego – dźwięk bijących kościelnych dzwonów o nietypowej porze. Jak zeznawał nieżyjący już ministrant Andrzej Kozłowski: *„kobiety, które uciekły z kościoła po pierwszym ciosie, przed kościołem poleciły mi, abym dzwonił w dzwon na alarm. Dzwonić kazała mi Wacowa i Lenartowicz. Wbiegłem z powrotem do przedsionka i zacząłem dzwonić w dzwon. Gdy dzwoniłem, patrzyłem przez wpółotwarte drzwi. Ksiądz stał po stronie lekcji, oparty tyłem o ołtarz. Soroka stał naprzeciw księdza na pierwszym stopniu ołtarza (stopni ołtarza jest dwa). Rąk księdza ani rąk Soroki, ani siekiery, w tym momencie nie widziałem, bo zasłaniał mi widok Soroki. Ja(k) widziałem, ksiądz zaraz odwrócił się w lewą stronę i zaczął uciekać za ołtarz. Gdy ksiądz odwrócił się tylko, Soroka z zamachem zadał ostrą siekierą drugi cios w plecy. Ja w tym czasie uciekłem. Wybiegłem z przedsionka kościoła i w bramie na cmentarz kościelny spotkałem księdza proboszcza; powiedziałem mu, że Soroka bije księdza siekierą. Przed kościołem nie widziałem już nikogo. Ksiądz proboszcz zaraz zawrócił w kierunku plebanii".*[5]

Być może proboszcz – nie wiedząc nic o telefonującej ze szkoły Ludwice Manackiej – chciał także jak najszybciej powiadomić milicję i pogotowie. A telefon znajdował się na plebanii. Stąd późniejsza notatka w meldunku milicyjnym o tym fakcie. Informację o telefonicznym zgłoszeniu, które wpłynęło od księdza, potwierdza po latach Stanisław Bryndza, oficer milicji i naczelnik wydziału kryminalnego, który kierował akcją dochodzeniowo-śledczą.

Jak zeznał dalej Andrzej Kozłowski: *„ja z panią Masalską zaczęliśmy biegać po domach i zwoływać ludzi na pomoc. Byliśmy tylko w dwóch domach: u Oczkowskiego i Wojnarowicza. U Wojnarowicza zatrzymaliśmy się w progu domu, bo wiedzieliśmy, że Soroka był już na ulicy. Zaszedł za most, obejrzał się i widząc, że dwie niewiasty wracają do kościoła Z*[iemlanowska]+*L*[enartowicz]*, zatrzymał się i zaczął krzyczeć, prawdopodobnie o ile pamiętam: »Ja wam pokażę wasz kościół!«. Biegiem wrócił się do kościoła. Będąc blisko kościoła z płotu wyrwał sztachetę. Ja stanąłem koło bramy szkolnej i widziałem, jak sztachetą stłukł żarówkę nad drzwiami wyjściowymi do kościoła. Widziałem, że wszedł do kościoła i po chwili (niecała minuta) zaraz szybkim krokiem poszedł w stronę Jeleniej Góry".*

Co działo się przez tę minutę? Wyjaśnia mi to, po 51 latach, inny z dawnych ministrantów, Wiesław Kasperczyk:

„Ksiądz Górszczyk przewrócił się przy ołtarzu i zaczął uciekać za ołtarz, na czworakach. Ja uciekałem przed księdzem. Soroka pobiegł za mną za ołtarz. Pociągnąłem za choinkę, która stała przy szopce bożonarodzeniowej, zagradzającej drugie z wejść za ołtarz. Soroka wywrócił się na tej choince. Miejsce po choince odsłoniło się, co pozwoliło mi uciec zza ołtarza i z kościoła. Soroka obrócił się i skierował na księdza. Uderzył księdza siekierą pięć razy, wbijając mu siekierę w głowę. Zza kościoła obserwowałem, jak Soroka opuścił kościół. Wówczas ja powróciłem do środka kościoła. Soroka chciał także ponownie dostać się do wnętrza. Ja z innymi trzymałem drzwi od wewnątrz, by Soroka nie mógł ich otworzyć".[6]

Pozostałymi osobami, które trzymały wewnętrzne drzwi przed ponownym wtargnięciem mordercy do kościoła, byli: zakonnik Józef Dražil, Cezaria Ziemlanowska i Maria Lenartowicz. Jak zeznawała Cezaria Ziemlanowska: *„Soroka targał za drzwi i mówił: »puśćcie mnie, ja wam nic nie zrobię«. Przy tym bił czymś w szyby nad drzwiami, rozbijając je. Poszliśmy do zakrystii, gdy Soroka przestał się dobijać. Po chwili przyszli ludzie i ksiądz proboszcz. Ksiądz proboszcz zaopatrzył księdza Józefa olejami świętymi. Ksiądz Józef leżał za ołtarzem twarzą w dół, a w głowie z jego lewej strony tkwiła siekiera".*

Wiesław Ziemlanowski, wnuk Cezarii mówi że babcia schyliła tylko głowę, szkło sypało się z góry, ale kobiety nadal trzymały drzwi. Kiedy Soroka odszedł od drzwi, które w końcu zamknął zakonnik Dražil, odnalezionym na pęku właściwym kluczem, wszyscy schronili się w zakrystii. Ziemlanowski wyjaśnia także, że proboszcz Góralczyk nie mógł dostać się po oleje do zamkniętej od wewnątrz przez brata zakonnego Józefa Dražila zakrystii. Dopiero po którymś z kolei nawoływaniu „Józek, otwórz, Józek otwórz!", zakonnik otworzył drzwi.

Ministrant Aleksander Leszek Kostrzewski długo nie mógł

zdarzyło się...

8 II 1951 r.

64 lata temu w warszawskim więzieniu przy ul. Rakowieckiej stracony został jeden z najbardziej znanych partyzantów, dowódca V Brygady Wileńskiej AK mjr Zygmunt Szendzielarz ps. „Łupaszka". W 1944 r. na polecenie gen. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka" „Łupaszka", który zwalczał sowiecką partyzantkę, został wyłączony z operacji „Ostra Brama" – wspólnego wyzwalania Wilna przez AK i Sowietów. Oficerowie i żołnierze „Wilka" zostali rozbrojeni i aresztowani. Szendzielarz nie złożył broni do początku 1947 roku. Potem starał się ułożyć sobie życie w cywilu... w czerwcu 1948 r. ubecy dopadli go na Podhalu.

dojść do siebie, przeżycia i uraz psychiczny pozostawił trwały ślad do dziś. Pan Leszek od tamtego dnia zaczął się jąkać. Kiedy młody ministrant w domu nieco ochłonął, powrócił w towarzystwie ojca pod kościół. Dalej nie mógł, bo milicja otoczyła teren i nikogo nie wpuszczała. Także jego. Kostrzewskim, świadkiem zdarzenia, nie zainteresował się nikt. Dopiero po kilku dniach na plebanii w Maciejowej Leszka Kostrzewskiego przesłuchiwał milicyjny oficer Ponikowski, mąż miejscowej nauczycielki. Akta z tego przesłuchania nie zachowały się.

Wiesław Kasperczyk wyjaśnia, że na przesłuchaniu w Jeleniej Górze był tylko raz. Obaj bracia Kasperczykowie przez wiele dni po morderstwie nie mogli otrząsnąć się z doznanego szoku. Starszy o rok Janek przez tydzień nie mógł nic jeść. Bracia przygotowując się podczas mszy do ofiarowania, stali przy ołtarzu tuż przy księdzu. Jan trzymał biały ręczniczek służący do wycierania palców po obmyciu celebransa, zaś Wiesław ampułki z winem i wodą – tak młodszy z braci Kasperczyków zapamiętał przebieg tamtego zdarzenia. Ksiądz otwierał tabernakulum, aby wyjąć kielich do ofiarowania. Według niego Soroka podszedł z siekierą do księdza i uderzył go w tył, w plecy. *„Kiedy ksiądz odwrócił się, otrzymał drugi cios siekierą, w rękę. My, ministranci, uciekliśmy wówczas za ołtarz, ja uciekałem ostatni. Soroka podążył za nami. Później młodsi ministranci wybiegli z kościoła”.*[7]

Przesłuchanie ministranta Wiesława Kasperczyka przez milicję odbyło się po wielu dniach od morderstwa księdza. Jego treść nie zachowała się.

Innym, dziecięcym świadkiem tragicznych wydarzeń, jakie rozegrały się w kościele św. Piotra i Pawła w Maciejowej, była Teresa Baranowicz, siostra ministranta Józefa. – *Tak, byłam w tym dniu w kościele. Miałam wtedy 10 lat, ale pewnych przeżyć nie zapomina się* – otrzymuję potwierdzającą wiadomość z dalekiej Australii, kiedy nawiązuję z nią kontakt. Więc pytam dalej, zwłaszcza, że jest ona kolejną osobą o której wszelkie akta, w tym IPN-u milczą, a dotychczasowi kronikarze tych wydarzeń nic nie wspominają. Pani Teresa obszernie wyjaśnia: – *Byłam obecna na tej mszy, miałam zwyczaj chodzić na msze od przedszkola, robiłam to przez kilka lat. Podczas mszy siedziałam w pierwszej ławce po prawej stronie, tu, gdzie stała piękna figura Matki Boskiej. Pierwsza ławka dla dzieci, bez klęcznika, ale z oparciem. Zaraz za mną siedziała starsza pani Lenartowicz i pani Wicher*[8]*, babcia Marysi Wicher, mojej koleżanki z klasy. Było parę osób więcej, ale nie pamiętam. Zabójca nazywał się Soroka (znałam go z widzenia), do kościoła przyszedł późno, msza była w toku. Kiedy wchodził, wszyscy obejrzeli się, bo głośno coś mówił do siebie, ale nie można go było zrozumieć. Stanął tyłem do ołtarza, z lewej strony kościoła (przy figurze św. Antoniego). Na ławce (dokładnie na poziomie mojej ławki) położył starą, skórzaną, brązową teczkę i wyjął z niej coś, co wyglądało jak siekiera. Pamiętam, że usłyszałam słowa „oj, zakonniki, ja wam pokażę!”. Ksiądz Józef chyba to widział, ale kontynuował mszę. Usłyszałam ostrzeżenie od pań siedzących z tyłu: „uciekać!”. Zobaczyłam że i one, i inne osoby, opuszczają kościół i boczną nawą również i ja uciekłam. Nie pamiętam zupełnie odcinka drogi od kościoła do ulicy. Pamiętam, że biegłam ulicą (już za mostem) głośno płacząc i krzycząc: „zabiją księdza!”.*

Przybiegłam prosto do domu ulubionej cioci Feli [Baranowicz]*, bo z nią często chodziłam na te ranne msze i powiedziałam, co się stało. Nie pamiętam wiele z tych chwil, był płacz*

Stanisław Bryndza (z lewej) pokazuje proboszczowi ks. Grzegorzowi Krzystkowi miejsce za ołtarzem, gdzie zobaczył konającego ks. Józefa Górszczyka.

i krzyki, a ja wróciłam się do szkoły, bo już byłam spóźniona. Nie pobiegłam do domu, bo mama była w pracy. W szkole już wiedzieli, że coś się stało, widziano milicję. Nikt nigdy nie pytał mnie o nic, miałam wówczas 10 lat. Potem brat, Józek, powiedział mi resztę. Do mszy służyli Józek i Andrzej Kozłowski, ulubieniec księdza Józefa. Innych osób już nie pamiętam.[9]

Wiesław Ziemlanowski nie poszedł na lekcje. Obserwował spod bramy szkoły, jak pod kościół podjechał milicyjny gazik z... mordercą w środku. Został on ujęty przez milicyjną grupę pościgową już na krańcu wsi, pod Grabarowem. Tak szybkie przemieszczenie się było możliwe, bo uciekający Soroka skorzystał „z okazji”, podwieziony zatrzymanym autem. Jego kierowca, Ryszard Kloc, zeznał później, że zauważywszy na ul. Chłopskiej nadjeżdżający pojazd MO (musiała to być wysłana pierwsza grupa pościgowa), przekazał Sorokę milicjantom, a ci... ruszyli z nim, z powrotem, do Maciejowej. Dlaczego? Stanisław Bryndza będący w drugiej grupie – kryminalnej – ustalił po otrzymaniu zgłoszenia, że obie ruszające do akcji grupy spotkają się pod kościołem. – *Dlatego pierwszy samochód nie skierował się wprost do Jeleniej Góry* – wyjaśnia dziś p. Stanisław. Jednakże drogą radiową Bryndza otrzymał meldunek, że przed kościołem gromadzą się ludzie, a milicjanci obawiają się publicznego linczu Soroki. Bryndza przez radiotelefon rozkazał natychmiastowe opuszczenie Maciejowej przez grupę pościgową i powrót. Po drodze oba pojazdy, z grupami pościgową i kryminalną, spotkały się, i po krótkich ustaleniach, każda z grup udała się w swoją stronę. Bryndza dotarł na miejsce tragedii. Kiedy po latach czyta: *„ze źródeł organów bezpieczeństwa wynika, że około godz. 8.00 rano do Maciejowej dotarła druga grupa operacyjna, składająca się m.in. z pracowników dochodzeniowych MO i SB pod kierownictwem z-cy komendanta powiatowego ds. bezpieczeństwa mjra Michała Polaka oraz prokuratora powiatowego. Czy wówczas, z tą ekipą, przywieziono do Maciejowej mordercę, nie udało się ustalić”*[10] – nie kryje swego zdziwienia i zażenowania. – *Majora Polaka z nami nie było!* – stwierdza stanowczo, czym podważa i spo-

Ewa Manacka przy grobie Józefa Horaka, do którego w wielkiej tajemnicy jej ojciec umieścił naczynia z krwią zamordowanego księdza.

sób, i wiarygodność materiałów wytworzonych wówczas przez jeleniogórską bezpiekę.

Stanisław Bryndza dokładnie po 51 latach pojawił się kościele w Maciejowej. Towarzyszyłem mu. Po skończonej mszy rocznicowej, ks. proboszcz Grzegorz Krzystek udał się z nim za ołtarz. Powróciły sceny, o których pisałem przed rokiem:

„W ciasnym przejściu między ołtarzem a ścianą prezbiterium leżał ksiądz Józef. Widok był przerażający. W jego czaszce tkwiło głęboko osadzone ostrze siekiery. Jej trzonek dotykał ściany. Kiedy kapitan bezskutecznie próbował wyjąć siekierę z głowy księdza, ten mrugnął oczami, charczał. Żył. Za ołtarzem było za ciasno na nosze. Bryndza szybko podjął decyzję. Z pomocą proboszcza i innych ostrożnie przeniósł ks. Górszczyka na dywan przed ołtarz. Wszędzie lała się krew (...). Bryndza ostrożnie podtrzymywał głowę wikarego, z utkwioną w niej siekierą. Po chwili nadjechało pogotowie, zawiadomione przez milicyjną radiostację. Położono księdza na nosze, wyniesiono do karetki i przewieziono do szpitala w Cieplicach. Siekiera nadal tkwiła w jego głowie".

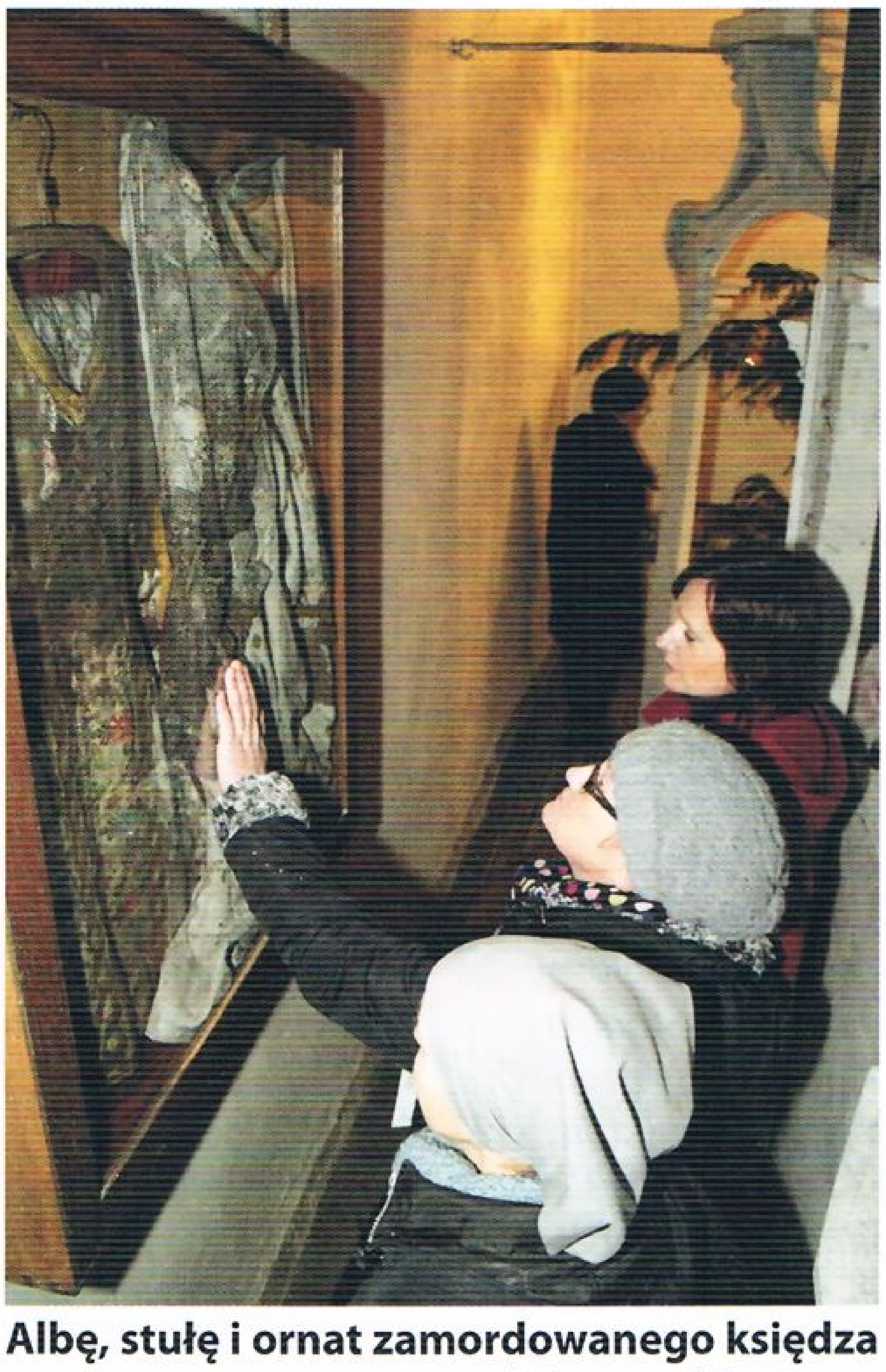

Albę, stułę i ornat zamordowanego księdza wyeksponowano w specjalnej gablocie za ołtarzem.

Stanisław Bryndza uściśla tę informację. Przed ołtarzem, przybyły lekarz pogotowia, wyjmując z głowy księdza wbitą siekierę, zakładał jednocześnie opatrunki przeciwkrwotoczne i uciskowe. Karetka ruszyła po obandażowaniu głowy księdzu. Wokół było bardzo wiele krwi. Tą krew, która – o dziwo – nie zakrzepła, później zbierano do naczyń.

Ewa Manacka, córka późniejszego kościelnego Józefa Oczkowskiego, prowadzi na przykościelny cmentarz parafialny. Pokazuje miejsce, gdzie w lutym 1964 roku, a więc miesiąc po morderstwie księdza Górszczyka, przygotowano grób dla zmarłego Józefa Horaka. Nim go pochowano, ojciec pani Ewy umieścił w nim gliniane naczynie i szklany słoik, do którego zebrano krew po zamordowanym księdzu. Ile było tych naczyń? – tego pani Ewa nie wie. Z innej relacji, choćby Wiesława Czuja, uczestnika kolonii letnich w miejscowej szkole, a więc co najmniej pół roku po morderstwie, wynika, że odwiedzającym kościół jemu i jego ojcu Czesławowi (kierownikowi kolonii) okazywano naczynie szklane z krwią, zebraną w kościele. W 1977 roku podczas sprzątania plebanii Józef Oczkowski i jego córka Ewa odnaleźli na strychu foliowy worek, w którym zapakowano pokrwawione szaty liturgiczne ks. Górszczyka. Ówczesny proboszcz ks. Ludwik Sosnowski zdecydował, aby wyeksponować je w kościele. Pierwotnie gablota z szatami wisiała przy wejściu do kościoła, obok pamiątkowej tablicy poświęconej ks. Górszczykowi. Obecnie znajduje się za ołtarzem, w miejscu morderstwa.

Wiesław Ziemlanowski uważa za swój obowiązek dokonać jak najdokładniejszej rekonstrukcji tamtych, tragicznych wydarzeń. On także, trzeci z ówczesnych ministrantów, potwierdza, że w dotychczasowych opisach o morderstwie dokonanym na ks. Górszczyku, nie wszystko odpowiada prawdzie. Wśród ministrantów długo rozmawiało się o tamtym morderstwie i Wiesław zapamiętał szczegóły. Po mszy zaprasza mnie i Stanisława Bryndzę do siebie. Przed domem wyjaśnia, że tu wcześniej stała kuźnia jego dziadka. – *To do niej Soroka przychodził ostrzyć siekierę* – oznajmia pan Wiesław. W Maciejowej do dziś mówi się, że Soroka miał przygotowaną listę 12 osób, które zamierzał zamordować. Z różnych powodów. Znaleziono ją podczas rewizji w domu mordercy. Tego wątku także nikt nie zbadał, choć żyją osoby, które to potwierdzają.

Ministrant Wiesław Kasperczyk pojechał do Cieplic na pogrzeb ks. Górszczyka w... bagażniku taksówki. Tak dużo osób nią jechało. Od Jeleniej Góry aż do Cieplic ciągnęły szpalery ludzi z obu stron. Aleksander Kostrzewski pojechał kursowym autobusem. W Cieplicach także

zobaczył tłumy ludzi, nie miał szans dostać się do sali przy kościele św. Jana Chrzciciela, gdzie wystawiono odkrytą trumnę ze zwłokami zamordowanego księdza. Po południu 12 stycznia 1964 roku w Cieplicach odbył się pogrzeb. Przewodził mu ks. bp Wincenty Urban. W samej Jeleniej Górze obawiano się wybuchu niepokojów społecznych w dniu pogrzebu.

Proboszcz, ksiądz Marceli Góralczyk, do końca żył w przekonaniu, że 10 stycznia 1964 roku to on miał zginąć, a nie wikary o. Górszczyk. Dlaczego księża „zamienili się" na poranne mszy? I to nie dzień wcześniej, jak sugerują niektórzy, a owego feralnego dnia. Miejscowi mówią, że przed siódmą rano do kościoła wyszli obaj. Plebania znajduje się ok. 200–300 m od kościoła. Przy plebanii niesamowicie głośno ujadał pies. Proboszcz szybko podjął decyzję, że go uspokoi i zamknie, a potem dogoni Józka i w kościele siądzie w konfesjonale. Ksiądz Józef powinien punktualnie o siódmej rozpocząć mszę…

○ ○ ○

Wiele emocji wzbudził mój ubiegłoroczny tekst w „Odkrywcy", kiedy relacjonując przesłuchanie mordercy, Stanisław Bryndza podał, co ustalono w śledztwie, i co miał zeznać morderca. Soroka w czasie wojny przeżył obóz koncentracyjny. Szczególnym okrucieństwem wobec niego cechował się jeden z esesmanów funkcyjnych obozu. Były więzień przysiągł sobie, że zemści się na nim po wojnie, jeśli kiedykolwiek go spotka. Niewinny ksiądz łudząco przypominał mu oprawcę z obozu. Na tę zacytowaną przeze mnie relację świadka wydarzeń, najbardziej zareagował ks. Adam Gul z Pisarzowej koło Limanowej, od lat strażnik pamięci zamordowanego pijara, który w pisemnej skardze na mnie do… Kurii Diecezjalnej w Legnicy (!)[11] pisał m.in.:

„Pan Janusz Skowroński, opierając się na informacjach funkcjonariusza z lat 60-tych, bez sprawdzenia odpowiednich dokumentów, podaje sensacyjną wiadomość o śmierci ks. Józefa Górszczyka, naszego Rodaka (…). To są brednie i oparte na relacjach prowadzącego śledztwo, nie poparte żadnym dokumentem. Za jakiś czas będziemy mogli czytać o nowej konfabulacji na temat morderstwa (…). W aktach Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu jest natomiast informacja, że podczas II wojny Soroka został wywieziony do Austrii, gdzie pracował w cegielni. Panowie »odkrywcy« szanujcie pamięć nieżywych – tu, te rewelacje nie są na miejscu".[12]

By wyjaśnić wszelkie wątpliwości, najprościej byłoby dotrzeć do materiałów ze śledztwa. Takiego zdania jest także emerytowany oficer Stanisław Bryndza, który po 1989 roku przeszedł stosowną weryfikację i kilka lat później zakończył pracę jako podinspektor policji. Udało się ustalić, że pierwszymi lekarzami badającymi Sorokę byli bolesławieccy psychiatrzy – Michał Maszyński i Henryk Malinowski (to na jego obecność przy pierwszym przesłuchaniu powoływał się Stanisław Bryndza). Kiedy redakcja „Odkrywcy" wystąpiła ze stosownym wnioskiem do IPN o wgląd do dokumentów, udostępnione je. Akta zawierają 84-stronicową dokumentację o umieszczeniu mordercy księdza w zakładzie psychiatrycznym i zakładzie zamkniętym.[13]

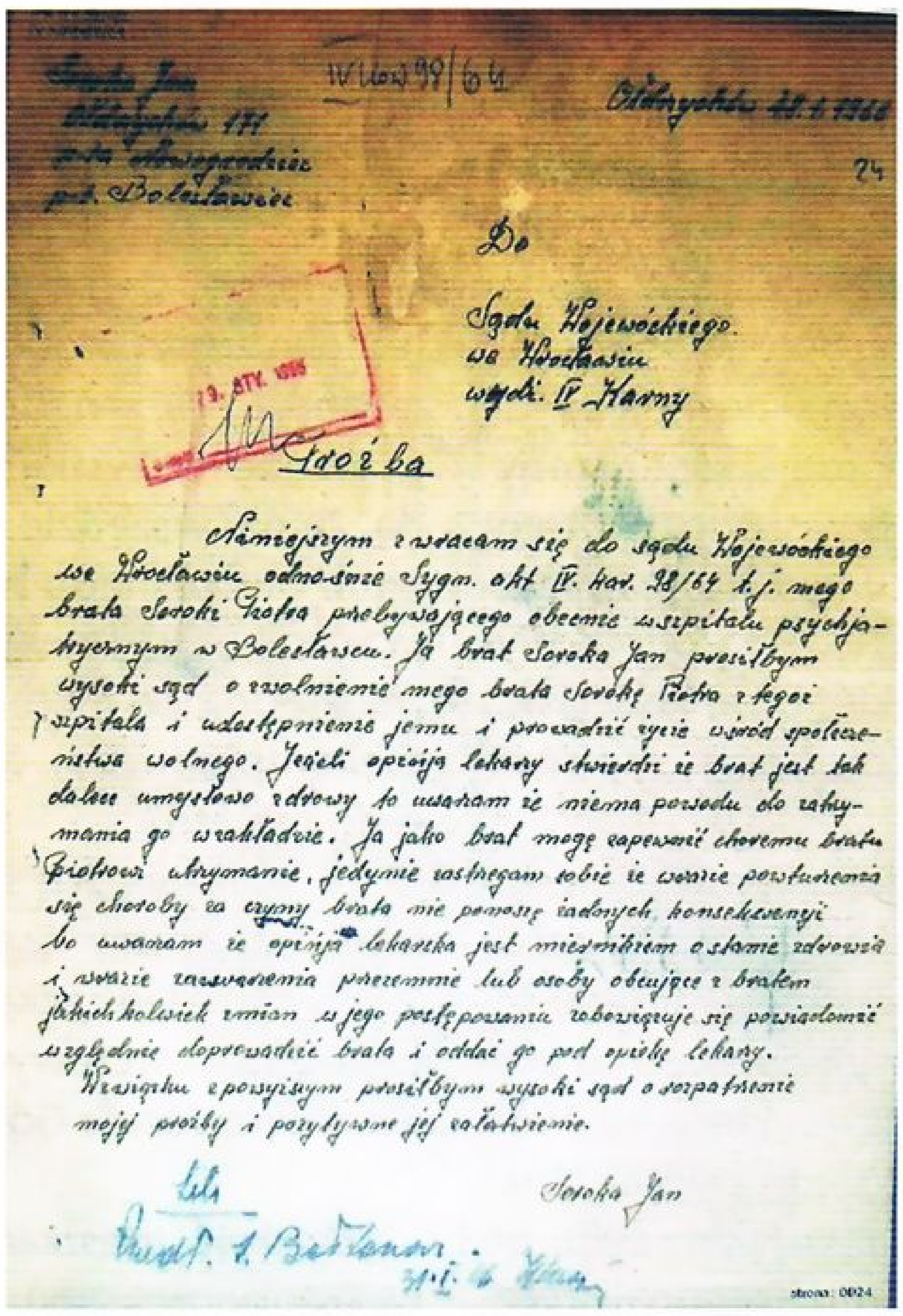
[illegible]
W IV Kar 38/64
[illegible]
24

Do
Sądu Wojewódzkiego
we Wrocławiu
wydz. IV Karny

13. STY. 1965

Prośba

Niniejszym zwracam się do sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu odnośnie Sygn. akt IV. Kar. 38/64 t.j. mego brata Soroki Piotra przebywającego obecnie w szpitalu psychjatrycznym w Bolesławcu. Ja brat Soroka Jan prosiłbym wysoki sąd o zwolnienie mego brata Sorokę Piotra z tegoż szpitala i udostępnienie jemu i prowadzić życie wśród społeczeństwa wolnego. Jeżeli opinja lekarzy stwierdzi że brat jest tak dalece umysłowo zdrowy to uważam że niema powodu do zatrzymania go w zakładzie. Ja jako brat mogę zapewnić choremu bratu Piotrowi utrzymanie, jedynie zastrzegam sobie że w razie powtórzenia się choroby za czyny brata nie poniosę żadnych konsekwencji bo uważam że opinja lekarska jest [illegible] o stanie zdrowia i w razie zauważenia przezemnie lub osoby obcujące z bratem jakichkolwiek zmian w jego postępowaniu zobowiązuje się powiadomić względnie doprowadzić brata i oddać go pod opiekę lekarzy.
W związku z powyższym prosiłbym wysoki sąd o rozpatrzenie mojej prośby i pozytywne jej załatwienie.

Soroka Jan

[illegible]

strona: 0024

Nigdy nie wyjaśniono, dlaczego brat mordercy ubiegał się o zwolnienie Piotra Soroki ze szpitala psychiatrycznego i to zaledwie po dwóch latach od popełnienia zbrodni. Soroka za swój czyn nigdy nie poniósł odpowiedzialności karnej. (zb. IPN O/Wrocław).

Ich analiza pozwala na stwierdzenie, że nie są to akta kompletne, bo nie zawierają akt śledczych, na które powoływał się przesłuchujący Sorokę, Stanisław Bryndza.

Jedynie w 10-stronicowym orzeczeniu sądowo-psychiatrycznym, wydanym 14 maja 1964 roku przez lekarzy Jana Lisowskiego i Jerzego Katzellenbogena[14] ze Szpitala Psychiatrycznego przy Centralnym Więzieniu nr 2 we Wrocławiu, o stanie zdrowie Piotra Soroki, wzmiankuje się o istnieniu *„akt ze śledztwa (niezszytych, postronicowanych na 70-kartach)*, z wyciągu których korzystali lekarze psychiatrzy. Niestety, ów 70-stronicowy dokument ze śledztwa nie jest dostępny lub też nie zachował się. Szkoda, bo mógłby rozwiać te wątpliwości. W innych dokumentach można przeczytać, że Soroka niedługo przed wybuchem wojny 1939 r. był blisko rok na robotach na Łotwie, podczas wojny wywieziono go do Austrii, gdzie aż do wyzwolenia pracował w cegielni. Soroka powrócił do Polski przez Lwów, a potem, kolejno szukając swego miejsca, zaliczał: Kraków, Głogów, Szczecin i w końcu osiadł w Maciejowej pod Je-

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS
ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

lenią Górą. Niewykluczone, że w odtwarzaniu zapamiętanych zeznań składanych po morderstwie, doszło do przekłamania słowa „obóz" (Lager), który mógł być zarówno KZ-Lagrem, jak i Arbeitslagrem.

Soroka ożenił się w 1946 roku. Czy ktokolwiek z rodziny mógł znać jego wojenną przeszłość? Tego nie wiemy. Jak i tego, dlaczego nikt przez 50 lat nie podjął próby dotarcia do rodziny i zweryfikowania jego wojennego życiorysu. Analiza zachowanych dokumentów i dane osobowe członków rodziny umożliwiają takie działania. Morderca księdza, który nigdy nie trafił na ławę oskarżonych, przebywał kolejno w szpitalach psychiatrycznych – we Wrocławiu i Bolesławcu (szpital w Lubiążu odmówił przyjęcia). Ciekawostką jest to, że już 18.01.1966 roku (a więc w dwa lata po morderstwie) przebywającym w szpitalu psychiatrycznym w Bolesławcu Piotrem Soroką chciał zaopiekować się jego brat Jan, który zamieszkuje… nieopodal, bo w Ołdrzychowie koło Nowogrodźca. Wysłał w tym celu pismo do Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu o *„zwolnienie brata mego ze szpitala. Jako brat mogę zapewnić mu utrzymanie"*.

Ostatecznie, z niewiadomego powodu, kiedy bolesławiecki szpital przygotowuje Piotra Sorokę na zmianę miejsca przebywania i swego statusu, Jan Soroka odstępuje od pierwotnej decyzji i nie wyraża już zgody na opiekę nad bratem. Podobnie czyni żona Soroki, Stanisława, która od 1953 roku nie mieszka z nim, wyprowadziwszy się z czwórką dzieci aż pod Kalisz. Zastanawiać także musi, w jakim celu, po dwóch latach od morderstwa, Laboratorium Kryminalistyczne KW MO we Wrocławiu 22 III 1966 r. zwraca się do Sądu Wojewódzkiego, w tym samym mieście, o wypożyczenie akt sprawy mordercy? Czyżby zaszły nowe okoliczności w sprawie? Co badała ta specjalistyczna placówka? – także nie wiadomo. Akta wracają do sądu miesiąc później (28 IV) *„po wykorzystaniu"*.

Odbywającemu szpitalne leczenie psychiatryczne w Bolesławcu Piotrowi Soroce, od czasu do czasu wystawiano opinie o stanie zdrowia. W 1971 roku lekarze definiują jego chorobę jako schizofrenię paranoidalną, a dwa lata później wyjaśniają, że *„na defekt psychiczny* [Soroki] *składają się wielorakie czynniki, a przede wszystkim czynnik endogennej psychozy* ***trwającej przewlekle w przeszłości****"* [pogrub. J. S.]". O jak głęboką przeszłość Piotra Soroki mogło chodzić? Tego, niestety, lekarze nie wyjaśnili.

W lipcu 1973 roku bolesławiecki szpital powiadamia Sąd Wojewódzki we Wrocławiu w sprawie Soroki, że *„znając sytuację pacjenta i jego stan psychiczny, wydaje się nam celowe zniesienie środka zabezpieczającego i umieszczenie pacjenta w oddziale otwartym dla pracujących, albo też w Zakładzie Opieki Społecznej dla Ludzi Starych. Te starania czyniłby wówczas szpital"*. Stało się to dopiero 3,5 roku później.

Od stycznia do maja 1977 roku Piotr Soroka przebywał w Państwowym Domu Opieki Społecznej dla Dorosłych w Zgorzelcu. Pod koniec maja zachorował i został przewieziony do szpitala miejskiego w Bolesławcu, gdzie zmarł 11 czerwca 1977 roku. Za swój czyn nigdy nie poniósł odpowiedzialności karnej.

Kult zamordowanego księdza szybko rozprzestrzeniał się po całym kraju. Wśród kuracjuszy przybywających do Cieplic, gdzie pobliski kościół obsługiwali ojcowie pijarzy, kolportowano zdjęcia z pogrzebu. Szczególne wrażenie robiło te, z leżącym w otwartej trumnie księdzem, z owiniętą bandażem głową. Służba bezpieczeństwa w całej Polsce była postawiona na nogi. W parafiach wśród osób świeckich kolportowano ulotki o morderstwie i okolicznościach towarzyszących. Bezpieka wyłapywała takie przypadki, choćby w Toruniu, powiecie brodnickim i radziejowskim czy Inowrocławiu, czy wśród duchowieństwa (Piotrków Trybunalski).[15]

○ ○ ○

Roczne śledztwo „Odkrywcy" pozwoliło poznać wiele nowych szczegółów morderstwa przy ołtarzu, ustalić sekwencję zdarzeń, dotrzeć do zgromadzonych dokumentów, a przede wszystkim wysłuchać żyjących świadków. Szkoda, że nie wszędzie chciano nam pomóc. Dostępu do archiwum ówczesnego prowincjała o. Andrzeja Wróbla odmówiła nam Polska Prowincja Zakonu O. Pijarów w Krakowie. Zaś udostępnione materiały przez IPN charakteryzują się pewną niekompletnością. Może w przyszłości znów powrócimy do tego tematu?

18 stycznia 2015 roku w kościele w Maciejowej, podczas uroczystej mszy świętej z udziałem licznie zgromadzonych wiernych, władz zakonu pijarów w Polsce oraz świadków tamtych tragicznych wydarzeń, uroczyście zakończono obchody Roku Ojca Józefa Górszczyka.

Dziękuję mieszkańcom Maciejowej, a szczególnie Wiesławowi Ziemlanowskiemu, za wszechstronną, udzieloną mi pomoc przy zbieraniu materiałów i pisaniu tego tekstu.

ZDJĘCIA: JANUSZ SKOWROŃSKI

Przypisy:
[1] J. Skowroński, „Demony wojny", [w:] „Odkrywca" nr 2/2014
[2] A. Orczykowski, „Dyskretne i wymowne świadectwo ukochania Eucharystii. Refleksja nad śmiercią ks. Józefa Górszczyka", [w:] „Życie zakonne" 11-12/2003, nr 6
[3] J. R. Sielezin, „Życie i męczeńska śmierć ks. Józefa Górszczyka (1931-1964)", Jelenia Góra 2014
[4] Rozmowa Aleksandra Kostrzewskiego z Januszem Skowrońskim, 13.02.2015
[5] Zeznanie złożone w domu parafialnym w obecności ks. proboszcza St. Góralczyka i ks. F.K. Goldy – pijara, Maciejowa 14.01.1964
[6] Rozmowa Wiesława Kasperczyka z Januszem Skowrońskim, 10.01.2015
[7] Rozmowa Wiesława Kasperczyka z Januszem Skowrońskim, 10.01.2015
[8] W rzeczywistości chodzi o Rozalię Wac [przyp. J.C.].
[9] List Teresy Paluch do J. Skowrońskiego, 13.01.2015, w zb. Autora.
[10] J. R. Sielezin, „Życie i męczeńska śmierć ks. Józefa Górszczyka (1931-1964)", s. 76. Niestety, ta rocznicowa publikacja, choć przybliża osobę tragicznie zmarłego księdza, zawiera liczne błędy i przekłamania. Szkoda, że autor mając dostęp do materiałów IPN, nie skorzystał z okazji i nie przeprowadził pogłębionego wyjaśnienia motywu (motywów) działania mordercy i weryfikacji jego życiorysu.
[11] Zapewne dlatego, że 3-odcinkowy tekst przypominający postać ks. J. Górszczyka zamieściłem w legnickim wydaniu tygodnika „Gość Niedzielny", nr 3-4-5, 19.01.–02.02.2014
[12] Kopia pisma z dn. 4.02.2014 r. w posiadaniu Autora.
[13] Sygnatura IPN Wr 32/4 t.1-2
[14] W literaturze podaje się często z licznymi błędami w nazwiskach, jako: Sisowski czy Katzenellenberger, por. A. Orczykowski, J. R. Sielezin.
[15] P. Bączek, „Jak bezpieka zwalczała kult ojca Górszczyka", [w:] „Nasz Dziennik", 17.04.2014.

Janusz Skowroński
Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. Kontakt: loginfo@go2.pl

PIOTR MASZKOWSKI

Elegancki pawilon z obeliskiem, chociaż wciskany w ziemię, uderza światłem, tworząc symbol katastrofy i pozostałej po niej nadziei. W efekcie budynek niczym feniks z popiołów wznosi się ku niebu – w ten poetycki sposób największe autorytety architektoniczne opisywały przed laty projektowane Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Na razie jeszcze trzeba użyć wyobraźni, by w wizualizacjach dostrzec przyszłe piękno. Niemniej jednak…

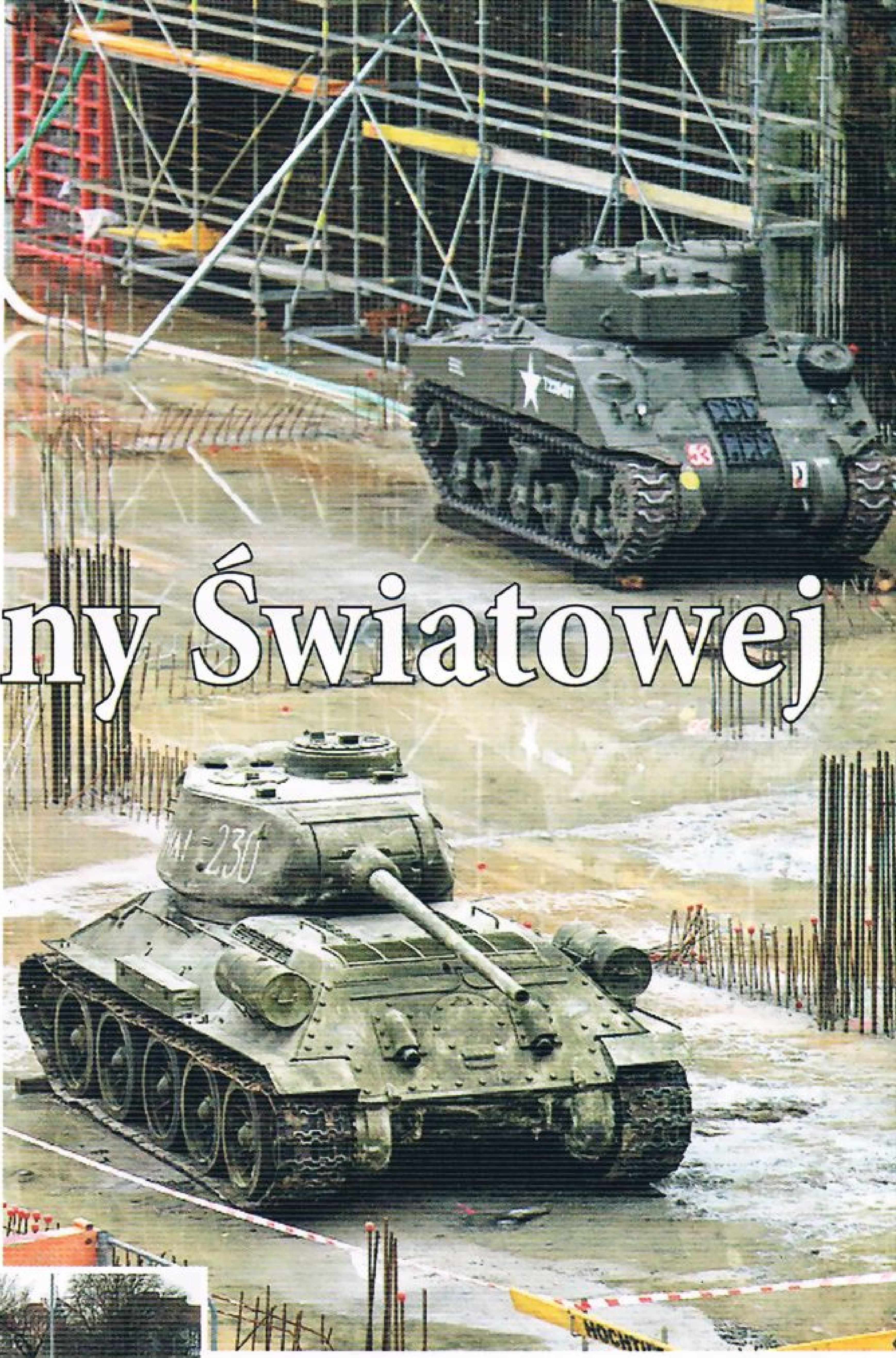

Muzeum II Wojny Światowej już częściowo… uzbrojone

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

Muzeum II Wojny Światowej powstaje od wielu lat. Ostatnio jednakże prace przy budowie jego zaprojektowanej z niezwykłym rozmachem siedziby wyraźnie nabrały tempa. Do tego stopnia, że już na obecnym etapie umieszczono w niej pierwsze i największe eksponaty z kolekcji Muzeum, choć obiekt wciąż jest tylko obetonowanym wykopem. Otwarcie nowego gmachu Muzeum zaplanowano na 1 września 2016 roku. – *Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem* – zastrzega dyrektor placówki.

Oczywiście nie jest to sposób na sztuczne przyspieszenie realizacji tej ogromnej inwestycji, lecz jej kolejny, precyzyjnie zaplanowany etap. Ukończono bowiem uzbrajanie 18 metrowego wykopu, nad którym już niedługo położony zostanie strop, będący podstawą do wzniesienia kolejnych kondygnacji gmachu powstającej placówki. – *A zatem ta spektakularna ze względu na wagę obiektów i ich historyczną wartość operacja, z użyciem specjalistycznego sprzętu, rozpoczęła de facto montaż wystawy głównej, która jest zaplanowana na najniższym poziomie naszego Muzeum* – wyjaśnia dr Janusz Marszalec, zastępca dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, dodając: – *eksponaty na płycie fundamentowej trzeba umieścić już teraz, dlatego że w ciągu roku potężny wykop, na którym będzie posadowione Muzeum, zostanie zamknięty stropem. Eksponaty zostaną zabezpieczone i doczekają momentu, kiedy rozpocznie się montaż pozostałych części wystawy stałej.*

Ta niecodzienna i niezwykle widowiskowa akcja miała miejsce 15 stycznia br. Pierwsze eksponaty pojawiły się na placu budowy Muzeum już wcześnie rano. Za transport i logistykę tego przedsięwzięcia odpowiedzialne było Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej Braci Kęszyckich. Nie uprzedzając faktów, przyjrzyjmy się tej akcji z bliska…

Wagon

Jako pierwszy na dno wykopu trafił towarowy wagon kolejowy produkcji niemieckiej. Na wystawie stałej Muzeum będzie on symbolizował deportacje Żydów do obozów zagłady, ale też wszelkie deportacje dokonywane przez hitlerowskie Niemcy oraz Związek Sowiecki. W XX-leciu międzywojennym wagon był użytkowany przez Polskie Koleje Państwowe. Został zakupiony przez Muzeum od PKP i wyremontowany przez Klub Sympatyków Kolei we Wrocławiu, ma długość ponad 9 m i waży ponad 10 ton.

T-34

Następnie transportowany był sowiecki czołg średni T-34/85. Do Muzeum II Wojny Światowej trafił w ramach wymiany z warszawskim Muzeum Wojska Polskiego. Został przygotowany do eksponowania przez Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej Braci Kęszyckich z Warszawy. Czołg zostanie pokazany w części wystawy mówiącej o dominacji radzieckiej w Europie środkowo-wschodniej w końcowym okresie II wojny światowej oraz po jej zakończeniu.

Torpeda

Jako ostatnia na dnie wykopu znalazła się niemiecka torpeda typu G7a (długość ponad 7 m, waga ponad 1000 kg), została wydobyta przez saperów Marynarki Wojennej z dna Zatoki Gdańskiej. Torpeda została wypożyczona z Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni i poddana przez Muzeum II Wojny Światowej gruntownej konserwacji. Na wystawie głównej będzie symbolizowała wojnę mocarstw na morzach.

Sherman

Później na plac budowy został przywieziony czołg Sherman Firefly. Na wystawie stałej będzie dokumentował wkład Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w zwycięstwo nad Niemcami. Czołg jest darem Królewskiego Muzeum Wojska w Brukseli, przekazanym Muzeum II Wojny Światowej w 2011 roku. Dar ten od samego początku miał docelowo stać się częścią wystawy głównej Muzeum. Kadłub czołgu stanowił przez wiele lat ćwiczebny cel na jednym z poligonów armii belgijskiej. Do Polski został przekazany w częściach, bez żadnego wyposażenia wewnętrznego. Konserwacji i złożenia elementów czołgu dokonano na zlecenie i za fundusze Muzeum II Wojny Światowej, pod nadzorem specjalistów z Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu. Na polecenie Muzeum, Sherman

otrzymał malowanie 24. Pułku Ułanów, wsławionego walkami we Francji, Belgii, Holandii i Niemczech w latach 1944-1945. Czołg waży 26 ton, będzie mógł samodzielnie przemieszczać się po płycie fundamentowej, gdyż ma zamontowany tymczasowy silnik, który potem zostanie zdemontowany.

Dzień przed opisywaną akcją mieliśmy przyjemność uczestniczyć we Wrocławiu w załadunku wagonu kolejowego, wyremontowanego przez członków miejscowego Klubu Sympatyków Kolei, w celu przetransportowania go do Gdańska. Kierował nią Stanisław Kęszycki, dyrektor Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej. – *Kooperację z Muzeum II Wojny Światowej rozpoczęliśmy kilka lat temu, praktycznie od momentu wbudowania kamienia węgielnego pod budowę tej placówki. Współpracujemy przy licznych pracach przygotowawczych, jak również wspomagamy Muzeum podczas imprez plenerowych* – mówi Stanisław Kęszycki. – *Prowadziliśmy także prace adaptacyjne przy czołgu T-34. W związku z tym, że egzemplarz ten został wyprodukowany już po wojnie, naszym zadaniem było upodobnić go optycznie do czołgu T-34/85, wytwarzanego w okresie II wojny światowej* – dodaje. Oba czołgi będą umiejscowione w scenerii dioramy tematycznej jako ich główny element.

Mieliśmy również okazję dowiedzieć się nieco więcej na temat kolejnego eksponatu – wagonu. – *To wagon typu A2. Ten konkretny egzemplarz, jak zdołaliśmy ustalić, został wyprodukowany w niemieckiej wytwórni na zamówienie rządu polskiego w 1920 roku. Po wybuchu wojny przejęli go wraz z całym taborem PKP Niemcy. Został wówczas oznakowany, zgodnie z wzorem stosowanym w wagonach zdobycznych, napisem »Deutsch«. Całą resztę oryginalnych napisów i oznaczeń pozostawiono do roku 1941 bez zmian* – mówi Jacek Jerczyński z wrocławskiego Klubu Sympatyków Kolei. – *Wagon przeznaczony dla Muzeum II Wojny Światowej został odtworzony dokładnie tak, jak w rzeczywistości wyglądał jego egzemplarz w latach 1939-1941* – dodaje.

Jak Amerykanie na Giszowcu zamieszkali…

DARIUSZ PIETRUCHA

Wydaje mi się, że to jedyne tego typu miejsce w Polsce. Przynajmniej nie słyszałem o podobnym. Stare, amerykańskie osiedle w środku górnośląskiej tradycji. Dziwne połączenie, którego inność widoczna jest do dnia dzisiejszego. Skąd na Śląsku Amerykanie? Oczywiście pomiędzy jedną i drugą wojną przygnał ich tu wielki biznes. Z najdalszych zakątków USA. Zamieszkali tu i próbowali żyć po swojemu, choć właściwie było to niemożliwe. Ale ślad pozostał…

W poprzednim artykule („Odkrywca" nr 1/2015) opisałem historię katowickiego Giszowca. Osiedle robotnicze zaprojektowane przez kuzynów Georga i Emila Zillmannów, choć znacznie okrojone, nadal tętni życiem. Obecna dzielnica Katowic, będąca świadkiem wielu politycznych zawirowań i nierozerwalnie związana z kopalnią „Giesche" (obecnie „Wieczorek") posiada część, o przeznaczeniu której niewielu dzisiaj pamięta. Dość łatwo ją odnaleźć, a znakiem orientacyjnym jest wieża ciśnień, która rzuca się w oczy, gdy przejeżdżacie trasą szybkiego ruchu nr 86. Wznosi się dumnie ponad koronami drzew, a swoją niecodzienną architekturą zaciekawia, a nawet i zachwyca. Zaraz koło wieży ciśnień położona jest amerykańska kolonia. Na samym skraju śląskiego Giszowca.

Amerykański sen

Pisząc o Giszowcu, wspominałem, że w 1927 r. spółka „Giesche" odsprzedała większość swoich akcji amerykańsko-niemieckiemu holdingowi noszącemu nazwę „Silesian American Corporation" (SACO). Wydaje się, że powstanie SACO było elementem wielkiej, międzynarodowej polityki finansowej. Firma została założona w 1926 r. w Delaware w USA. Jej siedzibą było miasto Wilmington, a właścicielem – amerykańska firma „Silesian Holding Company", będąca połączeniem amerykańskiego biznesu z firmą „Georg von Gieschees Erben". Współwłaścicielami „Silesian Holding Company" była amerykańska firma „Anaconda Copper Mining Company" oraz William Averell Harriman (1891-1986), nowojorczyk, który zajął się polityką i biznesem. Ten sam, który w późniejszym okresie był bliskim współpracownikiem prezydenta F. D. Roosevelta, pracował nad powstaniem Karty Atlantyckiej, a w latach 1943-1946 pełnił funkcję ambasadora USA w Moskwie. Harriman był później gubernatorem stanu Nowy Jork i kandydatem na prezydenta USA. Pracował jako sekretarz stanu w rządach prezydentów Harry'ego Trumana i Johna Kennedy'ego. W drugiej połowie lat 20. interesy skierowały Harrimana na Śląsk. Z kolei firma „Anaconda Copper", która posiadała 65 proc. udziałów w SACO, była jednym z największych na świecie trustów, jakie istniały w latach 20. Jej początki sięgają aż 1881 r. i są związane z amerykańskim biznesmenem irlandzkiego pochodzenia, Marcusem Daly (1841-1900), a także z maleńką kopalnią srebra w Butte w stanie Montana. W 1895. r. część udziałów tej firmy przeszła w ręce finansowego imperium Rothschildów. Niebawem związali się z nią Ryan i Percy Rockefellerowie. Nazwiska do dzisiaj otaczane szacunkiem w międzynarodowym biznesie. Z czasem działalność firmy zaczęła się rozszerzać na cały świat. „Anaconda Copper" istnieje do dzisiaj, choć jej potęga już dawno minęła.

Gdy akcje spółki „Giesche SA" znalazły się w rękach SACO (100 proc. akcji), Amerykanie zamierzali osobiście dopilnować funkcjonowania śląskich kopalń, w tym szczególnie kopalni „Giesche". SACO delegowało na Śląsk sporą grupę swoich urzędników, którzy mieli pilnować interesów firmy. Kupno akcji spółki „Giesche SA" kosztowało Amerykanów 4 mln dolarów gotówką. Jednocześnie SACO zobowiązało się wobec polskiego rządu, że w zamian za uzyskane ulgi podatkowe, firma zainwestuje w „Giesche SA" 10 mln dolarów w ciągu pięciu lat. Prezesem „Giesche SA" w Katowicach został 42-letni George Sage Brooks, inżynier górniczy. Generalnym dyrektorem „Bergwerkgesellschaft Georg von Giesche's Erben" został Eduard Schulte, o którym opowiem Wam innym razem, gdyż jego osoba mocno odcisnęła swoje piętno w historii II wojny światowej. Brooks zrobił szybką i błyskotliwą karierę w amerykańskich koncernach cynkowych i ołowiowych. Mając 22 lata wybudował hutę cynku i fabrykę kwasu siarkowego w Depue w stanie Illinois. Był wynalazcą i posiadaczem licznych patentów oraz członkiem wielu organizacji pracodawców.

Do Giszowca ze stanu Montana przyjechało dziewięć amerykańskich rodzin. Były to rodziny: Neumannów, Davidsonów, Gäthke (Fred Gäthke był po wojnie jednym z szefów „Anacondy"), Coulterów, Messnerów, Fernströmów, Thomasów, Gowenów i Mehanów. Mężczyźni z tych rodzin byli inżynierami

Domy amerykańskiego osiedla na Giszowcu.

albo zarządcami firmy „Giesche SA". Do ich zespołu należeli również: Sadie Barbara Walsh (dyrektor socjalny)[1], Wanamaker (główny księgowy) i Schroeder (sekretarz Brooksa). Razem kilkadziesiąt osób. Amerykanie nie wprowadzili większych zmian. Dyrektorem kopalni „Giesche" pozostał Niemiec Johannes Fischer, jego zastępcą Polak Józef Lebiedzik. Tylko nowym zastępcą Brooksa został Polak Józef Dworzańczyk.

Amerykanom spodobał się Giszowiec, więc zapragnęli zamieszkać zaraz obok niego. Postanowiono, że specjalnie dla nich zostanie wybudowana niewielka kolonia, położona przy drodze na Murcki (osada w obecnych granicach Katowic), w pobliżu dawnej willi Uthemanna, tuż obok wieży ciśnień. Zaprojektowane domy miały powstać w stylu amerykańskim. Tak, aby mieszkający w nich ludzie czuli się swojsko i swobodnie. Miały być duże, o obszernych holach, kilku salonach i sypialniach, ze wszystkimi amerykańskimi wygodami. W salonach zaprojektowano głębokie kominki, jakie Amerykanie doskonale znali ze swoich rodzinnych stron. Tralki w szerokich klatkach schodowych były białe, jak w kolonialnych domach amerykańskiego Południa. Duże okna zaprojektowano w wykuszach. Większość z nich wychodziła na las. Do budowy domów przystąpiono, prawdopodobnie, krótko po zmianie właścicieli firmy „Giesche SA". Wzniesiono również obszerne garaże, długie, wspólne ogrodzenie całej kolonii, a także jedną szeroką bramę wjazdową na jej teren. Właściwie wszystko pozostało do dnia dzisiejszego.

Dziewięć „elitarnych" dołków

Część lasu została wycięta, gdyż Amerykanie potrzebowali czegoś jeszcze… porządnego pola golfowego. Według opinii ekspertów teren doskonale się do tego nadawał. Więc je urządzono. Na dziewięć dołków. Oficjalne otwarcie miało miejsce 1.04.1931 roku. Jednocześnie w Katowicach założono „Golf-Klub im. Pułaskiego" (klub istnieje w USA do dzisiaj). Siedziba klubu znajdowała się w Katowicach przy ul. Podgórnej 4. W skład Członków Zarządu klubu wchodzili: generalny dyrektor Brooks (prezes klubu), naddyrektor Gäthke (wiceprezes),

Widok na osiedle – po lewej garaże. Kiedys parkowały tam amerykańskie krążowniki szos…

dyrektor Schauer (skarbnik) i inż. Pogorzelski (członek). Co ciekawe, okres rejestracji klubu trwał pięć lat (a ja myślałem, że sądy w dzisiejszych czasach są tak opieszałe). Statut klubu został napisany w j. polskim, angielskim i niemieckim. Każdy z członków-założycieli tego elitarnego klubu musiał wpłacić 1000 zł. Miesięczna składka wynosiła 420 zł (w 1937 r. obniżono ją do 200 zł). To i tak ogromne w tamtych czasach kwoty. Chyba jedynym Polakiem w owym klubie był Wacław Pogorzelski. Na polu golfowym zatrudniono chłopców z Giszowca. Nikt inny z zewnątrz nie miał tam dostępu. Amerykańska kolonia, jak i pole golfowe, znajdowało się na obrzeżach Giszowca, praktycznie w samym lesie. Ogrodzony i dozorowany teren zapewniał bezpieczeństwo, a jednocześnie bezpośredni kontakt z naturą. Po czasie, obok willi dyrektora kopalni, z inicjatywy Amerykanów powstały również korty tenisowe. Amerykańskie pole golfowe pamięta Kazimierz Kutz, który w młodości przejeżdżał obok niego kolejką z Szopienic. *„Panowie i panie dostojnie poruszali się po łąkach, od czasu do czasu machając zakrzywioną laską. Z tego co pamiętam, Amerykanie wybudowali tam 9-dołkowe pole, a większość grających stanowili cudzoziemcy"*.

Trudno powiedzieć, jak Amerykanie czuli się na Giszowcu. Stworzono im idealne warunki do życia, ale przecież nie byli u siebie. Pewnie tęsknili za swoimi rodzinnymi stronami. Właściwie nie pokazywali się na ulicach Giszowca. Nie mieli po co przechadzać się po robotniczym osiedlu. Żyli na uboczu, zamknięci w swoich enklawach. Oddzieleni od realnego świata ogrodzeniem, przemykali ulicami w luksusowych samochodach. Tyle ich widziano. Ich dzieci każdego dnia podwożono „wielkimi, luksusowymi samochodami" do małej, amerykańskiej szkółki, którą urządzono w pobliżu gospody na Giszowcu. Uczył tam amerykański nauczyciel. Mieszkańcy Giszowca wspominali, że owe dzieci były ubrane dość skromnie i zachowywały się grzecznie. Tylko nikt nie mógł z nimi porozmawiać. Na chwilę opuszczały swoją kolonię, by po czasie poświęconym na naukę, znowu do niej powrócić. Tylko nazwa szybu „Pułaski", na cześć bohatera Polski i USA, stanowiła cienką nić porozumienia. Amerykanie wprowadzili też nowe nazwy szybów – „Wilson I" i „Wilson II". Pochodzące z tego okresu dokumenty firmy „Giesche" były pisane stosowaną w USA maszynową czcionką, dość popularną i pozbawioną uroku (w odróżnieniu od starannego niemieckiego gotyku). Dokumenty nie zszywano w teczki, a jedynie wkładano do segregatorów, różniących się pomiędzy sobą kolorami. Dla przykładu: szary był zarezerwowany dla spraw ogólnych, zielony dla kopalni „Giesche", czerwony dla kopalni „Kleofas", a niebieski dla zakładów „Orzeł Biały".

Wielka Depresja

Światowy Wielki Kryzys dotarł także na Śląsk. Brooks został zmuszony do borykania się z jego skutkami. Obniżał zarobki, starał, aby nie zapanowała bieda. Próbował opodatkować urzędników, co nie było łatwą sprawą. Przedstawiciel firmy „Giesche", Łakomski, brał udział w pracach Wojewódzkiej Komisji Niesienia Pomocy Bezrobotnym i stale informował Brooksa o działaniach w tej sferze. Ten szukał różnych rozwiązań. Wpadł na pomysł, aby urządzić wielką loterię fantową. Fantami miały być przedmioty skonfiskowane przez Urząd Celny w Mysłowicach. Bilet na ową loterię miał kosztować 2 złote. Brooks osobiście wspierał datkami wojewodę Grażyńskiego, który zbierał fundusze na katowickim rynku. Kolejnym problemem, z którym Brooks musiał się zmierzyć, były ogromne ilości tzw. biedaszybów, które w tym czasie masowo powstawały wokół Giszowca i Nikiszowca. Pomimo różnorakich działań wydobycie na kopalni „Giesche" spadało.

Osobą, która obok Brooksa zaangażowała się w pomoc najuboższym rodzinom i mocno interesowała się życiem załogi kopalni, była Sadie Barbara Walsh, kierownik socjalny „Giesche". Miała ogromne, wcześniejsze doświadczenie w pracy z ludźmi, które próbowała przenieść na Śląsk. Dziesięć lat wcześniej opracowała dla Brooksa szczegółowe sprawozdanie dotyczące opieki zdrowotnej, warunków pracy kobiet, opieki nad dziećmi i zagrożeń epidemiologicznych w Depue w stanie Illinois. Gdy skutkiem kryzysu liczba sierot i półsierot na Górnym Śląsku znacznie się zwiększyła – w samym tylko Nikiszowcu w ochronce znajdowało się wtedy ok. 130 sierot – postanowiła działać. Nawiązała kontakt z dr. Orszulokiem, ówczesnym naczelnikiem Zdrowia Publicznego Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, który stale wysyłał jej arkusze i raporty. Walsh dokładnie je analizowała, szukając zagrożeń, starając się znaleźć przyczyny wysokiej śmiertelności (głównie z powodu gruźlicy). Jednocześnie zauważyła, że rodziny z Giszowca i Nikiszowca miały coraz mniej dzieci. Porównała dane. W 1923 r. na Nikiszowcu i Giszowcu średnia długość życia wynosiła 17 lat. W 1937 r. wydłużyła się do ponad 30 lat. Nie miało to nic wspólnego z poprawą warunków życia czy też rozwojem medycyny. Po pro-

zdarzyło się…

10 II 1945 r.

70 lat temu miała miejsce jedna z trzech, obok „Gustloffa i „Goi", największych katastrof morskich na Bałtyku. Tego dnia, krótko po północy zatonął trafiony dwiema torpedami wystrzelonymi z radzieckiej łodzi podwodnej, pływający pod banderą Kriegsmarine, transportowiec rannych (tzw. VTS) „SS Steuben". Morze pochłonęło wówczas ponad 3600 ofiar.

stu rodziło się mniej dzieci, więc mniej ich umierało. W 1938 r. Walsh nawiązała kontakt z pochodzącym z Raciborza dr. Edmundem Gryglewiczem (1906-1971)[2], który zamieszkał w pobliskich Szopienicach, specjalistą od chorób zawodowych. Obecnie jej obserwacje i notatki byłyby bardzo cenne dla lepszego poznania tego okresu. Podobno wypełniła dokumentami i fotografiami kilkadziesiąt teczek. Niestety, te cenne dla historyków materiały zostały wywiezione w 1939 r. do USA.

Kobiety wchodzą do gry...

Natomiast klub golfowy funkcjonował dość dobrze. Zorganizowano 14 turniejów i wiele przyjęć towarzyskich. Amatorzy golfa raczej nie cierpieli na brak funduszów. Po czasie do zarządu klubu wszedł Krasnodębski wraz z żoną Adelą. Członkiniami klubu zostały także Sadie B. Walsh i pani Brooks. Dla wyjaśnienia, kobiety mogły wejść do grona członków honorowych klubu tylko i wyłącznie za zgodą mężczyzn. Przez nich były wprowadzane, i przez nich akceptowane. Do amerykańskiej kolonii na Giszowcu przyjeżdżało coraz więcej gości z Europy, by zaznać przyjemności gry w golfa, a jednocześnie załatwić sprawy biznesowe. Zazwyczaj byli to zagraniczni kontrahenci firmy „Giesche". Otto Neumann, amerykański dyrektor finansowy i przełożony sekcji kontroli firmy „Giesche" najczęściej gościł ich u siebie. Podejrzewam, że spora część tych międzynarodowych kontaktów mogła być wykorzystana w trakcie nadchodzącej wojny.

Powrót do domu...

W 1939 r. w amerykańskiej kolonii dało się zauważyć dużą nerwowość. Dotąd zawsze zamknięta brama, stała otworem. Na terenie kolonii panował spory ruch. Wszyscy mieszkańcy szykowali się do wyjazdu. Niektórzy tak się spieszyli, że zostawiali meble i naczynia. Byle dalej od miejsca, które za niedługo miało być ogarnięte wojną. Mieszkańcy Giszowca obserwowali to ze spokojem. Dla nich wyjazd mieszkańców amerykańskiej kolonii nie stanowił niczego ważnego. Państwo Brooks, a z nimi zapewne także większość Amerykanów, przekroczyła granicę polsko-niemiecką w Bytomiu (niem. Beuthen O/S) w dniu 29.08.1939 r. (prawdopodobnie w Łagiewnikach – obecnie dzielnica Bytomia, wtedy po stronie polskiej). Przez Niemcy skierowali się do Holandii. Stamtąd zapewne dostali się do Wielkiej Brytanii lub bezpośrednio do USA. Brooks wywiózł ze sobą akcje spółki „Giesche SA". Nie ma się czemu dziwić. Ratował majątek własnej firmy. Amerykanie spędzili na Górnym Śląsku prawie 13 lat. Rozstali się z nim w pośpiechu i panice, ratowali własne rodziny. Wojna nadciągała jak ciemne chmury podczas gwałtownej burzy.

Brunatne interesy

Przyszłość, która dotąd rysowała się dość optymistycznie, została brutalnie przerwana wybuchem II wojny światowej. Po jej rozpoczęciu Niemcy przejęli kontrolę nad spółką „Giesche". Generalnym dyrektorem „Giesche's Erben" pozostał Eduard Schulte. 3.09.1939 r. nad majątkiem spółki „Giesche", która dotąd znajdowała się we wschodniej, polskiej części Górnego Śląska, komisaryczny zarząd objął Albrecht Jung. Doktor prawa i radca prawny koncernu, od 1933 r. członek NSDAP. Jednakże wobec osoby Schulte'ego był całkowicie lojalny. Jeszcze jedna osoba z koncernu „Giesche" stała się bardzo wpływową. Związany zawodowo z firmą chemik Otton Fitzner został naczelnikiem cywilnej administracji na Górnym Śląsku. Był uczestnikiem I wojny światowej, członkiem Freikorpsu podczas powstań śląskich, a później związał się z SS. Jego żoną była Dunka, spokrewniona z właścicielami koncernu Shell. Podlegała mu policja mundurowa i sądy specjalne. Podobno po wojnie został rozpoznany i złapany przez Polaków. Zmuszono go do pracy w kopalni, gdzie nie wytrzymał psychicznie i obrzucił obelgami swoich nadzorców. Prawdopodobnie został przez nich zamordowany. Natomiast dyrektorem kopalni „Giesche" został dr Fleischer.

W 1941 r. w willi Uthemanna zamieszkał gauleiter Górnego Śląska Fitz Bracht – o nim opowiem następnym razem. Miał bardzo blisko do amerykańskiego pola golfowego, ale nigdy z niego nie korzystał. Uważał, że ten rodzaj sportu nie przystoi ludziom w mundurach. Pole wykorzystywano więc do różnych imprez i ćwiczeń sportowych. Po wojnie nikt go nie kosił i zbierano na nim pieczarki. Ale korty tenisowe położone obok willi Brachta, cieszyły się powodzeniem.

Ucieczka do przodu

Wojna wszystko zmieniła. SACO przestało zarabiać na swoich nieruchomościach, co z czasem doprowadziło amerykańską firmę do upadku. Sytuację próbował ratować Eduard Schulte. Założył w Szwajcarii spółki: „Non Ferrum" i „Ikap", które przejęły akcje SACO. Naziści traktowali szwajcarskich bankierów i przemysłowców z szacunkiem, o czym Schulte doskonale wiedział. Potrzebne było tylko przejęcie przez „Ikap" udziałów amerykańskiej „Silesian Holding Company", a cały zabieg najprawdopodobniej zakończyłby się sukcesem. Akcje znalazłyby się w rękach Niemców, ale byłyby w miarę bezpieczne (jak na warunki

Wieża ciśnień na archiwalnym zdjęciu. Źródło: www.fotopolska.eu

... i jej współczesny wygląd.

wojenne). W rękach Amerykanów i tak nie przynosiły żadnych dochodów. W czerwcu 1941 r. Amerykanie oficjalnie zawiesili współpracę finansową ze Szwajcarią, podejrzewając, że transfer udziałów mógłby przynieść korzyści III Rzeszy, do czego nie chcieli dopuścić. W listopadzie1942 r. Amerykanie przejęli niemieckie udziały firmy SACO. To położyło cały plan Schultego. Wydaje się jednak, że on sam musiał potajemnie współpracować ze swoimi dawnymi kolegami z firmy SACO. Co więcej, jestem wręcz pewien, że grupa amerykańskich inżynierów i przemysłowców, która do niedawna mieszkała na Giszowcu, musiała się znaleźć w centrum zainteresowania amerykańskiego wywiadu. Co prawda do wybuchu wojny Giszowiec leżał po polskiej stronie granicy, ale z racji kontaktów zawodowych i towarzyskich, Amerykanie mieli wielu znajomych wśród Niemców, więc w samej paszczy lwa. Na dowód tego można przytoczyć fakt, że Schulte, który podczas wojny kontaktował się z Allenem Dullesem w Szwajcarii, po wojnie uzyskał wysoką rekomendację Freda Gäthke, Amerykanina z Giszowca (po wojnie jednego z szefów „Anacondy"). Trudno mi uwierzyć, aby na okres wojny owe kontakty zostały przerwane. SACO ostatecznie upadła w latach 50., po wielu procesach wytoczonych firmie przez właścicieli niespłaconych obligacji. Schulte nie zdołał jej uratować.

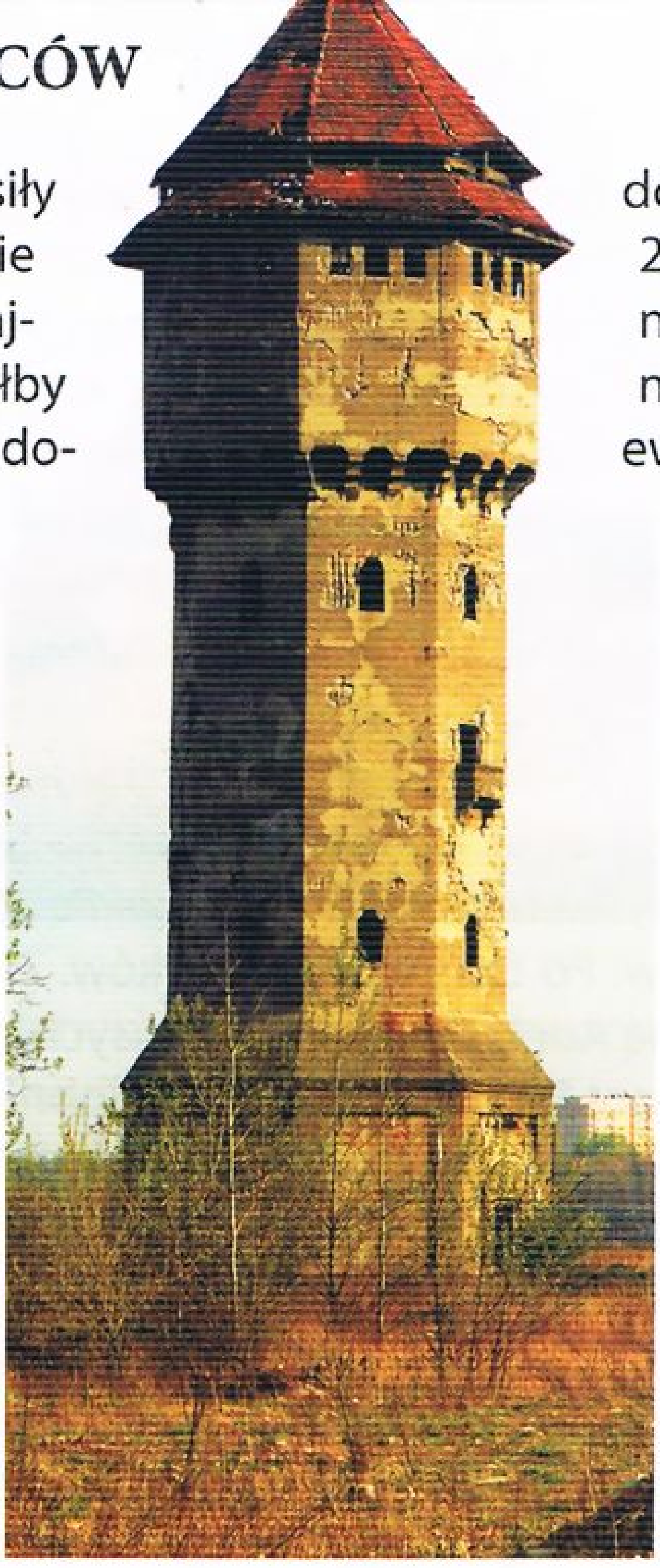

Wieża ciśnień w Szopienicach, źródło: autor

Opuszczone osiedle

Niestety nie wiem, jakie były losy luksusowych i opustoszałych domów w amerykańskiej kolonii podczas wojny, i kto w nich mieszkał. Może zamieszkali w nich jacyś prominentni Niemcy związani z elitą miejscowych władz? Mam jedynie nadzieję, że ogrodzonego terenu nie wykorzystano w innym celu. Ale chyba nie, bo mieszkańcy Giszowca nic o tym nie wspominają.

Podczas wojny Niemcy prowadzili na kopalni „Giesche" rabunkową działalność mającą na celu jak największe wydobycie. Wojna wymagała ofiar i pieniędzy. 22.01.1945 r. kopalnia zawiesiła swoją aktywność. Urzędnicy i członkowie zarządu, zgodnie z wytycznymi gauleitera Brachta, musieli się ewakuować. Jedna grupa kierowana przez Kurta von Nickischa wyruszyła z Bytomia, a druga, kierowana przez Albrechta Junga i dr. Lothara Siemona, ruszyła z Katowic. Zabrali ze sobą najważniejsze akta i dokumenty. Wszystkie maszyny i urządzenia pozostały na miejscu. Nie było czasu na ich ewakuację, bo Sowieci już pukali do bram Katowic. Obydwu grupom udało się dotrzeć do Raciborza, skąd wyruszyli do Gryfowa Śląskiego (niem. Greiffenberg), gdzie znajdowały się zakłady firmy „Giesche". Stamtąd, właściwie uciekając przed sowieckimi czołówkami pancernymi, ruszyli do Kutterschitz w czeskich Sudetach. Dr Siemon zabierając ze sobą platynę o wartości 20 tys. marek, usiłował przez Magdeburg dostać się do Berlina. W stolicy Niemiec ciągle urzędowało Kolegium Reprezentantów firmy „Giesche", którego przewodniczącym był dr Otton Fischer. Siemon dotarł do Fischera i przekazał mu platynę oraz dokumenty.

Po wojnie akcje spółki „Giesche" znajdowały się w USA. Polacy spłacili je Amerykanom jeszcze w latach 60. (głównie węglem), a akcje, jako papiery wartościowe, w 1968 r. wróciły z USA do Polski. Umieszczono je w archiwum rządowym. Po czasie, jako bezużyteczne, zostały wyrzucone na makulaturę, a stamtąd trafiły do kolekcjonerów. Od jednego z nich nabył je Marek N., przedsiębiorca z Pomorza, który w 2005 r. reaktywował spółkę „Giesche" i starał się o wypłacenie odszkodowania. Kwota była gigantyczna i miała obciążyć miasto Katowice. Sprawą zajęła się prokuratura w Katowicach i Tarnobrzegu. Roszczenia Marka N. i jego wspólników zostały uznane za bezpodstawne, a właścicieli reaktywowanej spółki zatrzymano. Taki polski sposób na zrobienie biznesu…

Dziwna ta amerykańska kolonia. Szczerze mówiąc, pasuje do reszty Giszowca jak pięść do oka. Ale przyciąga wzrok. To na pewno. Intryguje swoją innością. Po pierwsze zauważymy wielką i piękną wieżę ciśnień, zbudowaną przez Zillmannów w 1909 r. właśnie na potrzeby Giszowca. Ma ok. 33 m wysokości i właściwie składa się z dwóch części. Pierwsza z nich to wysoki, zwężający się ku górze człon w kształcie walca, który po bokach posiada efektowne balkoniki. Druga część to szerszy tambur, kryjący w sobie zbiornik wodny o poj. 150 m sześc., podtrzymywany przez wsporniki zwane konsolami. Całość budowli wieńczy przepiękny dach pokryty dachówką, na szczycie którego kiedyś znajdowała się latarnia, świecąca nad amerykańskim osiedlem i nad giszowieckim lasem. Wieżę wybudowano z licowanej cegły, podobnie jak budynki na Nikiszowcu. W październiku 1990 r. została wpisana do wojewódzkiego rejestru zabytków.[3] To dzięki niej mieszkańcy Giszowca, a także Amerykanie, mieli dostęp do wody. Przepiękna wieża ciśnień miała swoje gorsze chwile. W latach 90. wydawało się, że nadciąga kres jej istnienia. Na szczęście przejęła ją firma telekomunikacyjna, która w zamian za umieszczenie na

Budowla z obeliskiem nieopodal amerykańskiej budowli.

jej szczycie anten, zobowiązała się wobec miasta Katowice do jej wyremontowania. Tak też się stało. Tylko trochę szkoda, że właściwie stoi pusta i nieudostępniona do zwiedzania. Według mnie zasługuje na wiele więcej.

Zaraz obok niej ciągnie się ogrodzenie, za którym wznoszą się cztery duże budynki, czyli dawna amerykańska kolonia. Może nie są w najlepszym stanie, ale prezentują się nieźle. Wszystkie nadal są zamieszkałe. Ich architektura wydaje się nie pasować do tego miejsca. Właściwie nie ma w nich Śląska. Znając jednak historię tego miejsca, wszystko wydaje się jasne. Domy przypominają te, które możemy podziwiać w starej, kolonialnej części USA. Duże okna, przestronne pomieszczenia, spory teren dookoła każdego budynku, żadnej ciasnoty, żadnego zaglądania sobie w okna. Czerwona cegła (obecnie przybrudzona) i białe elementy dekoracyjne. Nieopodal stoją wspólne garaże, w których kiedyś parkowały amerykańskie limuzyny, tak dobrze zapamiętane przez mieszkańców Giszowca. Nawet brama pozostała ta sama. No i teren kolonii nadal jest dozorowany. Tak, to kawałek Ameryki na śląskiej ziemi.

Po wojnie w amerykańskiej kolonii zamieszkali urzędnicy kopalni „Janów" (później „Wieczorek"). Pewnie przydział mieszkania w tym miejscu traktowano jako sprawę prestiżową – wyspa ciszy i spokoju w zgiełku wielkiego, przemysłowego miasta. Dbano o nie i dlatego dzisiaj prezentują się nieźle.

Sentymentalna podróż

W kwietniu 2004 r. do Giszowca przyjechała p. Ellen Rosenzweig z córką, które mieszkają w Nowym Jorku. Dziadkiem Ellen był George Sage Brooks. Dwie panie odwiedziły domki w kolonii, zaśmiecone pole golfowe, zwiedziły galerię w szybie „Wilson" i fabrykę porcelany w Bogucicach. To właśnie w Bogucicach Ellen, oglądając dawne projekty, zauważyła wzór serwisu dla lalek (w niebieskie kwiatki), jaki dostała od dziadków przed wybuchem II wojny światowej. To ją bardzo wzruszyło i zapewne uświadomiło, że znalazła się w tym miejscu, o które kiedyś jej dziadek tak bardzo dbał. Ellen doskonale pamiętała p. Sadie B. Walsh, a spacerując po Nikiszowcu, rozpoznała jej zdjęcia. Dwie Amerykanki przyjechały poznać miejsce, tak mocno związane z historią ich rodziny. To nie był krótki epizod w życiu tej grupy Amerykanów, lecz kilkanaście lat na obcej ziemi. Musieli o tym wiele wspominać w swoich rodzinnych domach. No i tak Giszowiec i Nikiszowiec pozostał w ludzkiej pamięci, nawet tam za oceanem.

Schulte nie miał możliwości przyjechać do Giszowca. Po wojnie mieszkał w Szwajcarii i starał się pracować dla Amerykanów. Umarł daleko od Giszowca i Bytomia, z którymi był tak mocno związany. Amerykanie z Giszowca też nie mogli przyjechać. W czasach PRL-u i „zimnej wojny" taką podróż nie potraktowano by jako sentymentalną... Dopiero w czasach III RP stało się to możliwe, ale pewnie żaden z amerykańskich mieszkańców Giszowca już nie żył. Tylko amerykańska kolonia pozostała. No i strzegąca ją zillmannowska wieża ciśnień. Jak strażnik historii Górnego Śląska, która splotła się z amerykańskimi losami. Na zawsze.

Zaraz za amerykańskim osiedlem znajduje się zrujnowana, dziwna budowla. Wygląda na pomnik z postumentem i szeroką płytą. Niestety, pozostał już jedynie obelisk, ale nic na nim nie ma. Nigdy nie widziałem żadnego zdjęcia wyjaśniającego tajemnicę tego miejsca. Trudno powiedzieć, co to było. Wygląda, że powstało w tym samym czasie co amerykańska kolonia. Leży tak blisko niej, że musiało mieć z nią coś wspólnego. Tylko drzewa wiedzą co...

❍ ❍ ❍

Z firmą „Giesche" i z samym Giszowcem ma nieco wspólnego Henryk Sławik (1894-1944), powstaniec śląski i działacz plebiscytowy, działacz PPS-u i dziennikarz, jeden z organizatorów pomocy Polakom i Żydom na Węgrzech, zamordowany przez Niemców w obozie koncentracyjnym. Od 1990 r. uhonorowany tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata i nazywany „polskim Wallenbergiem". Dość zapomniana i niedoceniana postać. Otóż Sławik, pracując jako dziennikarz, w 1937 r. zjechał na dół w kopalni „Giesche", choć nie miał na to pozwolenia dyrekcji. Przemycił go komitet strajkowy, by zobaczył wielki strajk głodowy. Był wtedy redaktorem „Gazety Robotniczej", gazety o lewicowym zabarwieniu. Krótko potem wojna rzuciła go na Węgry, gdzie dokonał wielu czynów godnych pochwały i naśladowania. Sami widzicie, jaki to kawał historii...

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

ZDJĘCIA: DARIUSZ PIETRUCHA.

Przypisy:

[1] Amerykańska strona internetowa www.records.ancestry.com podaje, że Sadie B. Walsh była żoną Georga; być może jego drugą żoną. George zmarł 16.04.1950 r. w Ottawie w stanie Illinois; data śmierci Sadie nie jest znana.

[2] Lekarz medycyny pracy i chorób wewnętrznych, pionier polskiej medycyny pracy w przemyśle hutniczym; przez większość życia mieszkał i pracował w Szopienicach, gdzie m.in. zorganizował pierwsze w woj. śląskim sanatorium dzienne w ramach profilaktyki chorób zawodowych i laboratorium analityczno-toksykologiczne dla hutników. Promował sprawność fizyczną, zajmował się również malarstwem, linorytnictwem i fotografiką (zapewne posiadał wiele fotografii współpracujących z nim Amerykanów); jego uczniowie założyli pierwszy w Polsce oddział geriatryczny. Edmund Gryglewicz był odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotym Krzyżem Zasługi.

[3] W niedalekich Szopienicach znajduje się inna, obecnie opuszczona, wieża ciśnień, która swoją architekturą nawiązuje do tej z Giszowca. Są do siebie podobne, z tą różnicą, że szopienicka jest otynkowana. Wydaje się, że projektantami szopienickiej wieży mogli być również Zillmanowie lub ktoś wzorował się na ich dziele z Giszowca. Wieża ciśnień w Szopienicach została wybudowana na potrzeby dawnej cynkowni, pomiędzy Hutą Metali Nieżelaznych (dawna huta „Uthemann"), a torami kolejowymi linii Katowice Szopienice Północne–Katowice Muchowiec. Prawdopodobnie jest to wieża wykorzystana w filmie K. Kutza „Sól ziemi czarnej". Obecnie opuszczona, popada w ruinę.

Literatura:

1. L. Jabłoński (red.), „Giszowiec, Nikiszowiec, Szopienice. Przewodnik po dzielnicach Katowic", praca zbiorowa, Katowice 2008
2. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek (red.), „Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu", praca zbiorowa, Gliwice 2011
3. E. Chojecka (red.), „Sztuka Górnego Śląska", praca zbiorowa, Katowice 2004
4. J. Popanda, M. Więcki, „W okupowanym mieście. Topografia Katowic w latach 1939-1945", Katowice 2013
5. M. Szejnert, „Czarny ogród", Kraków 2007
6. J. Tofilska, „Katowice Nikiszowiec. Miejsce, ludzie, historia", Katowice 2007

Dariusz Pietrucha

Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

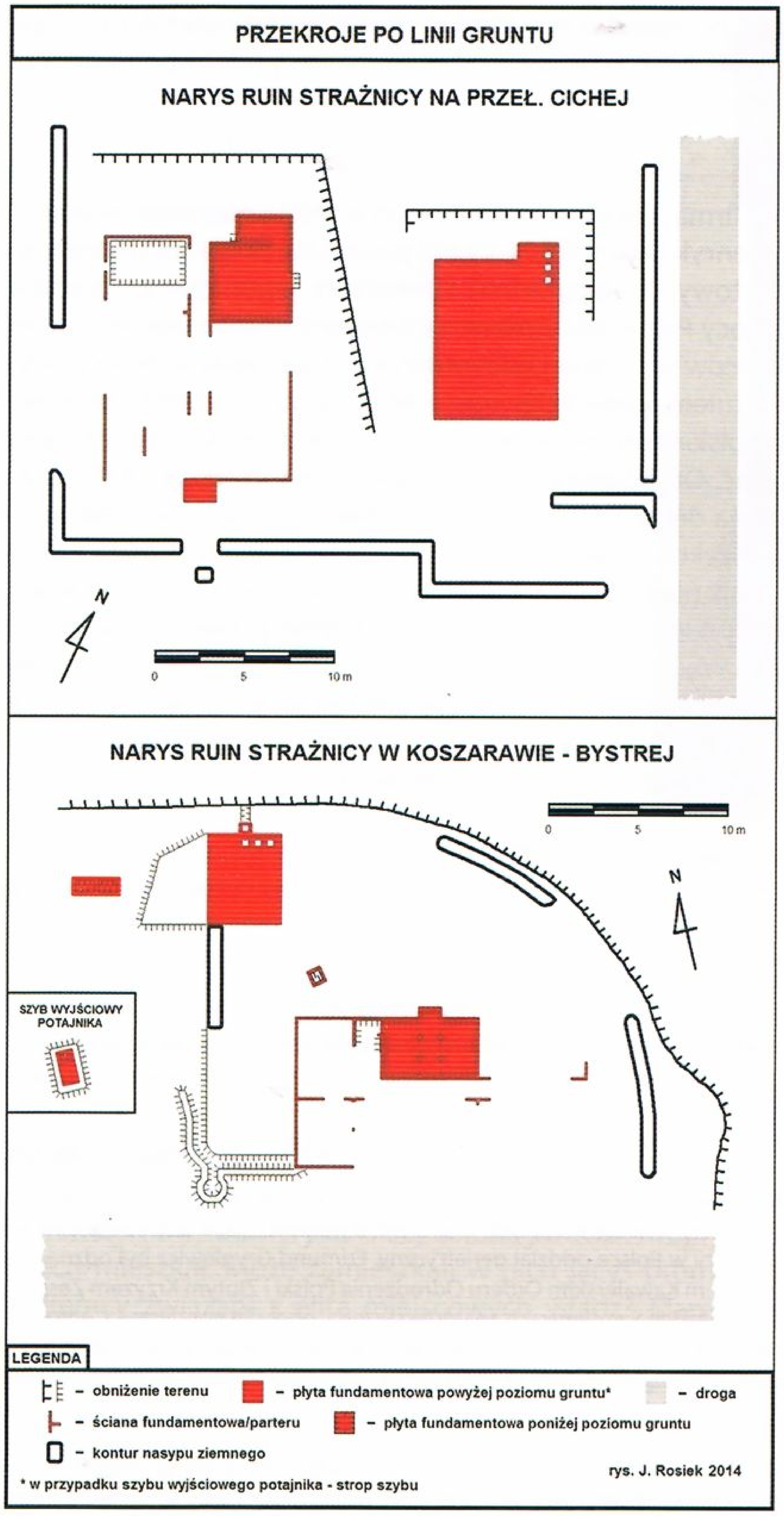

Narysy ruin strażnic na przełęczy Cichej oraz w Koszarawie–Bystrej.

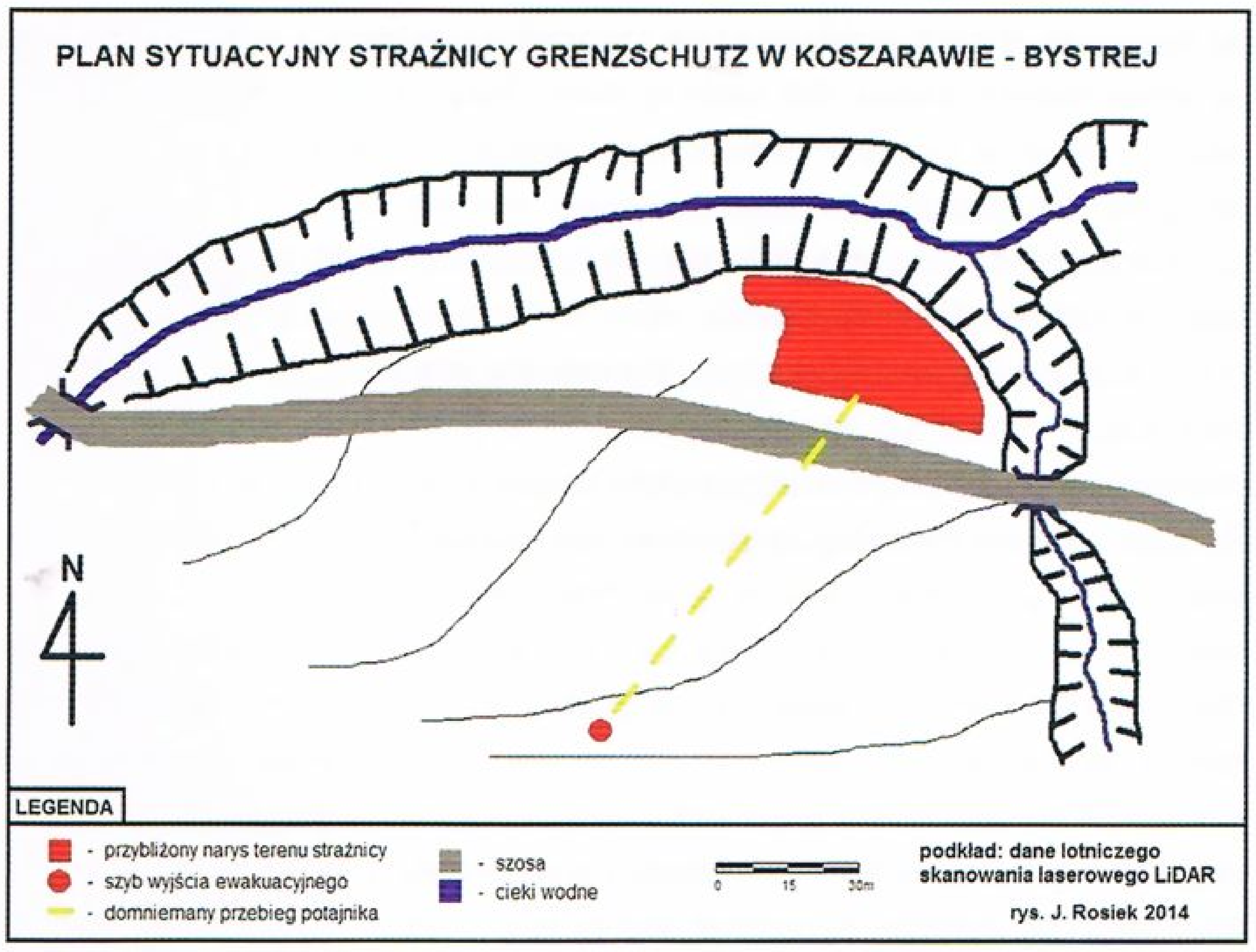

Plan sytuacyjny strażnicy w Koszarawie–Bystrej.

Strażnice Grenzschutz w Beskidzie Żywieckim

JAKUB ROSIEK

Informacje o istnieniu w starszych lub młodszych dziełach obronnych sekretnych przejść i tuneli, umożliwiających atakowanej załodze bezpieczną ucieczkę lub kontratak, nierzadko okazują się prawdziwe. Taki scenariusz potwierdził się w przypadku jednej z byłych strażnic Grenzschutz w powiecie żywieckim.

Niespełna dwa dni po kapitulacji ostatniego związku taktycznego regularnej armii polskiej, 8 października 1939 r., Hitler podpisał dekret, na mocy którego do III Rzeszy miały zostać włączone spore obszary dawnego państwa polskiego. Z pozostałych terenów II Rzeczpospolitej zajętych przez Wehrmacht, zgodnie z dekretem wydanym przez Führera, cztery dni później utworzone zostało Generalne Gubernatorstwo. Nowy podział byłych ziem Polski zaczął obowiązywać 26 października 1939 roku.

Do obszarów anektowanych przez Rzeszę należało m.in. dawne województwo śląskie. Z jego terenów utworzono rejencję katowicką (niem. Regierungsbezirk Kattowitz) funkcjonującą w ramach prowincji Śląsk (niem. Provinz Schlesien). Stolicą prowincji był Wrocław (niem. Breslau). W celu zlikwidowania wszelkich pozostałości po przedwojennym, niesłusznym zdaniem nazistów, podziale Górnego Śląska między Polskę i Niemcy, do rejencji katowickiej włączono część obszarów sąsiedniej rejencji opolskiej. Odtąd cały Górny Śląsk znajdował się w granicach jednej rejencji.

Wśród hitlerowskich decydentów trwał jednak spór co do przynależności państwowej terenów dawnych województw: krakowskiego i kieleckiego, znajdujących się w bliskiej odległości od nowoutworzonej rejencji katowickiej. Tereny te określano mianem „uprzemysłowionego pasa wschodniego". Zlokalizowane na tym obszarze zakłady przemysłowe, choć nie tak rozwinięte jak na Górnym Śląsku, przedstawiały wartość dla niemieckiej gospodarki. Stąd też miasta i miejscowości takie jak: Blachownia, Myszków, Zawiercie, Dąbrowa Górnicza, Będzin, Sosnowiec, Wolbrom, Olkusz, Jaworzno, Trzebinia czy Wadowice, dekretem ministra spraw wewnętrznych Rzeszy z 13 listopada 1939 r. zostały włączone w obszar państwa niemieckiego. Część z anektowanych ziem znalazła się w rejencji katowickiej, a część w opolskiej.

Żywiec w granicach III Rzeszy

Decyzja ministra Wilhelma Fricka o aneksji „uprzemysłowionych peryferii wschodnich" dotyczyła także całego powiatu żywieckiego w jego przedwojennych granicach. Jako Landkreis Say-

Parter strażnicy w Koszarawie–Bystrej, pomieszczenie z filarami podtrzymującymi strop, widoczna ściana oblicowana kamieniem.

Strażnica w Koszarawie–Bystrej. Szyb wyjściowy potajnika.

busch (powiat ziemski żywiecki) wszedł on w skład rejencji katowickiej. Za jego anektowaniem przemawiał fakt istnienia na tym terenie zakładów przemysłowych w postaci odlewni żeliwa w Węgierskiej Górce, fabryki śrub w Sporyszu czy papierni i browaru w Zabłociu. Duża lesistość tego obszaru miała zapewnić dostawy drewna niezbędnego do funkcjonowania śląskich kopalń. Poza tym dobra należące do Karola Olbrachta Habsburga, a była to większość ziem Żywiecczyzny, zostały przez nazistowską administrację skonfiskowane i znacjonalizowane.

Karol Olbracht, mimo iż był przedstawicielem bocznej linii dynastii panującej do 1918 r. w Monarchii Austro–Węgierskiej, był także oficerem Wojska Polskiego, deklarował narodowość polską i opowiadał się przeciwko hitlerowcom.

Ponadto z obszaru powiatu żywieckiego oraz części powiatów: cieszyńskiego i bielskiego, planowano utworzyć największy w tej części Rzeszy rejon wypoczynkowy. Walory turystyczne Beskidu Śląskiego i Żywieckiego doceniało jeszcze przed I wojną światową niemieckie Towarzystwo Beskidzkie (Beskidenverein), które prowadziło w tych pasmach kilka schronisk górskich. Problem niewielkiego odsetka ludności niemieckiej zamieszkującej Żywiecczyznę, który stanowił argument dla przeciwników aneksji, został rozwiązany poprzez przeprowadzenie akcji przesiedleńczo-kolonizacyjnej. Opatrzona została kryptonimem „Aktion Saybusch". W jej wyniku z terenu powiatu żywieckiego wysiedlono do Generalnego Gubernatorstwa w latach 1940-1941 blisko 20 tysięcy osób. Zmiana przynależności państwowej miała także wpływ na administrację kościelną. Parafie Żywiecczyzny zostały bowiem wyłączone spod jurysdykcji archidiecezji krakowskiej i włączone do archidiecezji wrocławskiej.

Granica powiatu żywieckiego z powiatem wadowickim (oba należały przed wojną do województwa krakowskiego), biegnąca szczytami Beskidu Żywieckiego[1], stała się granicą państwa niemieckiego. Dalej na północ granicę tę wyznaczono wzdłuż rzeki Skawy, rozdzielając dawny powiat wadowicki pomiędzy tereny Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa. 18 stycznia 1941 r. prowincja śląska została podzielona na dwie: Dolny Śląsk (niem. Provinz Niederschlesien) ze stolicą we Wrocławiu i Górny Śląsk (niem. Provinz Oberschlesien) ze stolicą w Katowicach. Prowincję górnośląską tworzyły dwie rejencje: katowicka i opolska. Powiat żywiecki, w ramach rejencji katowickiej, należał od tej pory do prowincji górnośląskiej.

Strażnica na przełęczy Cichej

Na wschodnim odcinku granicy Rzeszy biegnącym z Suchej Beskidzkiej do granicy ze Słowacją, zachowały się ruiny dwóch strażnic niemieckiej straży granicznej – Grenzschutz. Pierwsza z nich znajdowała się na przełęczy Cichej, na terenie przysiółka Jałowiec należącego do miejscowości Koszarawa. Drugą wybudowano w Koszarawie–Bystrej.

Strażnicę na przeł. Cichej (N 49° 40′ 22,24″, E 19° 27′ 39,51″) zlokalizowano niespełna 2 km od granicy państwa znajdującej się na szczycie Jałowca. Wśród ruin strażnicy wyodrębnić można dwa budynki. Płyta fundamentowa pierwszego z nich znajduje się nieco powyżej poziomu gruntu. Trzy charakterystyczne otwory wykonane w tej płycie – najprawdopodobniej w miejscu usytuowania toalet – sugerują, iż budynek na niej wzniesiony pełnił funkcję koszar. Pod otworami znajduje się wykop, do którego trafiały nieczystości.

Drugi, większy budynek był częściowo podpiwniczony. Piwnice o betonowych ścianach i stropie całkowicie zagłębiono w gruncie. Istnienie betonowego stropu potwierdzone zostało tylko nad jedną z piwnic – strop ten zawalił się i zalega w piwnicy do dzisiaj. W przypadku reszty piwnic, nad którymi także nie zachował się strop, brak takowego gruzu. Pierwsza nadziemna kondygnacja budynku, podobnie jak obiektu domniemanych koszar, znajdowała się niewiele ponad poziomem gruntu. Poza piwni-

Strażnica na przełęczy Cichej. Otwory w płycie fundamentowej, najprawdopodobniej w miejscu toalet.

Przyziemie niewielkiej budowli na terenie strażnicy w Koszarawie–Bystrej.

cami istnieją w wielu miejscach ściany fundamentowe tego budynku, pozwalające na zrekonstruowanie narysu oraz usytuowania poszczególnych pomieszczeń. Budowla ta pełniła zapewne funkcje administracyjne – była właściwą strażnicą.

Budynki strażnicy otaczał nasyp ziemny, widoczny w dużej mierze i dzisiaj. Jego wysokość sięga pół metra, a szerokość podstawy nie przekracza 1 metra. Stanowił on prawdopodobnie podwalinę drewnianego parkanu, posiadającego strzelnice dla ręcznej broni palnej, który ogradzał budynki. Aby skutecznie chronić przed pociskami karabinowymi, parkan ten musiałby mieć jednak grubość od 60 do 100 cm – w zależności od rodzaju użytego drewna – czyli być praktycznie równy szerokości nasypu. Na nasypie nie zachowały się natomiast żadne ślady po pionowych słupach parkanu, czy innego rodzaju ogrodzeniu. Profil stoków nasypu oraz jego równa powierzchnia górna nie przemawiają także za tym, że ogrodzenie tworzyły w istocie dwa parkany, pomiędzy którymi znajdowała się ziemia, tworząca obecny nasyp.

Wjazd na teren strażnicy znajdował się w narożniku wschodnim. Od strony południowo-wschodniej istniało zapewne osobne wejście dla spieszonych funkcjonariuszy. Świadczy o tym przerwa w nasypie w pobliżu niewielkiej płyty fundamentowej – prawdopodobnie w miejscu wejścia do budynku – osłonięta poprzecznicą. Ruiny strażnicy usytuowane są na otwartym terenie, choć w bliskim sąsiedztwie lasu.

Strażnica w Koszarawie–Bystrej

Budynki tworzące strażnicę w Koszarawie–Bystrej (N 49° 38′ 31,08″, E 19° 25′ 08,84″), sądząc po zachowanych fundamentach, miały mniejszą powierzchnię niż analogiczne zabudowania na przeł. Cichej. Obszar całej strażnicy także był mniejszy. Również ją tworzyły jednak generalnie dwa budynki.

Płyta fundamentowa budynku koszar posiada cztery charakterystyczne otwory. Jeden z nich znajduje się poza obrysem ścian. Mógł to być dodatkowy wychodek dostępny z zewnątrz. Z wykopu pod otworami prowadzi rów, umożliwiający spływ fekaliów do znajdującego się poniżej koryta potoku. Wokół strażnicy także zachowały się pozostałości ziemnego nasypu. Na pewnej jednak długości, zamiast nasypu, istnieje okop z narożnym stanowiskiem strzeleckim. Być może został on wykonany już w czasie działań wojennych, dla obrony przed nacierającymi z Zawoi–Wełczy, przez przeł. Klekociny, wojskami sowieckimi.

Budynek „administracyjny” nie posiadał piwnic, ale niski parter, którego podłoga znajdowała się kilkadziesiąt cm poniżej poziomu gruntu. Tak było zapewne w przypadku całego budynku, gdyż w kilku miejscach zachowały się fragmenty ścian sięgające ok. 1,5 metra. Nad jednym z pomieszczeń parteru zachował się strop podtrzymywany przez 4 filary. Wnętrze jest jednak zasypane śmieciami, a sama strażnica została zamieniona w dzikie wysypisko. Jej teren jest dzisiaj mocno zarośnięty przez drzewa. Północna ściana zachowanego pomieszczenia jest oblicowana ociosanymi kamieniami.

Poza tym na obszarze strażnicy zachowało się przyziemie dodatkowej budowli o niewielkich rozmiarach oraz mała nisza w ziemi posiadająca betonowe ściany. Strażnicę wybudowano na dogodnym do obrony terenie – nad stromymi, wysokimi brzegami dwóch potoków, które otaczały ją z trzech stron. Tuż obok niej znajduje się główna droga biegnąca doliną potoku Bystra. Granica państwa biegła w odległości ok. 5 km od strażnicy.

Pozostałości strażnicy na przełęczy Cichej, na pierwszym planie płyta fundamentowa budynku koszar, w oddali masyw Jałowca.

Tunel

Strażnica w Koszarawie–Bystrej posiadała ponadto wyjście ewakuacyjne dla załogi. Z budynku „administracyjnego” strażnicy prowadził tunel (potajnik) zakończony szybem wyjściowym. Szyb ten usytuowany jest w odległości ok. 80 m od głównych budynków strażnicy na stoku zalesionego zbocza (N 49° 38′ 29,08″, E 19° 25′ 06,71″). Wyjście z niego znajduje się ok. 6 m powyżej poziomu terenu, na którym zbudowano strażnicę.

Szyb z pewnością posiadał zamknięcie, o czym świadczy profil wykonany w jego ścianach. Tajemnicą jednak pozostaje sposób jego zamaskowania. Górna część szybu obłożona została kamieniami, tworząc swoisty, łatwy do odnalezie-

nia kopiec. Ukształtowanie terenu obok szybu sugeruje wykonanie w tym miejscu stanowiska strzeleckiego, skierowanego w stronę strażnicy. Wewnątrz szybu znajdują się dwie ścianki działowe oraz otwory w ścianie zewnętrznej. Być może istniał tam swoisty błędnik zabezpieczający tunel przed bezpośrednim zrzuceniem do jego wnętrza ładunków wybuchowych, ślepy tunel, lub miejsce dla strażnika strzegącego wyjścia. Ze względów bezpieczeństwa szyb jest częściowo zasypany.

Potajnik umożliwiał atakowanym przez partyzantów funkcjonariuszom opuszczenie strażnicy pod osłoną lasu lub wyjście na ich tyły. Co prawda tunel prowadził w kierunku, z którego partyzantom najłatwiej było przypuścić atak na strażnicę (brak przeszkód terenowych w postaci wysokich brzegów potoków), istniało więc ryzyko odnalezienia go przez napastników, jednak osoba, której w latach powojennych udało się przejść tym tunelem, relacjonowała, iż istniał jeszcze drugi potajnik prowadzący do koryta potoku. Niestety, wyjścia z drugiego tunelu nie udało się jak dotąd odnaleźć.

O istnieniu tunelu okoliczni mieszkańcy przekonali się dopiero po zakończeniu wojny, pomimo iż przechodził on pod jedyną drogą prowadzącą w głąb Koszarawy–Bystrej. Świadczy to o tym, że tunel w ścisłej tajemnicy wydrążono metodą górniczą. Jego wysokość pozwalała na przemieszczanie się w pozycji wyprostowanej, a jego ściany były betonowe.

Ślad dawnej granicy

Budynki obu strażnic wzniesione były z drewna. Z betonu lub kamienia wykonano jedynie płyty i ściany fundamentowe, ściany parteru oraz stropy. Obie strażnice spłonęły w czasie działań wojennych w 1945 roku. Na podstawie zachowanych fundamentów stwierdzić można, iż budynki strażnic nie posiadały narożnych kojców pełniących funkcję kaponier. W obrębie obwodów obronnych nie wykonano także wykuszy flankujących parkan.

Na terenie żadnej ze strażnic nie zachowały się ślady potwierdzające istnienie studni (w przypadku strażnicy w Koszarawie–Bystrej zaopatrzenie w wodę nie było problemem z racji płynących obok potoków), ani napowietrznych linii elektroenergetycznych. Załogi strażnic poza wykonywaniem patroli, obsadzały także drewniane wieże obserwacyjne, z których monitorowano granicę.

W bezpośrednim sąsiedztwie omawianego odcinka granicy – na terenie Generalnego Gubernatorstwa – wybudowano w 1944 i 1945 r. linię fortyfikacji pod kryptonimem „Oberkommando des Heeres Stellung b1". Na pewnych odcinkach fortyfikacje te wzniesione zostały wprost na granicy.

Dzisiaj, po linii dawnej granicy III Rzeszy w Beskidzie Żywieckim w dużej mierze biegną współczesne granice administracyjne pomiędzy województwami: małopolskim i śląskim oraz, w obrębie województwa małopolskiego, między gminami: Zawoja–Stryszawa, a także Maków Podhalański–Sucha Beskidzka. Praktycznie cały ten odcinek można przejść poruszając się po znakowanych szlakach turystycznych.

Autor serdecznie dziękuje Ryszardowi Strzałce, członkowi Grupy Rekonstrukcji Historycznej Batalion Obrony Narodowej „Żywiec" za przekazanie niezwykle cennych informacji dotyczących strażnicy w Koszarawie–Bystrej.

ZDJĘCIA, RYSUNKI: JAKUB ROSIEK

Przypis:
[1] Autor przyjął podział Beskidów, zgodnie z którym Pasmo Jałowca zaliczane jest do Beskidu Żywieckiego.

Jakub Rosiek
Absolwent studiów historycznych i dziennikarskich, członek GRH Batalion Obrony Narodowej „Żywiec" oraz Klubu Miłośników Oręża Polskiego „Lech" z Żywca. Zamieszkały w Węgierskiej Górce.

zdarzyło się...

28 II 1945 r.

70 lat temu Amerykanie zatknęli gwiaździsty sztandar nad Iwo Jimą. Walki o japońską wyspę Iwo Jimę jeszcze trwały, gdy kilku marines zatknęło flagę na szczycie góry Suribach, a fotograf Joe Rosenthal zrobił zdjęcie, które jest jedną z najbardziej rozpoznawanych fotografii zrobionych w XX wieku. Na podstawie tego zdjęcia Felix de Weldion zaprojektował pomnik ustawiony w pobliżu waszyngtońskiego cmentarza w Arlington ku czci żołnierzy piechoty morskiej USA. Walki o Iwo Jimę, którą Amerykanie zamierzali zamienić w niezatapialny lotniskowiec wykorzystywany do nalotów na Japonię, były niezwykle krwawe. Z liczącego 21 tys. żołnierzy garnizonu poddało się zaledwie 1083 Japończyków – reszta zginęła lub popełniła samobójstwo. Straty Amerykanów wyniosły blisko 7 tys. zabitych.

REKLAMA

Lekkie i ręczne karabiny maszynowe polskiej piechoty 1918–1939

JAROSŁAW STRENKOWSKI

Lekkie i ręczne karabiny maszynowe, jako nowa kategoria broni strzeleckiej, pojawiły się już przed I wojną światową. Prawdziwie pionierską konstrukcją w tej dziedzinie był, szczegółowo omówiony w „Odkrywcy" nr 10/2014, opracowany w Danii erkaem Madsen. Podobnego typu prace prowadzono na początku XX wieku zresztą także i we Francji, ale właściwy przełom przyniosły dopiero frontowe doświadczenia wojny.

Oprócz wielu zalet, stosowane wówczas karabiny maszynowe przejawiały liczne wady, dyskwalifikujące właściwie cekaemy jako broń ofensywną. Do tych najbardziej istotnych należała duża masa i wiążące się z tym problemy z transportem, czy też skomplikowana obsługa wynikająca ze sporej z reguły liczby części (np. ckm Maxim wz. 08). Znaczącym utrudnieniem była także kwestia chłodzenia lufy. W przypadku broni chłodzonej wodą występowała konieczność zapewnienia dostępu do jej źródeł oraz dość czasochłonnego podłączania przewodów parowych do chłodnicy i parownika, zaś w odniesieniu do cekaemów chłodzonych powietrzem, prawdziwą bolączką ich obsługi pozostawał brak, w większości przypadków, chwytów transportowych umożliwiających w warunkach bojowych szybkie przeniesienie rozgrzanego karabinu. Bodaj czy nie najbardziej znaczący, był jednak długi czas niezbędny do zajęcia nowego stanowiska i otwarcia ognia, co w wielu przypadkach miało decydujący wpływ na powodzenie ataku. Wszystkie te bolączki wymusiły niejako na konstruktorach podjęcie działań mających na celu opracowanie lekkiego i prostego w obsłudze karabinu maszynowego, mogącego zapewnić przewagę ogniową w natarciu. Dużą zachętą były w tym wypadku bardzo pozytywne doświadczenia, wiążące się z użyciem przez belgijską armię elkaemu wz. 15 Lewis. I tak, od 1915 roku pojawiło się kilka wzorów broni, które na długie dziesięciolecia wytyczyły kierunek rozwoju ręcznej broni maszynowej. Podstawą nowych koncepcji była przede wszystkim niewielka masa karabinu, zastosowanie chłodzenia powietrzem oraz zasilanie z magazynka pudełkowego (rzadziej talerzowego lub bębna z taśmą). Do opracowanej wówczas broni, która niewątpliwie wytyczyła kierunek rozwoju, zdecydowanie zaliczyć można konstrukcje Madsena, Lewisa, Chauchata, czy wreszcie Browninga.

Dwurzędowy magazynek pudełkowy do rkm wz. 28 Browning.

W polskich realiach trzech lat walk toczonych w obronie świeżo odzyskanej niepodległości, lekka i ręczna broń maszynowa odgrywała szczególną rolę. Zupełnie odmienna od statycznych działań za Zachodzie specyfika klasycznej wojny manewrowej, jaką bez wątpienia była wojna z bolszewikami, uwypuklała wszystkie zalety tego rodzaju uzbrojenia. Działania polegające na głębokich wypadach dużych związków taktycznych jazdy i ustawicznych przemarszach piechoty, stwarzały szczególne zapotrzebowanie na broń maszynową o niewielkiej masie, łatwą w transporcie oraz pozwalającą na błyskawiczną zmianę stanowiska bojowego. I to właśnie owa mobilność w połączeniu z porównywalną do cekaemów – choć na przeciąg krótkiego czasu – siłą ognia, stała się niewątpliwym atutem elkaemów, dającym im w opinii wielu przewagę nad charakteryzującymi się znaczną masą i skomplikowanymi w obsłudze ciężkimi karabinami maszynowymi.

Odzyskanie niepodległości oraz konieczność podjęcia walki zbrojnej o ustalenie granic Rzeczypospolitej, postawiło polskich polityków i wojskowych w obliczu zupełnie nowych wyzwań. Po 123 latach państwowego niebytu należało nie tylko błyskawicznie zorganizować liczną i sprawną armię, ale także – a może nawet przede wszystkim – zadbać o logistykę zabezpieczając oddziałom WP pełne uzbrojenie i wyekwipowanie. Nie można było oczywiście mówić o krajowym przemyśle zbrojeniowym z tej prostej przyczyny, że takowy w ogóle nie istniał. Pozostawało więc bazowanie na uzbrojeniu zdobycznym, porzuconym przez zaborców w wojskowych składach oraz zakupionym z francuskich, angielskich, amerykańskich, włoskich, austriackich i innych magazynów. Wytworzyła się w ten sposób istna mozaika wzorów, kalibrów i typów broni, pojazdów bojowych, czy samolotów.

Lewy bok komory zamkowej. Obok bezpiecznika stanowiącego równocześnie przełącznik rodzaju ognia, zwracają uwagę sygnatury „D" i „S". Według znawcy tematu p. Jacka Mazuro, świadczą one o użytkowaniu tego konkretnego egzemplarza broni przez formacje niemieckie.

Również jeżeli chodzi o lekkie i ręczne karabiny maszynowe, sytuacja wcale nie odbiegała w tym względzie na korzyść od pozostałych rodzajów broni i wyposażenia.

W pułkach piechoty, brygadach jazdy, czy wreszcie w formacjach saperskich WP znalazły się praktycznie wszystkie ich typy używane bojowo na frontach I wojny światowej. Do tych mniej licznych należały elkaemy wz. 15 Lewis oraz wz. 08/18 Maxim. Na wyposażeniu WP w tym okresie znajdowało się też

około 20 egzemplarzy niezbyt udanego karabinu wz. 15 Bergmann. Spośród zaznaczonych wyżej karabinów, może warto poświęcić kilka słów konstrukcji Lewisa.

Ten, już w 1912 r. wprowadzony na uzbrojenie armii belgijskiej elkaem, odznaczał się przede wszystkim dużą niezawodnością i odpornością na zanieczyszczenia. W bardzo interesujący i nietypowy sposób rozwiązana została kwestia chłodzenia lufy. Otóż została ona otoczona otwartym z obu stron i wystającym kilka centymetrów poza jej wylot aluminiowym ekranem. W trakcie prowadzenia ognia, pęd opuszczającego lufę pocisku powodował zasysanie powietrza od strony komory potęgując skuteczność chłodzenia. Innym niestandardowym rozwiązaniem był obracany przez mechanizmy karabinu talerzowy magazynek mieszczący 47 sztuk amunicji. Przy stosunkowo dużej szybkostrzelności teoretycznej (ok. 550 strz./min), z broni tego wzoru można było prowadzić ogień skuteczny do 600 metrów. W zależności od potrzeb, do Lewisa stosowano także podstawę trójnożną (w 1924 r. na Łotwie zakupiono ok. 700 karabinów z takimi właśnie podstawami). Najsłabszym chyba punktem broni tego wzoru była dość wysoka, bo przekraczająca 12 kg, masa. W kontekście użytkowania przez WP oczywistym minusem tej całkiem udanej konstrukcji pozostawał, z oczywistych względów, kal. 7,7 mm. Źródłem bezpośrednio potwierdzającym użytkowanie Lewisa w Polsce jest instrukcja „Karabiny Colt'a i Lewis'a" z 1919 roku. Wspomniana instrukcja jest jednak jedynym, jak do tej pory, śladem wskazującym na obecność tej broni w Polsce przed 1922 r., kiedy to wzmiankuje się posiadanie w wojskowych magazynach ponad 830 sztuk elkaemów Lewisa. W ramach unifikacji uzbrojenia do 1927 r. wycofano z pułków wszystkie egzemplarze.

Spośród ww. elkaemów karabin wz. 08/18 był zmodyfikowaną wersją lkm-u wz. 08/15, różniącą się od pierwowzoru przede wszystkim lufą chłodzoną powietrzem. Inna niemiecka konstrukcja – lkm wz. 15 Bergmann – w większych ilościach pojawił się w Polsce dopiero w 1922 roku. W 1931 r. w magazynach WP znajdowało się ponad 2100 sztuk tej broni. Karabin Bergmann miał dobrą – choć chyba nie do końca zasłużenie – opinię. Ten, w późniejszej wersji chłodzony powietrzem elkaem, był efektem przekonstruowania cekaemu wz. 02 Bergmann. Zmodyfikowany został m.in. mechanizm spustowy, dodano chwyt pistoletowy oraz na tylnej ścianie komory zamkowej zainstalowany został trzewik. Na lufie dodano perforowany płaszcz, który w praktyce tylko w niewielkim stopniu spełniał swoją rolę chłodnicy. Karabin zasilany był parcianą taśmą amunicyjną z bębna lub skrzynki amunicyjnej. Do karabinu stosowano dwójnóg, bądź też lekką podstawę trójnożną. Broń ta cechowała się licznymi wadami konstrukcyjnymi, spośród których najpoważniejsze to: niestabilność podczas prowadzenia ognia, bardzo szybkie przegrzewanie się lufy oraz bliski zasięg strzału skutecznego (w praktyce zaledwie ok. 400 m). Ponadto elkaem ważył 11,8 kg, co wcale nie było oszałamiającym – delikatnie mówiąc – wynikiem. Zwłaszcza w kontekście ww. problemów ze stabilnością, co przy wcale niemałej masie karabinu, tym bardziej świadczy na niekorzyść tej konstrukcji. Z polskiego punktu widzenia jego niewątpliwą zaletą było przystosowanie do naboju karabinowego 7,92×57 Mauser. I zdaje się, że atut ów pozostaje chyba jedynym, rzetelnym argumentem przemawiającym za zakupem tej specyficznej konstrukcji na potrzeby Wojska Polskiego. Broń ta jeszcze w 1939 r. w dość znacznej ilości (715 sztuk) znajdowała się w wojskowych magazynach.

Rkm wz. 28 Browning (FN). Karabin sygnowany jest stosunkowo niskim numerem produkcyjnym 2457H. W egzemplarzu tym zastosowano zmodernizowaną kolbę, tzw. „rybi ogon" oraz osłonę muszki, która się, niestety, nie zachowała.

Rkm wz. 28 Browning produkcji FN. Tuleja osłabiacza odrzutu i sprężyny powrotnej.

Rkm wz. 28 Browning. Język spustowy i przycisk zwalniacza zatrzasku magazynka.

Zajmijmy się teraz dwiema konstrukcjami, które na wyposażenie WP trafiły w zdecydowanie największych ilościach. Zaczniemy więc od elkaemu wz 08/15 Maxim.

Ten niezwykle charakterystyczny karabin powstał w wyniku przeróbek cekaemu wz. 08 Maxim. Podstawowym założeniem było przygotowanie znacznie lżejszej od ważącego ponad 53 kg (!) pierwowzoru broni na potrzeby tworzonych oddziałów szturmowych. Dzięki zdecydowanie niższej masie i sporej mobilności, miał zapewnić ogniową przewagę nielicznym, doborowym oddziałom niemieckiej pie-

Naboje ślepe 7,92 mm Mauser. Wykonane z olchowego drewna i malowane na kolor czarny. Natomiast wokół spłonek powlekano obwódki lakierem o barwie szarej lub czarnej. Łuski w pobliżu wtoku na pazur wyciągu znakowano płytko frezowanymi, ukośnymi kreskami.

choty wychodzącym do natarcia. Elkaem zasilany był z parcianej taśmy na 250 nabojów, co przysparzało początkowo bardzo wiele problemów po przerwaniu ognia, w przypadku nie wystrzelenia całej amunicji. Zastosowanie bębnowego ładownika z taśmą na 100 nabojów, w dużej mierze pozwoliło usunąć tą mocno dokuczliwą niedogodność. W karabinie zmieniony został kształt komory zamkowej, zastosowano cieńsze ścianki i zmniejszono jej objętość. Opracowany został nowy mechanizm spustowy, dodano chwyt pistoletowy oraz kolbę. Zmniejszona została objętość chłodnicy z 4 do 1,8 l wody, a przy komorze zamkowej zainstalowano masywny dwójnóg, zaopatrzony w długie ostrogi. Karabin wyposażony był w ramową szczerbinkę oraz stałą muszkę, w późniejszych wersjach dodawano na klapie komory także lawetę pod kątomierz – celownik ZF–12 oraz podstawę pod muszkę kołową do strzelań

plot. Elkaem wprowadzony został do linii w 1917 r. i od razu ujawniło się wiele jego wad i niedoskonałości. Przede wszystkim nieprzemyślane umieszczenie dwójnogu, powodowało bardzo dużą niestabilność podczas strzelania i związaną z tym niską celność. Wraz z wodą w chłodnicy ważył aż 15,5 kg, co śmiało można ogłosić zdecydowanym rekordem wśród elkaemów. W trakcie prowadzenia ognia, nagrzewanie się mechanizmów skutkowało znacznym zmniejszaniem się szybkostrzelności, która, porównywalna do MG 08, miała być atutem nowej konstrukcji. Jego oczywistą zaletę stanowiła duża prędkość początkowa pocisku (890 m/s) i zupełnie przyzwoity zasięg ognia skutecznego (ok. 800 m). Elkaem przystosowany był do amunicji karabinowej 7,92 mm×57 Mauser.

Pod koniec I wojny światowej liczni spośród przymusowo wcielonych Polaków z zaboru pruskiego, mieli okazję zetknąć się z produkowanymi w ogromnej liczbie elkaemami Maxim. Wielu też idących do ataku pod „Verdunem" „Kaczmarków", zawdzięcza im życie.

Ze zrozumiałych względów znajdujące się na wyposażeniu WP elkaemy wz. 08/15, pochodziły wyłącznie ze zdobyczy wojennych. Znaczną ich ilość zdobyto przede wszystkim w efekcie zakończonego sukcesem Powstania Wielkopolskiego. Broń ta służyła z powodzeniem podczas wojny z bolszewikami. Na stanie WP znajdowała się aż do 1939 r. i systematycznie zwiększano jej ilość. O ile więc w 1922 r. było ich ok. 3400 sztuk, o tyle w 1931 r. liczba ta wzrosła do 6500 egzemplarzy. Jeszcze w 1939 r. w wojskowych składnicach zarejestrowano ponad 5700 elkaemów wz. 08/15 Maxim.

Spośród masowo używanej przez oddziały WP broni maszynowej z okresu I wojny, pozostał jeszcze do krótkiego omówienia francuski erkaem wz. 15 Chauchat CSRG.

Karabin ten wszedł do użycia w 1916 roku. Działał na zasadzie długiego odrzutu lufy. Konstrukcja charakteryzowała się

Rkm wz. 28. Osłona okienka wyrzutnika.

Rkm wz. 28 Browning produkcji belgijskiej. Egzemplarz ten sygnowany jest numerem „3387H". Na podstawie muszki dobrze widoczne jest mocowanie osłony, która się nie zachowała.

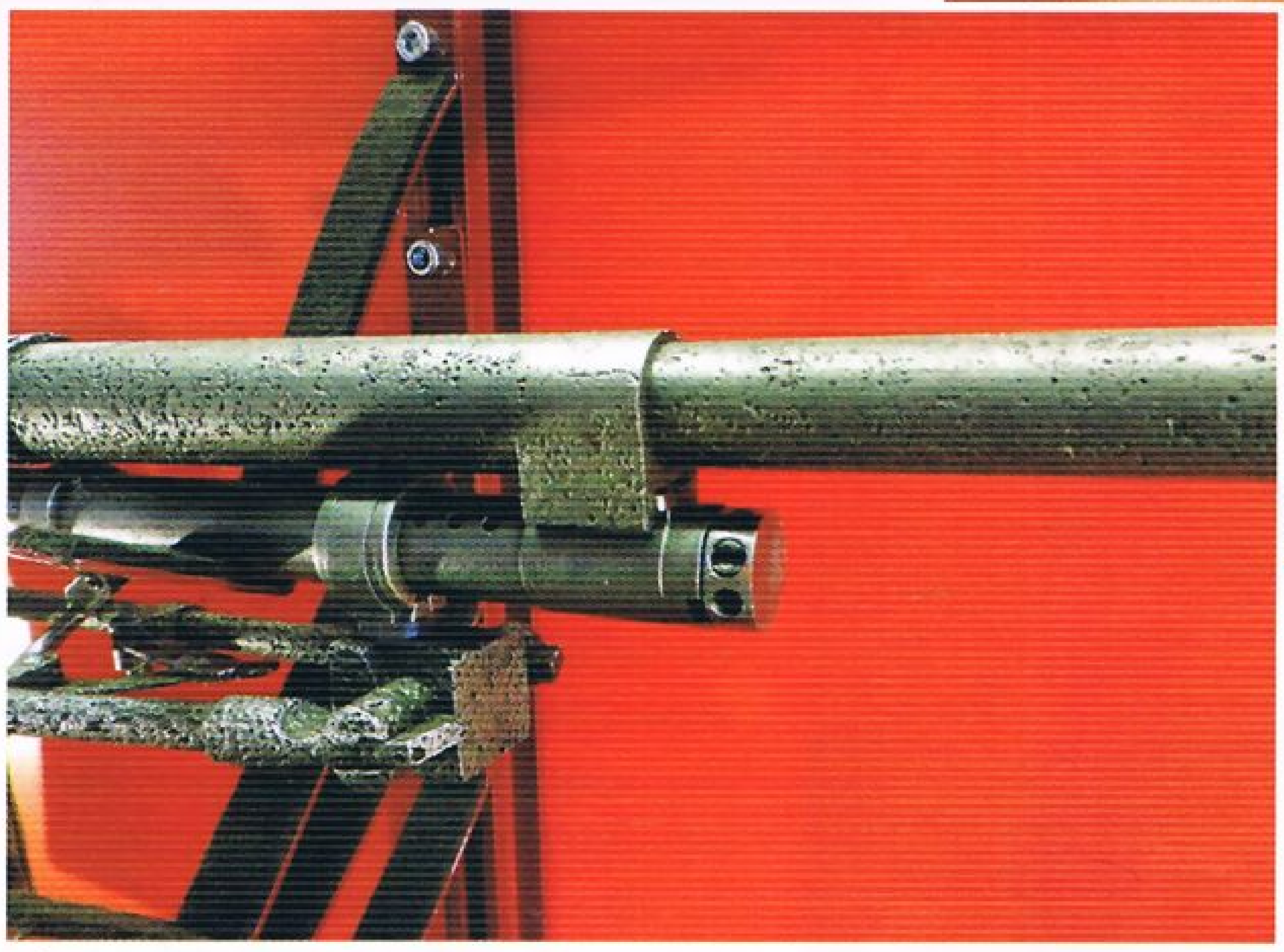

Rkm wz. 28 Browning. Ustawiany w trzech pozycjach regulator gazowy. Na rurze gazowej symetrycznie rozstawione otwory odprowadzające nadmiar gazów prochowych. Za otworami mocowanie lekkiego dwójnogu.

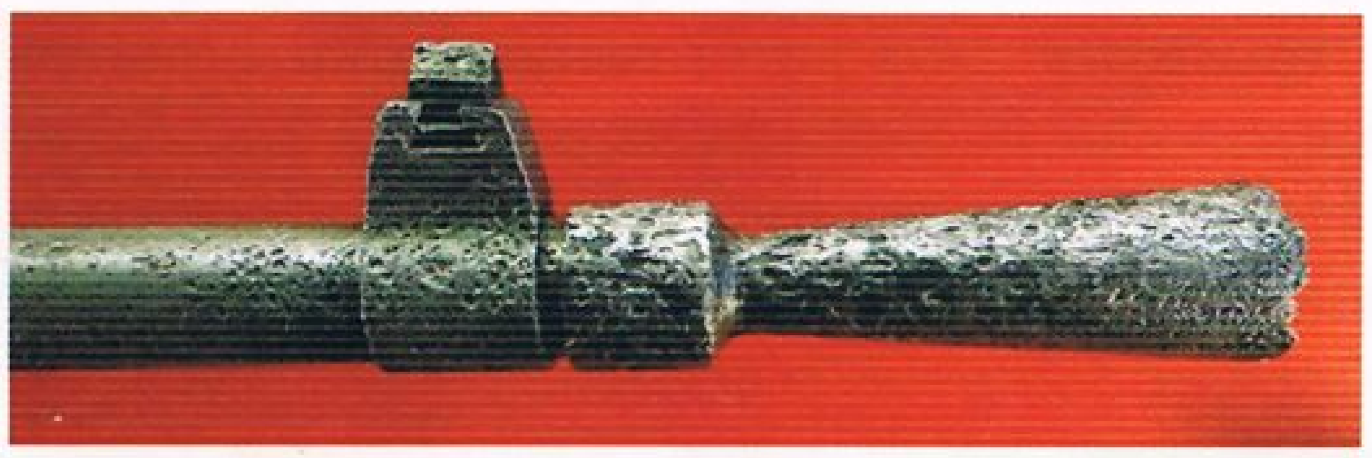

Rkm wz. 28 Browning. Pryzmatyczna muszka (brak osłony). Tłumik płomieni pochodzi z innego egzemplarza.

Rkm wz. 28 Browning. Ramkowa szczerbinka.

Rkm wz. 28 Browning. Górna część komory. Sygnatury wytwórcy wraz z numerem fabrycznym broni „3387H".

niską masą (8,7 kg), a chłodzona powietrzem lufa pod perforowanym płaszczem posiadała skuteczny radiator. Wylot zaopatrzono w tłumik płomieni. Broń zasilana była z osadzanego w dwóch gniazdach łukowego magazynka mieszczącego 20 naboi. Magazynek posiadał wycięte okna, pozwalające obsłudze kontrolować stan amunicji. Pomiędzy kabłąkiem spustowym i magazynkiem umieszczono gruszkowaty chwyt. Nad wykonaną z bukowego drewna kolbą, konstruktorzy umieścili urządzenie wyróżniające tę broń spośród wszystkich innych w tym okresie. Otóż bardzo długa komora zamkowa zakończona była tuleją mieszczącą sprężynę, stanowiącą pierwszy w historii broni automatycznej osłabiacz odrzutu. Zastosowano również przełącznik rodzaju ognia. W przedniej części stalowego łoża zamontowano, zaopatrzony w ostrogi dwójnóg. Szczerbinka ze skokiem co 200 m posiadała nastawy do 2000 metrów. Bardzo charakterystycznym elementem było niesymetryczne mocowanie muszki, osadzonej na wysokim, wygiętym w kierunku osi lufy słupku. Erkaem przystosowany był do strzelania 8 mm×50R nabojem karabinowym Lebel. I trzeba zaznaczyć, że był to równocześnie jeden z kilku niezbyt mocnych punktów tej pionierskiej w pewnym sensie konstrukcji. Otóż amunicja karabinowa Lebel daleko obiegała od posiadającej dobre właściwości balistyczne, silnej amunicji Mausera. W efekcie skuteczny strzał można było oddać na odległość zaledwie 400 metrów. Innym problemem, właściwie stale nękającym obsługi Chauchata, były częste zacięcia, spowodowane zapychaniem ziemią nieszczęsnych okienek w magazynku w warunkach bojowych oraz dużą powierzchnią tarcia zamka podczas jego ruchu do tyłu. I ten właśnie element konstrukcyjny wymagał bardzo precyzyjnego spasowania części. Tymczasem Chauchaty szybko „zasłynęły" z wyjątkowo złej jakości wykonania. Wynikało to z używania kiepskich materiałów, zlecania produkcji części różnym niemalże chałupniczym zakładom, a po części także z ewidentnych wad konstrukcyjnych. Mimo jednak żenująco niskiej szybkostrzelności praktycznej (zaledwie 60 strz./min.) oraz ustawicznych problemów z zacięciami, były lubiane przez obsługi z racji słabego odrzutu (osłabiacz odrzutu!) oraz małej masy.

Do Polski, w całkiem sporej ilości, trafiły wraz z armią Hallera oraz w wyniku zakupów dokonywanych przez Polską Misję Wojskowych Zakupów, o czym niżej.

Po zakończeniu wojny z bolszewikami, w ramach prób ujednolicenia broni, erkaemy wz. 15 Chauchat znalazły się na uzbrojeniu czternastu dywizji piechoty, wszystkich brygad jazdy oraz pułków szwoleżerów. W 1922 r. Wojsko Polskie posiadało 2 tys. sztuk broni tego wzoru. W pułku znajdowało się 27 sztuk erkaemów Chauchat. Podjęte prace nad zmianą kalibru na 7,92 mm oraz dostosowaniem erkaemu do magazynka od Browninga, zakończyły się podobno sukcesem. Należy jednak otwarcie stwierdzić, że była to zupełnie nieuzasadniona pod każdym względem próba pozostawienia niezbyt już nowoczesnej broni francuskiej na wyposażeniu WP. Jednakże prowadzona bardzo rozsądnie polityka zbrojeniowa przyniosła efekt w postaci wyboru karabinów powtarzalnych oraz amunicji systemu Mausera. W pewnym sensie było to też podyktowane względami ekonomicznymi, bowiem na mocy postanowień Traktatu Wersalskiego Polska otrzymała w pełni wyposażoną fabrykę kb Mauser w Gdańsku, ale nie tylko. Istotna była wspomniana wcześniej wysoka jakość mauserowskiej amunicji oraz bezsprzeczna wyższość broni powtarzalnej tego systemu nad jej francuskimi odpowiednikami – zwłaszcza nad kb wz. 86 Lebel. W tym kontekście poszukiwano również nowego erkaemu, dostosowanego do amunicji 7,92 mm×57 Mauser. Do 1930 r. wycofano właściwie ten nienowoczesny i zawodny erkaem z pułków, choć jeszcze w 1931 w magazynach znajdowała się 11 800 sztuk tej broni. Do 1936 r. szczęśliwie sprzedano wszystkie posiadane karabiny wz. 15 Chauchat.

Wobec bardzo trudnej sytuacji na wschodnich rubieżach odradzającej się Rzeczypospolitej, kwestią być albo nie być państwa stało się zapewnienie dostaw uzbrojenia i wszystkich pozostałych materiałów wojennych niezbędnych do prowadzenia działań. Intensywnie zabiegano o kredyty w USA i we Francji, co do pewnego stopnia przynosiło efekty. W styczniu 1919 r. powstała Polska Misja Wojskowa Zakupów, której już trzy miesiące później udało się sprowadzić do Polski pierwszą, dużą partię uzbrojenia i amunicji, w tym aż 1800 karabinów maszynowych. Misja dokonywała zakupów we Francji, Austrii i we Włoszech, do końca roku nabywając 3500 sztuk broni maszynowej (cekaemów wz. 14 Schwarzlose, wz. 14 Hotchkiss, erkaemów wz. 15 CSRG i in.). Sprowadzanie broni z tak wielu państw (w tym z Anglii) było spowodowane wyższą koniecznością, choć oczywistym jest fakt, że mnogość wzorów oraz kalibrów mocno komplikowała zaopatrzenie oddziałów w amunicję i części zamienne, jak również wyszkolenie żołnierzy. Starano się rozwiązać ten problem w miarę jednolicie wyposażając poszczególne dywizje w broń niemiecką, francuską, bądź też austriacką. I tak np. hallerczycy używali oczywiście uzbrojenia francuskiego, pułki wielkopolskie – niemieckiego, a dywizje z Małopolski – austriackiego. W warunkach wojennych nie zawsze było to jednak realne, a najważniejszym zadaniem pozostawało przede wszystkim sprawne uzupełnienie strat bojowych.

Po zakończeniu działań wojennych w polskich magazynach znajdowało się 18 891 elkaemów i erkaemów wielu wzorów. W wyniku przeprowadzanej reorganizacji WP na stopę pokojową, w 1924 r. 14 dywizji przezbrojono w broń niemiecką, a 14 we francuską. Planowano także uzupełnienie elkaemami

wz. 08/15 wyposażenia wszystkich pułków piechoty (po 54 na pułk). Wyjątkiem miały być jedynie dywizje uzbrojone w broń austriacką (5 dywizji), dla których przeznaczono elkaemy Lewis. Podjęte działania miały jednak charakter unifikacji doraźnej i nie rozwiązywały palącego problemu, jakim był brak nowoczesnego erkaemu. Na wyposażeniu WP znajdowały się w znacznej części mocno już wyeksploatowane elkaemy i erkaemy systemu: Chauchata, Lewisa, Bergmanna, Maxima. Broń wszystkich tych wzorów posiadała liczne wady konstrukcyjne, mocno obniżające ich wartość bojową, a różnorodność kalibrów stanowiła dodatkowe utrudnienie w zaopatrzeniu w amunicję. Sytuacja powyższa wymagała podjęcia konkretnych kroków, mających na celu dostarczenie WP nowoczesnej broni, która zastąpiłaby przestarzałą i wadliwą broń wielu wzorów.

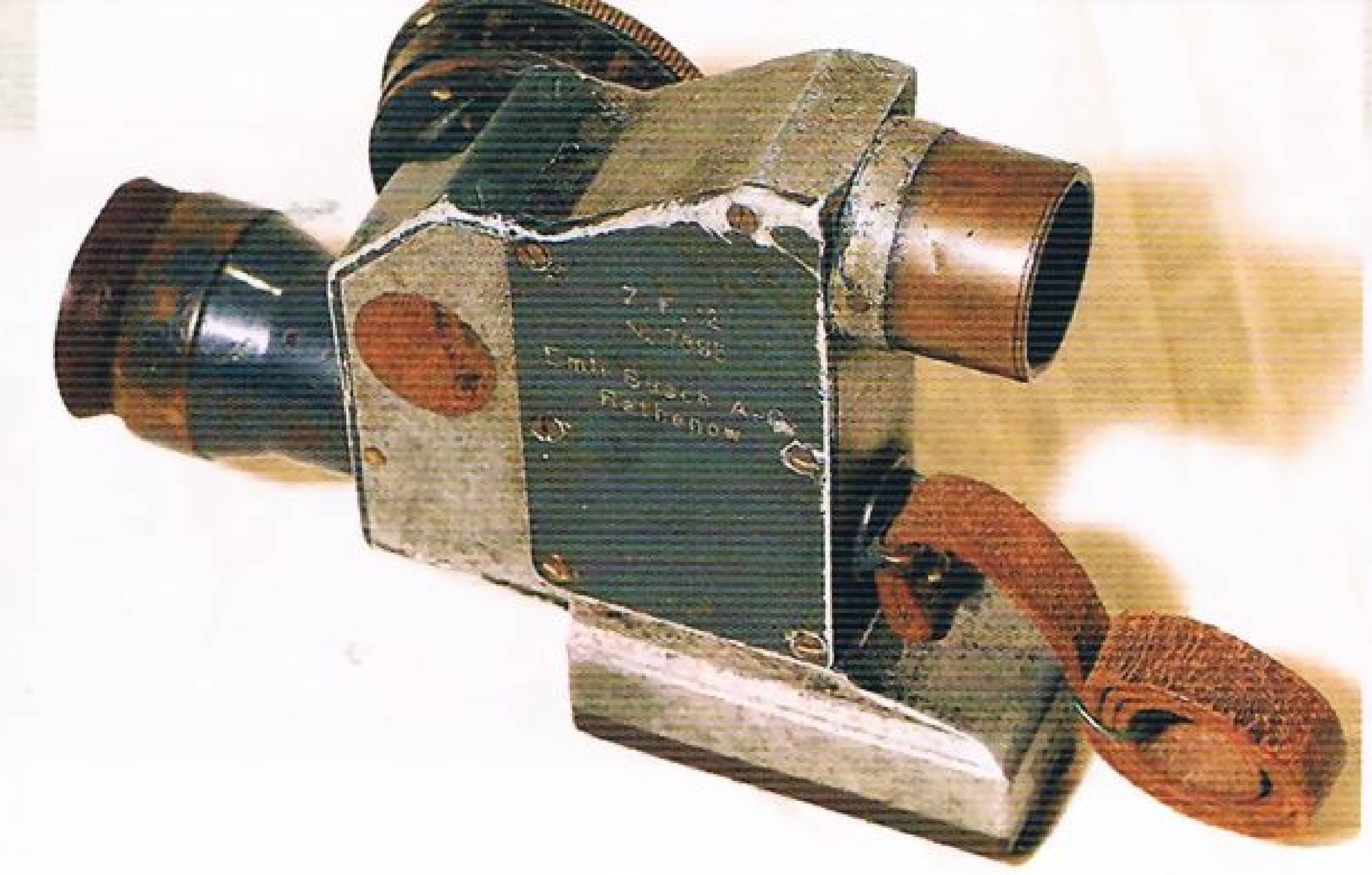

Wyprodukowany przez firmę Emil Busch A-G kątomierz-celownik ZF-12, stosowany do cekaemów wz. 08 Maxim oraz elkaemów 08/15 Maxim.

Tak więc już w 1923 r. ogłoszony został pierwszy konkurs na nowy erkaem dla Wojska Polskiego. Po jego nierozstrzygnięciu w styczniu 1925 r. odbył się następny.

Do rywalizacji zgłoszono erkaemy: Madsen wz. 24, Browning wz. 24, Beardmore-Farquhar wz. 24, Chatellerault wz. 24, Hotchkiss wz. 23, Lewis wz. 23, Praha wz. 24. Pomimo wygrania konkursu przez erkaem wz. 24 Browning produkcji Fabrique Nationale (FN), władze wojskowe dopiero w 1927 r. podjęły decyzję o wprowadzeniu tego wzoru na uzbrojenie WP. Wkrótce też zostało złożone zamówienie na 10 tys. erkaemów oraz podjęto decyzję o zakupie licencji. Zgodnie z umową zamówienie miało być zrealizowane do końca września 1929 r., a belgijska wytwórnia zobowiązana została do wprowadzenia postulowanych przez polską stronę zmian konstrukcyjnych. Do tych najistotniejszych zaliczyć należy: dostosowanie do amunicji 7,92 mm×57 Mauser, wydłużenie lufy o 11 mm (do 611 mm), odwrócenie celownika, przeniesienie mocowania dwójnogu na rurę gazową, przekonstruowanie zaworu oraz tłoka gazowego, dodanie chwytu pistoletowego. W trakcie produkcji sukcesywnie też wprowadzano kolejne ulepszenia w postaci wzmocnienia połączenia lufy z komorą, zastosowania nowej kolby – tzw. „rybiego ogona", czy dodania osłony muszki oraz podstawy pod kołowy celownik do strzelań plot.

Lkm wz.08/15 Maxim. Na boku komory zamkowej dobrze widoczna osłona sprężyny. Pod karabinem otwarty zasobnik z taśmą amunicyjną. Szkoła Podchorążych Piechoty w Zambrowie. Fot. ze zbiorów prywatnych Roberta Modzelewskiego.

Lkm wz. 08 Maxim na podstawie plot. wz. 29. Na zaczepie z prawej strony podstawy zawieszona jest skrzynka amunicyjna, z lewej natomiast wodnik. W tle zabudowania koszar 71. pp. Mazowiecka Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii w Zambrowie, 1937 r. (za „Garnizon Zambrów", zdjęcie ze zbiorów prywatnych Michała Zdrojewskiego).

Firma Fabrique Nationale nie wywiązała się z terminu dostaw zamówionej partii karabinów, a opóźnienie wyniosło blisko pół roku. Nie dostarczono również wszystkich rysunków oraz tłumaczeń dokumentacji niezbędnej do podjęcia produkcji w Polsce. Nie dokonano także przeliczeń na system metryczny. Wszelkie braki dokumentacyjne zostały jednak sprawnie uzupełnione przez zespół konstruktorów Fabryki Karabinów w Warszawie. W splot niedociągnięć strony belgijskiej wpisuje się także zaskakujące potknięcie wytwórni FN w sprawach patentowych. Okazało się bowiem, że belgijska firma nie zgłosiła wcześniej patentu w Polsce, wobec czego nie miała prawa do sprzedaży licencji. W tej sytuacji umowa licencyjna została przez stronę polską zerwana, przy czym Polska zapłaciła jedynie za dostarczoną niepełną dokumentację.

Erkaem wz. 28 działał na zasadzie odprowadzenia gazów prochowych przez dolny otwór w lufie. Pod lufą zainstalowano rurę gazową, z regulatorem gazowym ustawianym w trzech pozycjach. Na rurze gazowej znajdowało się mocowanie lekkiego, składanego dwójnogu zaopatrzonego w płozy. Lufa o długości 611 mm w tylnej części zaopatrzona była w radiator z 54 żebrami. Gwintowanie wylotu lufy umożliwiało nakręcenie tłumika płomieni lub odrzutnika. Broń zasilana była z pudełkowego, dwurzędowego magazynka, mieszczącego 20 sztuk amunicji. Przed magazynkiem, na rurze gazowej zamontowana została drewniana okładzina przeciwoparzeniowa. W wykonanej z bukowego drewna kolbie wydrążono otwór na tuleję mieszczącą mechanizmy osłabiacza odrzutu. Wewnątrz kabłąka spustowego zainstalowany został przycisk zwalniacza magazynka. Za pomocą znajdującego się na lewej ściance komory zamkowej bezpiecznika, można było ustawiać rodzaj ognia. Przyrządy celownicze skła-

dały się z celownika ramieniowego ze skokiem co 100 m (od 400 do 1600 m) oraz muszki. Broń przystosowana była do amunicji 7,92 mm×57 Mauser. Do strzelania z erkaemu używano przede wszystkim nabojów SC (ciężkich) o masie 12,8 g. Była to amunicja o rdzeniu ołowianym i melchiorowanym dwustronnie płaszczu, elaborowana prochem grafitowym lub płytkowym. Znakowano ją lakierem koloru zielonego, kładzionym wokół spłonki, jak również wykonanym w tej samej barwie nadrukiem na tekturowym pudełku. Oprócz tego stosowano także amunicję przeciwpancerną o oznaczeniu P, przeciwpancerno-świetlną PS oraz zapalającą Z. Specyficzny rodzaj amunicji stanowiły naboje ślepe. Do elaboracji ślepej amunicji stosowano proch ćwiczebny, wypełniając łuskę do 2/3 objętości. Tępołukowy, wydrążony od wewnątrz pocisk, wykonywano z drewna olchowego. Do strzelania amunicją ślepą niezbędne było nakręcenie na lufę odrzutnika, który zgniatał opuszczający lufę pocisk, zwiększając siłę odrzutu do wartości niezbędnej do przeładowania broni. Amunicję pakowano do kartonowych pudełek po 15 sztuk (amunicja do erkaemów paczkowana była bez łódek). Na opakowaniu znajdował się nadruk zawierający nazwę wytwórcy, rodzaj amunicji, nr serii oraz datę produkcji i elaboracji. Kolor nadruku odpowiadał rodzajowi amunicji. 84 kartonowe pudełka pakowano do zamykanych próżniowo tzw. „konserw". Pełny zestaw erkaemu składał się z karabinu, zapasowej lufy oraz 52 magazynków. Do tego doliczyć należy także 8 podwójnych ładownic, 6 brezentowych toreb na magazynki, a także niezbędnik zawierający narzędzia oraz blaszane pudełko z zestawem plot.

Karabin wz. 28 stanowił uzbrojenie sekcji rkm w każdej drużynie piechoty i plutonie kawalerii. Jego obsługa składała się z czterech ludzi: karabinowego (starszy strzelec), celowniczego i dwóch amunicyjnych. Jednostkę ognia stanowiło 500 sztuk amunicji.

Już w 1930 r. rkm-y wz. 28 zastąpiły wszystkie inne wzory broni maszynowej używane dotychczas w pułkach. Wkrótce też trafiły do szkół podchorążych, KOP-u, a pewna ich ilość została zakupiona przez Policję Państwową. Obok cekaemów wz. 30 znalazły się także na wyposażeniu schronów bojowych. Do kwietnia 1939 r. PFK wyprodukowała na zamówienie Wojska Polskiego ok. 11 tys. erkaemów wz. 28. Według różnych danych etatowo w pułkach piechoty znajdowało się 85-90 sztuk broni tego wzoru, natomiast w pułku kawalerii było 18 Browningów.

Erkaem wz. 28 charakteryzował się bardzo dobrą szybkostrzelnością praktyczną (ok. 200 strz./min.) i niezawodnością. Wysoka celność i skupienie, to jego kolejne fundamentalne zalety. Jeżeli dodamy do tego jeszcze stosunkowo niewielką masę (9 kg) oraz wysoką prędkość początkową pocisku (853 m/s), to otrzymamy obraz broni bardzo skutecznej, nowoczesnej i groźnej w rękach dobrze wyszkolonego żołnierza. Tak też było w istocie. Jako że nie ma rzeczy idealnych, trzeba więc obiektywnie stwierdzić, iż broń ta posiadała też pewne mankamenty. W żaden jednak sposób nie mogą one wpłynąć na wysoką ocenę konstrukcji Browninga. Pierwszym jest zbyt mały magazynek. Proste wyliczenie wskazuje, że można go było opróżnić w niecałe 6 sekund. Jest to dzisiaj koronny argument wielu krytyków erkaemu wz. 28, uważających decyzję o jego zakupie i produkcji za absurdalną, bowiem w ich opinii, w polskich realiach najlepszy byłby zakup zasilanego taśmą karabinu uniwersalnego. Bez zbędnych dyskusji należy uznać powyższe założenie za z gruntu fałszywe, bowiem w momencie zatwierdzenia zakupu Browninga, w żadnym państwie nie pracowano nad koncepcją ukm-u. Warto również pamiętać, że taktyka użycia erkaemu wz. 28 zakładała prowadzenie ognia krótkimi seriami 3-6 pocisków, ze względu na konieczność zminimalizowania rozrzutu oraz oszczędność amunicji. W opinii autora właściwy problem polegał na zbyt małym nasyceniu oddziałów bronią maszynową – po wprowadzonych na początku lat 30. zmianach organizacyjnych WP, liczba żołnierzy w drużynie wzrosła z 12 do 19, przy pozostawieniu w dalszym ciągu jednej tylko sekcji rkm. Drugim – i w tym przypadku dość poważnym mankamentem – był brak możliwości szybkiej wymiany lufy w warunkach polowych. Problem ten starano się rozwiązać opracowując pod koniec lat 30. dwa prototypy wersji rozwojowych. Niestety, zabrakło czasu na wdrożenie ich do produkcji. Warto jednak wspomnieć w tym momencie, że erkaem wz. 28 stał się bazą do skonstruowania bardzo dobrego elkaemu lotniczego wz. 37 – tzw. „szczeniaka".

Decyzja o zakupie licencji na erkaem wz. 28 była ze wszech miar słuszna i uzasadniona zapotrzebowaniem na broń o podobnych parametrach. Autor, jako zagorzały wielbiciel Wojska Polskiego życzyłby sobie, aby także i dzisiaj dokonywano zakupów sprzętu i uzbrojenia w takim samym stopniu kierując się interesem państwa, a polskie fabryki produkowały broń i amunicję tak wysokiej jakości, jak w okresie II Rzeczypospolitej. Pozostaje więc mieć nadzieję, że kiedyś marzenia te zostaną spełnione.

ZDJĘCIA: JAROSŁAW STRENKOWSKI.

Jarosław Strenkowski

Historyk wojskowości i muzealnik. Niepokorny. Współzałożyciel Regionalnej Izby Historycznej w Zambrowie.

zdarzyło się...

8 II 1932 r.

83 lata temu Urząd Patentowy w Warszawie przyznał konstruktorom pistoletu Vis patent nr 15567. Wbrew słowom popularnej pieśni powstańczej: „A na »tygrysy« mają Visy", broń ta nie służyła do zwalczania broni pancernej III Rzeszy, była za to jednym z najlepszych produktów polskiego przemysłu zbrojeniowego II RP. Do tego stopnia, że po wybuchu wojny i grabieżczym zajęciu fabryki zbrojeniowej w Radomiu, Niemcy do jej zakończenia wyprodukowali tam na swoje potrzeby ok 300 tys. sztuk tego pistoletu. Jego konstruktorami byli inżynierowie Piotr Wilniewczyc i Jan Srzypiński, którzy początkowo oznaczyli projekt od pierwszych liter swych nazwisk – WiS. Na pozostawienie tej nazwy nie zgodził się jednak Departament Obrony ostatecznie zastępując ją zbliżonym w brzmieniu, łacińskim określeniem oznaczającym „siłę"(„Vis").

Odznaczenia za udział w wojnie z Czechosłowacją w roku 1919

Walecznym – Śląsk

PIOTR GALIK

Czechosłowacka napaść na Polskę w roku 1919 pozostaje wciąż w cieniu trwających wówczas konfliktów na większą skalę i obejmujących większe obszary kształtującej się w ogniu walk Rzeczypospolitej. Był to jednak ważny – i bolesny – epizod wojny o niepodległość i granice naszej Ojczyzny. Bolesny, gdyż niesprowokowana wojna z południowym sąsiadem została przegrana, a ważny, ponieważ wiarołomna napaść na Polskę ze strony pobratymczego państwa i potencjalnego strategicznego sojusznika, na wiele lat zatruła wzajemne relacje między naszymi krajami, uniemożliwiając utworzenie bloku militarno-politycznego, zdolnego do stawienia oporu totalitaryzmom Wschodu i Zachodu. Konflikt, który rozegrał się w arcytrudnej dla Polski sytuacji strategicznej, znalazł upamiętnienie w postaci odznaczeń i odznak, którymi nagradzano uczestników tej krótkiej, lecz brutalnej wojny.

Wbrew umowom

„Jesień Narodów", która nastała u schyłku Wielkiej Wojny nie ominęła Ziemi Cieszyńskiej, stanowiącej najważniejszą i najzasobniejszą część tzw. Śląska Austriackiego, pozostałej pod panowaniem Habsburgów „resztówki" po zaborze większości ziem Śląska przez Prusy w XVIII wieku.

Historyczne Księstwo Cieszyńskie wyodrębniło się z obszaru Księstwa Opolsko-Raciborskiego u schyłku XIII w., a jego pierwszy władca, Mieszko zwany Cieszyńskim, został założycielem lokalnej dynastii Piastów panującej aż do 1653 roku. Trzeba jednak zaznaczyć, że już w 1327 r. książę Kazimierz I złożył hołd lenny królowi Czech, Janowi Luksemburskiemu, co oznaczało uznanie politycznego zwierzchnictwa Pragi a nie Krakowa. Podobny wybór stał się w tym czasie udziałem większości śląskich książąt. Po wygaśnięciu linii cieszyńskiej Piastów, ze śmiercią księżnej Elżbiety Lukrecji, władza nad jej dziedzictwem przeszła w ręce nominalnego suwerena – króla czeskiego i cesarza Rzeszy, Fryderyka III Habsburga. Linia cesarska Habsburgów utrzymała tytuł książąt cieszyńskich aż do abdykacji Karola I (1918). Mimo kilkuset lat obcego zwierzchnictwa politycznego i intensywnego napływu pracowników w związku z dynamicznym rozwojem gospodarczym w XIX w., Ziemia Cieszyńska zachowała przewagę etnicznie polskiej ludności.

W 1910 r. spis powszechny ustalił, że językiem polskim posługiwało się 55 proc. mieszkańców Księstwa, czeskim – 27 proc., a niemieckim – 18 procent. Ten stan rzeczy został uwzględniony w niespokojnym okresie rozpadu Austro-Węgier. Już 19 X 1918 r. zebrała się Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, gromadząca polskich polityków i społeczników dążących do połączenia swojej „małej ojczyzny" z Polską. Z pewnym opóźnieniem (30 października) do życia powołana została bliźniacza instytucja reprezentująca czeską mniejszość narodową na Śląsku Cieszyńskim – Zemský Národní Výbor pro Slezsko (Krajowa Rada Narodowa na Śląsku). Jej celem było przyłączenie części regionu do nowo powstającej Republiki Czechosłowackiej. Kwestia podziału byłego Księstwa Cieszyńskiego stała się przedmiotem debaty pomiędzy obiema Radami. W wyniku negocjacji przyjęto etnograficzne proporcje (pominąwszy udział ludności niemieckojęzycznej, do której

Najeźdźcy: ppłk Šnejdárek i jego żołnierze w mundurach czechosłowackiej legii utworzonej we Francji oraz czechosłowaccy legioniści w mundurach armii włoskiej.

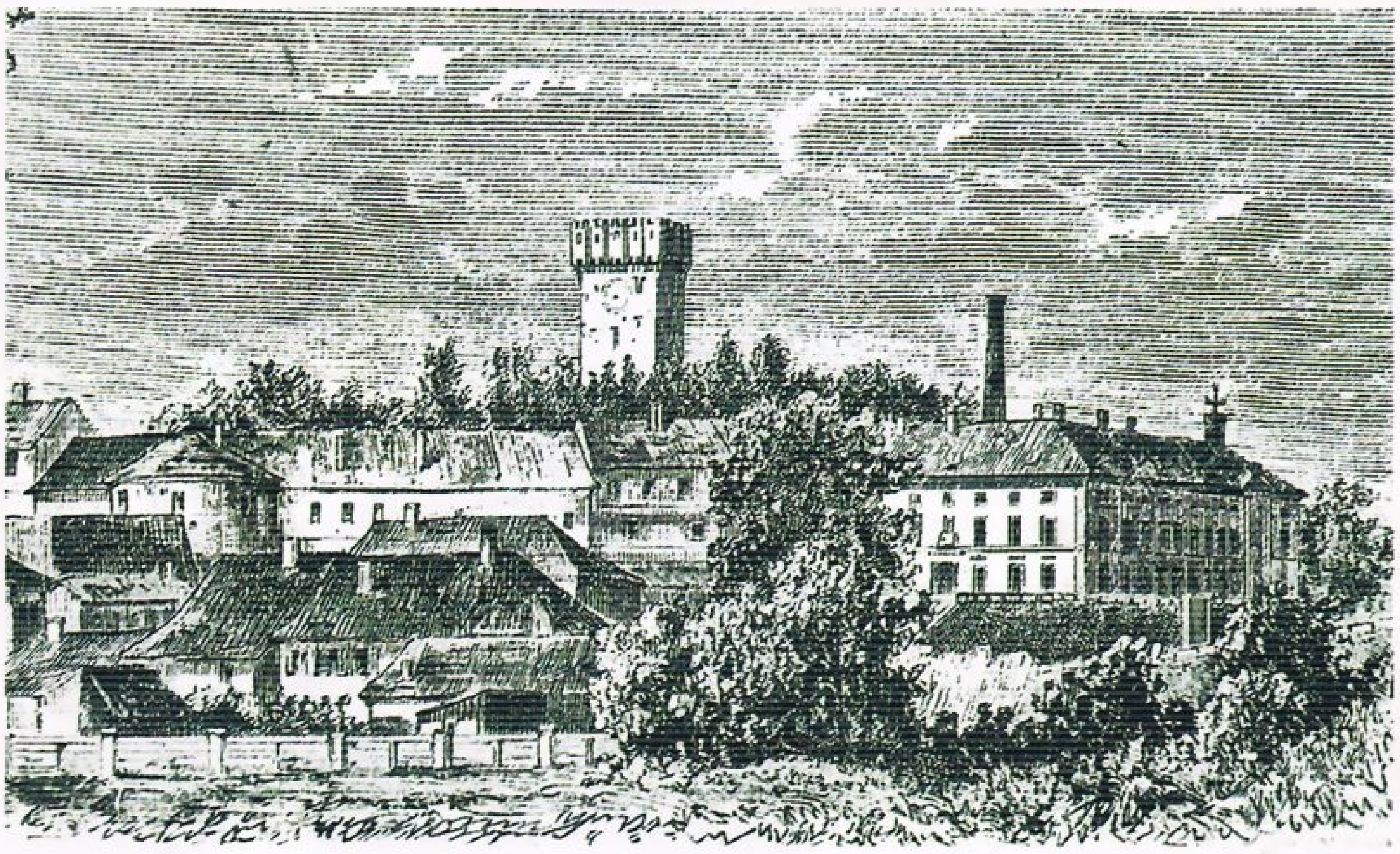

Wieża Piastowska cieszyńskiego zamku, główny motyw graficzny odznaczeń za obronę Śląska w 1919 r. według XIX w. litografii (po prawej) i XX w. pocztówki.

zaliczali się także Czesi, Polacy i Żydzi, którzy podczas spisu z 1910 r. z różnych względów postanowili zadeklarować język urzędowy Austro-Węgier jako ojczysty) rozgraniczenia części czeskiej i polskiej regionu. W myśl przyjętej dobrowolnie i obustronnie ugody, Polsce przypaść miało 76 proc. jego obszaru z Cieszynem, Jabłonkowem i Trzyńcem.

Nocą z 31 X na 1 XI 1918 r. ochotnicy polscy rozbroili oddziały armii austro-węgierskiej i opanowali urzędy państwowe na terenie Ziemi Cieszyńskiej, oddając władzę nad nią Radzie Narodowej Księstwa Cieszyńskiego. 5 listopada podpisano ostateczne porozumienie o podziale Śląska Cieszyńskiego z delegatami czeskiego Narodniho Vyboru.

Linia graniczna pomiędzy Polską i Czechosłowacją przebiegać miała od terytorium Śląska Pruskiego (Górnego) wzdłuż biegu Odry i Ostrawicy, a następnie grzbietem Gór Jabłonkowskich do byłej granicy z Węgrami (wówczas już Słowacją). Umowy tej, opartej na promowanej wówczas w dyplomacji tak przez USA, jak i przez bolszewicką Rosję zasadzie samostanowienia ludów i narodów, nie uznała Praga. Dla kręgów politycznych związanych z Tomaszem Masarykiem i Edwardem Beneszem, którzy stali się przy poparciu Francji i Wielkiej Brytanii „ojcami Republiki Czechosłowackiej", rezygnacja z bogatej, silnie uprzemysłowionej prowincji od wieków związanej politycznie z Czechami, była rozwiązaniem nie do przyjęcia. Postanowiono zatem posłużyć się wypróbowaną i rzadko zawodzącą „metodą faktów dokonanych", korzystając z niekorzystnej sytuacji Polski uwikłanej w wojny jednocześnie na Wschodzie i na Zachodzie.

„Wojna siedmiodniowa" – kainowe oblicze „braterstwa Słowian"...

Spokój na południowo-zachodnich kresach Rzeczypospolitej nie trwał długo. Władze Republiki Czechosłowackiej nie uznały sprawiedliwego rozwiązania podziału Śląska Cieszyńskiego wypracowanego wspólnie przez mieszkańców tej ziemi. Jako powód wkroczenia na drogę przemocy przez Pragę, wskazano ogłoszenie wyborów do Sejmu RP oraz werbunek do Wojska Polskiego na „terytorium spornym", czyli przyznanej Polsce mocą decyzji lokalnych władz części Śląska Cieszyńskiego. Oficjalnie powoływano się także na historyczne więzi regionu z Czechami, lecz w istocie chodziło o zupełnie inne powody. Polsce przypadły bowiem najważniejsze przedsiębiorstwa przemysłowe – wielkie zakłady hutnicze w Trzyńcu i Boguminie oraz kopalnie węgla kamiennego w okolicach Karwiny. Ponadto jedyne bezpośrednie połączenie kolejowe między Czechami a Słowacją, magistrala koszycko–bogumińska, przebiegała przez polską część Śląska Cieszyńskiego. Gra w istocie szła jednak o jeszcze większą stawkę. Zainfekowane moskalofilstwem starsze pokolenie polityków czeskich otwarcie dążyło do uzyskania strategicznej „granicy przyjaźni" z Rosją, postrzeganą z pespektywy Pragi nie jako więzienie i kat narodów, a mityczne „imperium słowiańskie", które jako jedyna siła może obronić Czechów przed germanizacją... Iluzja panslawizmu była wciąż silna, choć rewolucja bolszewicka i burzliwe dzieje Legionu Czechosłowackiego w Rosji otworzyły oczy wielu rodakom „dobrego wojaka Szwejka".

Najpoważniejszą przeszkodą w wymarzonym połączeniu Czechosłowacji z bolszewicką Rosją stała się odrodzona Polska. Jak największe jej osłabienie, było zatem postrzegane przez kręgi rządowe Czechosłowacji jako najwyższa racja stanu. Tej zgubnej, samobójczej dla Czechosłowacji polityce, Praga pozostawała wierna aż do samego końca Pierwszej Republiki (1938).

W styczniu 1919 r. organizowane w atmosferze wielkiej improwizacji polskie siły zbrojne, niemal bez reszty zaangażowane były na froncie ukraińskim

Obrońcy: polscy żołnierze, podkomendni płk. Latinika.

Medal – odznaka pamiątkowa, egzemplarze ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, wykonane techniką tłoczenia z blachy. U dołu rewersu widoczne numery nadania.

w Małopolsce Wschodniej. Trwało Powstanie Wielkopolskie, a na Kresach północno-wschodnich partyzanckie boje z bolszewikami toczyły lokalne formacje polskiej samoobrony. Wszelkie rezerwy natychmiast były kierowane do walki, nie pozostawało zatem zbyt wiele sił do obrony Śląska. Cieszyński Okręg Wojskowy pozostający pod dowództwem płk. Franciszka Latinika, bohatera spod Gorlic (1915) i Caporetto (1917), liczył wówczas niespełna 4 tys. zbrojnych w pięciu batalionach piechoty, plutonie jazdy i baterii artylerii, w tym wielu nieprzeszkolonych ochotników. Dawał się odczuć niedostatek broni ciężkiej, a zwłaszcza armat i moździerzy.

Sytuację tę wykorzystali bezwzględnie Czechosłowacy, gromadząc za linią graniczną elitarne oddziały „legionarzy" – weteranów Wielkiej Wojny walczących do niedawna u boku Aliantów, a zatem stanowiących odpowiednik naszej Armii Błękitnej. Jednak w przeciwieństwie do armii polskiej przetrzymywanej z powodów politycznych poza Ojczyzną, oddziały czechosłowackie uzyskały zgodę mocarstw sprzymierzonych na szybki przyjazd do kraju. Czechosłowacki 21. Pułk Strzelecki (trzy bataliony piechoty) powstał we Francji, a 38. Pułk Strzelecki (również trójbatalionowy) i dołączony do niego jako wzmocnienie batalion z 33. Pułku Strzeleckiego formowano we Włoszech. Wspierali ich żołnierze z byłych pułków armii austro-węgierskiej (bataliony wydzielone z 3., 28., 54., 93. pp) oraz liczni ochotnicy. Ogółem siły agresora przekraczały 16 tys. żołnierzy, co oznaczało miażdżącą, czterokrotną przewagę nad obrońcami. Ponadto przeciwnik dysponował pociągiem pancernym oraz wsparciem licznej artylerii. Dowódcą sił czechosłowackich na Śląsku został mianowany ppłk armii francuskiej Josef Šnejdárek, wielokrotnie odznaczony za waleczność weteran Legii Cudzoziemskiej, przejawiający typowe dla tej formacji cechy: energię i osobistą odwagę w połączeniu z bezkompromisowością i brutalnością wobec przeciwnika.

19 stycznia 1919 r. w czechosłowackim dowództwie zapadła ostateczna decyzja o ataku. Dwa dni później (21 stycznia) wystosowano ultimatum, żądając wycofania się Wojska Polskiego i likwidacji polskich urzędów państwowych na Śląsku Cieszyńskim. Wobec braku oczekiwanej reakcji (kapitulacji Polski), przed południem 23 stycznia w sztabie płk. Latinika w Cieszynie zjawili się delegaci Mocarstw Sprzymierzonych – oficerowie armii francuskiej, brytyjskiej, włoskiej i amerykańskiej, którym towarzyszył ppłk Šnejdárek. Przybysze zażądali natychmiastowej realizacji żądań czechosłowackich, dając Polakom 2 godziny na odejście za linię rzeki Białej, czyli do historycznej granicy pomiędzy Śląskiem a Małopolską. Po upływie wyznaczonego czasu rozpoczęto natarcie jednocześnie na dwóch kierunkach – z zachodu na Bogumin i Karwinę, ze wschodu na Jabłonków. Po kilku godzinach, mimo rozpaczliwego oporu Polaków wspartych miejscowymi ochotnikami (do WP spontanicznie zgłaszali się głównie hutnicy, górnicy, młodzież szkolna oraz jabłonkowscy Górale), padł Bogumin i kopalnie karwińskie, w kolejnych dniach utracono Karwinę, Jabłonków i Orłową. Wobec zdecydowanej przewagi agresorów do 27 stycznia oddziały Wojska Polskiego wycofały się za Wisłę; bez walki oddano oskrzydlony Cieszyn. Następnego dnia ppłk Šnejdárek nakazał swoim wojskom, wzmocnionym dodatkowymi oddziałami, marsz za Wisłę. Polacy zorganizowali na czas obronę Skoczowa, gdzie natarcie przeciwnika zostało zatrzymane. W obliczu zdecydowanej interwencji polskich dyplomatów w Paryżu Praga otrzymała stanowcze polecenie przerwania ataku.

Medal w wersji bitej jednostronnie, dostosowany do noszenia na wstążce, co pozostaje w sprzeczności z przepisami. Zbiory MWP.

Krzyż klasy II w wersji ze słupkiem i nakrętką w różnych wersjach wykonania. Zbiory MWP.

Do formalnego zawieszenia broni doszło 5 lutego 1919 roku. Wbrew opiniom „jastrzębia" Masaryka, żądającego dalszego marszu na północ i zajęcia Bielska-Białej, dowództwo armii czechosłowackiej nakazało podległym jednostkom wycofanie się na nowo wyznaczoną, tymczasową linię demarkacyjną oddającą Pradze znaczną część polskiego Śląska Cieszyńskiego wraz z jego przemysłem i strategiczną linią kolejową. Podziałowi uległa także stolica regionu – Cieszyn. Ponieważ nowa granica oparta była o bieg rzeki Olzy, ziemie pod czechosłowackim zaborem powszechnie nazywano Zaolziem.

Insygnia krzyża klasy I w wersji dostosowanej do noszenia na wstążce – widoczne inskrypcje na rewersie oraz złocenia detali awersu zdobiące wyższy stopień odznaczenia.

Krzyż klasy II dostosowany do noszenia na wstążce.

Czechosłowaccy „legionarze" dali się poznać na okupowanym obszarze z jak najgorszej strony. Pomimo niewielkich strat w walce z Polakami (a może właśnie z tego powodu rozzuchwaleni) okrutnie zemścili się na obrońcach Ziemi Cieszyńskiej. Po zaciętym boju o Stonawę pozostałych przy życiu 20 obrońców miasta skatowano i zamordowano. Podobny los spotkał żołnierzy kompanii kpt. Cezarego Hallera (brata gen. Józefa Hallera) broniących wsi Kończyce koło Zebrzydowic, a ich dowódcy – wg relacji świadków – przed śmiercią wykłuto bagnetem oczy…

Ofiarami czechosłowackiej „polityki faktów dokonanych" padali także cywilni mieszkańcy regionu narodowości polskiej. Co najmniej kilkanaście osób stracono w Karwinie pod zarzutem „zbrojnych zamachów na żołnierzy", zamordowano także kilkudziesięciu polskich działaczy społecznych i politycznych, a ponad 250 uwięziono według przygotowanych wcześniej list proskrypcyjnych. Aby uniknąć represji z rąk czechosłowackich okupantów, kilka tysięcy Ślązaków opuściło swoje ojczyste strony szukając schronienia w Polsce. O ostatecznym wyznaczeniu granicy miał zadecydować plebiscyt (powszechne referendum ludności obszaru spornego), czemu zdecydowanie sprzeciwiali się Czesi świadomi nieuchronnej porażki podczas głosowania. Do plebiscytu jednak nie doszło, gdyż Polska zmuszona szantażem Zachodu, w obliczu krytycznej sytuacji na froncie bolszewickim, przyjęła w lipcu 1920 r. niesprawiedliwy dyktat mocarstw, w zamian za niespełnione obiet-

REKLAMA

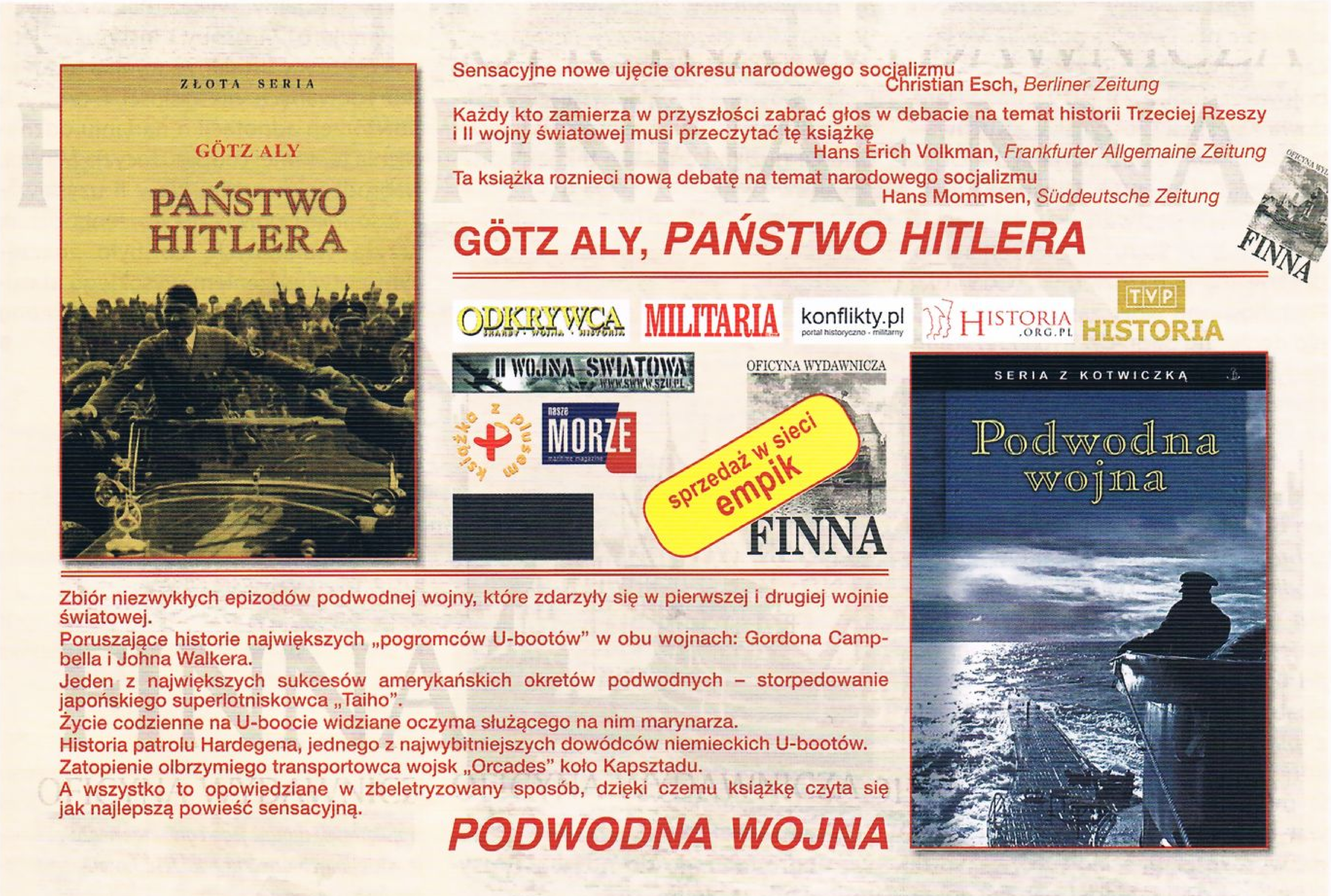

nice pomocy wojskowej rezygnując z ziem utraconych podczas „wojny siedmiodniowej", jak w Czechosłowacji nazwano konflikt o Ziemię Cieszyńską.

Spór ten – a przede wszystkim sposób jego rozwiązania – skutecznie skonfliktował dwa pobratymcze państwa, a wyzwolenie Zaolzia (jak powszechnie nazywano obszary pozostające od 1919 r. pod czechosłowackim zaborem) w roku 1938 okazało się krótkotrwałe. Dyktat Stalina ponownie oddał część Śląska Cieszyńskiego pod obcą okupację.

Na wieczną rzeczy pamiątkę...

Bohaterska obrona Śląska Cieszyńskiego, toczona z uporem walka z przeważającym liczbą i wyszkoleniem oddziałów agresorem, weszła do panteonu polskiej chwały wojennej, czego najlepszym dowodem jest tablica z inskrypcją *„CIESZYN–SKOCZÓW 23–26 I–1919"*, umieszczona na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Zaszczytnym upamiętnieniem udziału w tych desperackich bojach stały się także odznaczenia nadawane uczestnikom walk o Ziemię Cieszyńską. Jeszcze w trakcie wojny z Czechosłowacją w sztabie płk. Latinika pojawiła się koncepcja powołania do życia odznaki za bojowe zasługi, a 2 II 1919 r. Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego uchwaliła ustanowienie odznaczenia „Za Obronę Śląska" (Dziennik Urzędowy Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego Nr 17a, poz. 200). Statut odznaczenia zmodyfikowano w październiku 1919 roku. Postanowiono wówczas, że odpowiednio do zasług nagradzanych Prezydium Rady nadawać będzie trzy klasy odznaczenia: medal pamiątkowy, krzyż II klasy, krzyż I klasy.

„Medal", będący oznaką najniższej z klas, był w istocie okrągłą odznaką, wg oficjalnego opisu jej emblemat był *„z brązu matowo posrebrzany, w którego środku na wzgórku widać wieżę piastowską (zamku cieszyńskiego), zaś naokoło jest wieniec laurowy, a nad nim napis »Za obronę Śląska«"*. Rewers odznaki opatrzony był gwintowanym słupkiem z płaską nakrętką, umożliwiający solidne przytwierdzenie medalu do kurtki mundurowej. Regulamin przewidywał noszenie medalu na lewej piersi, na wysokości trzeciego guzika kurtki (licząc od góry). Medal nadawano zarówno żołnierzom, członkom formacji ochotniczych, jak i osobom cywilnym, *„które w obronie Śląska, tak w polu jak i w urzędzie lub życiu publicznym, brały czynny udział"*. Była to zatem raczej odznaka kombatancka, niż odznaczenie za szczególne dokonania. Najczęściej wykonywana była z blachy mosiężnej, srebrzonej i patynowanej, a jej średnica wynosiła ok. 33,5 mm.

Charakter wyróżnienia za dzielność na polu chwały uzyskał natomiast dwustopniowy krzyż, na co wskazuje inskrypcja na rewersie jego insygniów: *„Walecznym Śląsk"*.

Krzyż klasy II mógł być przyznawany zarówno żołnierzom, którzy wykazali się walecznością i odwagą, jak i osobom cywilnym, które podczas czechosłowackiej agresji pełniły służbę w polskich instytucjach i urzędach, zostały aresztowane lub ucierpiały w inny sposób.

Krzyż klasy I – początkowo przewidziany do noszenia na szyi, na wzór klasy komandorskiej (rycerskiej) orderów – w założeniu miał stanowić wyróżnienie dla najbardziej zasłużonych dowódców wojskowych oraz *„osób cywilnych, stojących u steru rządów, działaczy politycznych i dyplomatów, którzy wywarli wpływ na pomyślny zwrot sprawy cieszyńskiej"*. Ostatecznie postanowiono, że oznaki II klasy noszone będą na wstążce w barwach śląska (biała i błękitna) w trzeciej dziurce guzika kurtki lub tak jak opisany wyżej medal, na lewej piersi kurtki munduru. Krzyż klasy I miał był noszony w drugiej dziurce guzika mundurowego lub w wersji przykręcanej tak jak oznaka klasy II.

RADA NARODOWA KSIĘSTWA CIESZYŃSKIEGO

L. 6260

LEGITYMACJA

UPOWAŻNIAJĄCA ochotnika

[redacted]

DO NOSZENIA ODZNAKI ZA OBRONĘ ŚLĄSKA

CIESZYN

DNIA 8 sierpnia [illegible] r.

Legitymacja potwierdzająca prawa nagrodzonego do noszenia insygniów odznaczenia.

Według oficjalnego opisu *„krzyż II klasy, z tarczą, jak na medalu pamiątkowym, i czterema ramionami ciemnoniebiesko emaliowanymi. Tarcza również emaliowana w kolorach naturalnych. Napis na drugiej stronie odznaki: »Walecznym Śląsk 1919«"*.

„Krzyż I klasy, który różni się od krzyża II klasy złocistymi promieniami pomiędzy ramionami krzyża".

Insygnia krzyży obu klas wykonywano zarówno ze srebra, jak i mniej szlachetnych surowców. W takim przypadku były one posrebrzane, a promienie oznaki klasy I – pozłacane. Znane są egzemplarze różniące się szczegółami wykonania, materiałami oraz rozmiarami, co wskazuje na więcej niż jednego wykonawcę insygniów. Ogółem od 1921 r., kiedy odznaczenia śląskie zostały uznane przez Ministerstwo Spraw Wojskowych i zalegalizowane do noszenia na mundurze Wojska Polskiego, nadano około 5800 medali i krzyży cieszyńskich. Oficjalny wykaz nagrodzonych obejmuje 6174 osoby i instytucje, jednak historycy ustalili, że wynika to z nieskorygowanych nieścisłości i częstych powtórzeń adnotacji o nadaniu odznaczenia tej samej osobie. Decyzją MSWoj. Nagrodzeni krzyżem klasy II uzyskiwali *ipso facto* prawo do noszenia oznak Krzyża Walecznych, co było znaczącym potwierdzeniem wysokiego statusu prestiżowego odznaczenia za obronę Śląska.

Literatura i ilustracje:
1. M. Wełna, „Odznaki Powstań Śląskich", Wrocław 1985
2. J. Stelmach, „Historia pewnego »Medalu« metodą śledczą", Cieszyn 2011
3. M. K. Kamiński, „Konflikt polsko-czeski 1918-1921", Warszawa 2001
4. G. Gąsior, „Zaolzie. Polsko-czeski spór o Śląsk Cieszyński 1918-2008", Warszawa 2008

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

Sekretna krzyżówka ODKRYWCY

Do wygrania 10 nagród książkowych o łącznej wartości ponad 900 zł.

Litery z ponumerowanych kolejno od 1 do 22 pól krzyżówki tworzą hasło główne.

Aby zagrać o nagrodę, **od 10 II do 28 II 2015 r.** wyślij treść hasła SMS-em pod nr 7368, wpisując:
HASLO.____________
(po kropce wpisać treść hasła).
Koszt SMS-a to 3,69 zł z VAT (usługa dostępna we wszystkich sieciach). Regulamin na stronie www.odkrywca.pl

Nagrody zostaną przekazane przesyłką poleconą po opublikowaniu listy zwycięzców.

Drobny kamień · Rambo w ringu · Jedno z wcieleń Żeromskiego · Wiejska czupryna · Zdrowotna bylina · Morski ptak · Skok konia · Autor "Aidy" · Hiszpańskie wino · Kolega lakiernika · Niski lub Żywiecki · Harrelson lub Allen · Dyletant · Rybie jaja

Urodził się tam de Gaulle · Rzeka zapomnienia w Hadesie · Duchy shinto · Wykaz stawek

Zdobi pierścionek · Odrzuca Talmud · Wzorzec świata · Np. Zenon z Kition

Antylopa kanna · Ciacho z kremem · Dubluje aktora · Strata metalu

Od śledzia lub kubka · Złoty na Kubie · Ostra popijawa · Gatunek agawy · Nacięcie grawera · Posłaniec Zeusa

Pozorów lub szachy · Maść konia · Ekskomunika · Zużyty powóz

Wciąga sieci na kutrze · Pies wabi się ... · Imię bryt. premiera · Tandeta · Ślepy impuls · Niedozwolony podczas meczu

Ringo z The Beatles · Przed słoniną w piosence

Rhett Butler · Rzeka Kongo · Szwedzki port i miasto · Bitwa, potyczka · Roślinożerny gryzoń z Amazonii

Namiastka, surogat · Polarna na niebie · Kula w łeb

Urząd, stanowisko ministra

Filmowy Grek · Ozdobny krzew o żółtych kwiatach · Sworzeń · Rzeka w Azji

Betonowa zatyczka · Podobna do motyki · Mieszkalna bryła · Roślina oleista

Ptak czczony w Egipcie

Ruchoma część wagi · Lewy dopływ dolnej Warty · Indianie z Arizony · Leon lub Ibiza

Gazowy cypel · Jabłoń renety · Kształt jajka

Miota pociski · Stolica Ghany · Miasto nad Maruszą

Pleśniowy ser · Super as · Obok drzwi przy wejściu · Wokół Bejrutu · Niemożność rozmnażania · Gruczoł rozrodczy · Obronna czynność zwierząt · Rybka akwariowa

Rodzaj bicza · Renifer z Kanady · Np. prędkość lub pułap · Np. C-dur · ... filmowa

Indira lub Mahatma · Hinduski książę · Wieczne miasto · Twórca Szwejka · Stolica Jordanii · Pomocnik, poplecznik.

Rodzaj kroju pisma · "... do młodości" · Halucynacja, przywidzenie · 100 cm · Drużyna sportowa

Pierwszy księżyc Marsa · Owad w paski · Np. obój · Dopływ Wołgi · Z sekty szyitów · Kij do bilarda

Między Izraelem a Jordanią · Niemiecki przewodnik dla turystów

Wódka z ryżu · Miejsce zamiany wody w wino · Gąsienice dla narciarza

Dawne liczydło · Wklęśnięcie na stoku narciarskim · W tańcu lub obrazie

Numery pól: 1–22

Pierwsze państwo podziemne
– „alternatywna rzeczywistość" pod rosyjskim zaborem

PIOTR GALIK

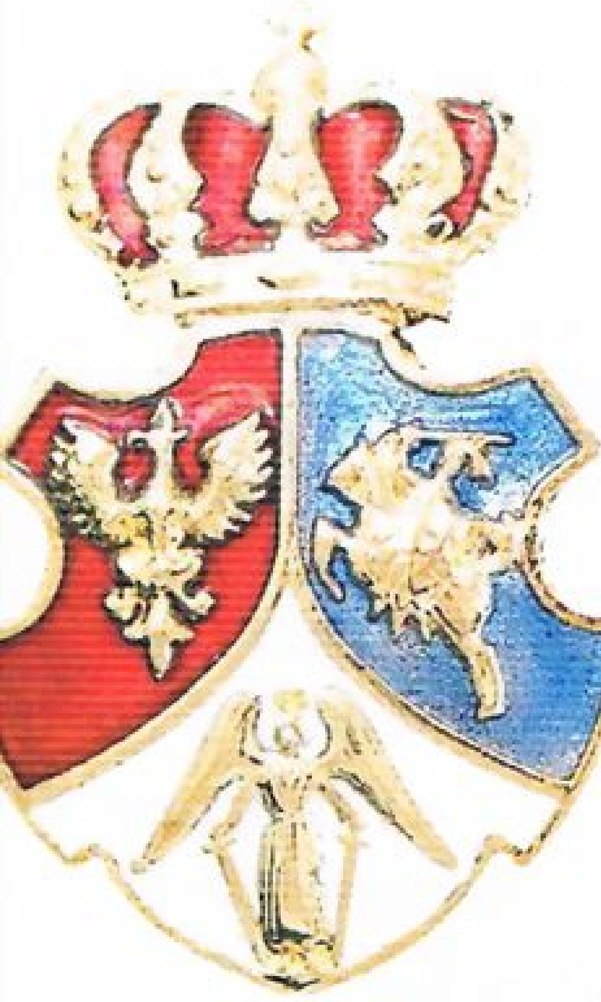

Niedawno minęła 152. rocznica wybuchu Powstania Styczniowego, trwającego najdłużej wystąpienia zbrojnego przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Szczególną cechą odróżniającą zryw styczniowy od powstania narodowego w roku 1830, jest niezwykłe dokonanie polskich spiskowców, którzy stworzyli i utrzymywali w działaniu w skrajnie niekorzystnych warunkach konspiracyjne struktury państwowe. Pierwsze polskie państwo podziemne stało się zatem prekursorem i wzorcem dla konspiracji niepodległościowej w wieku XX. Pragnąc bowiem odbudowy suwerennego bytu politycznego Kraju, nie sposób było obejść się bez własnych struktur państwowych, niezależnych od aparatu władzy zaborców czy okupantów. Dziedzictwo tradycji konspiracyjnej ukształtowało zatem naszą narodową świadomość i znacznie przyczyniło się do tego, że Polacy – wbrew wszelkim okolicznościom – mają własne państwo, bez którego przetrwanie tożsamości byłoby bardzo trudne, jeśli w ogóle możliwe…

***„Ludzi deprawuje życie w uległości wobec władzy, którą się pogardza, i praw, które są sprzeczne z sumieniem".* (Jacek Kuroń)**

Po zdławieniu powstania lat 1830-1831 mieszkańców „kongresowego" Królestwa Polskiego poddano licznym represjom i szykanom. Nie ograniczyły się one jedynie do czynnych uczestników zrywu, lecz powszechnie stosowano zasadę zbiorowej odpowiedzialności, uderzając w podstawy ustrojowe państwa. W miejsce konstytucji, uważanej w Petersburgu za herezję przeciw zasadzie samodzierżawia, Polakom narzucono akt niższej rangi, nazwany „Statutem Organicznym". Kolejno demontowano polskie instytucje życia publicznego i społecznego: parlament, samorząd, szkoły i uczelnie, a język rosyjski zyskał status urzędowego. Polskie miary, wagi i system monetarny zastąpiły rosyjskie odpowiedniki, co już w założeniu miało przygotować kłopotliwych poddanych cara do jak najszerszej integracji z „Matuszką Rasiją". Jaskrawym przykładem tego, jak Imperium zamierza traktować Polaków, było wzniesienie w Warszawie Cytadeli Aleksandrowskiej, czyli wielkiego kompleksu forteczno-więziennego. Cytadelę wybudowano za pieniądze skonfiskowane („pożyczone bezzwrotnie") z Banku Polskiego i budżetu stolicy. Armaty, którymi naszpikowano nadwiślańskie forty były codziennie widoczną groźbą – w razie „buntu" miasto mogło zostać bezzwłocznie ostrzelane. Mikołaj I Romanow, zwany w kręgach rosyjskich emigrantów „Pałkinem", nie zastanawiałby się zapewne zbyt długo, czy użyć takiego argumentu wobec znienawidzonych „lachów"… Śmierć twardogłowego imperatora, która zbiegła się (albo jak sądzą niektórzy badacze, została przez nią wywołana) z dotkliwą, choć prestiżową bardziej niż rzeczywistą porażką Rosji podczas wojny krymskiej (1853-1856), „odwilż posewastopolska", czyli krótkotrwałe złagodzenie opresyjnego reżimu, spowodowane szokiem kręgów dworskich po upadku twierdzy w Sewastopolu, wzbudziła wśród patriotycznie nastawionych Polaków pewne nadzieje na poprawę sytuacji w kraju. Okazało się jednak wkrótce, że syn i następca Mikołaja I, Aleksander II, nie zamierzał uczynić żadnych realnych kroków ku pojednaniu z Polakami.

Od traumatycznych doświadczeń klęski w roku 1831 upłynęło ponad ćwierć wieku, a w życie społeczne i polityczne kraju wkroczyło nowe pokolenie, które nie pamiętało już dramatu zawiedzionych nadziei generacji swoich rodziców. W 30-lecie „tamtego" powstania Warszawę poruszyły wielkie demonstracje patriotyczne, podczas których czczono pamięć poległych bohaterów. Rosjanie nie próbowali udawać, że nie widzą tego, co się dzieje. Sięgnięto po surowe środki policyjne, na bruk stolicy padli zabici i ranni demonstranci, lecz to jedynie podsycało gniew społeczeństwa, zmuszonego od tak dawna znosić uległość wobec pogardzanych zaborców, którzy przeciwko republikańskim, wolnościowym tradycjom Rzeczypospolitej potrafili wykorzystywać jedynie brutalną siłę. Masakra w kwietniu 1861 roku, kiedy od salw Rosjan zginęło blisko 100 osób, nie zapobiegła dalszym protestom. Zaborcy ogłosili zatem stan wojenny, którego regulacje prawne przewidywały ciężkie kary za udział w „zaburzeniach ładu publicznego", czyli pokojowych pochodach, procesjach czy nabożeństwach patriotycznych. W archikatedrze warszawskiej zatrzymano wówczas blisko 2 tys. wiernych. Kuria Metropolitalna Warszawska ogłosiła w dowód protestu zamknięcie kościołów stolicy. W geście poparcia i solidarności wobec tej decyzji, także rabini warszawscy zamknęli synagogi. Rosyjskie represje uległy wówczas dalszemu nasileniu, które prowadziło do absurdów, rujnując autorytet władzy.

Trudno bowiem darzyć szacunkiem reżim, który rozpoczął ze swoimi poddanymi „wojnę tekstylną". Kolejno, odrębnymi rozporządzeniami, Rosjanie zabronili noszenia czarnej – żałobnej – garderoby (poddany Jewo Wieliczestwa nie ma powodu, by tego żałować!) oraz produkcji i dystrybucji konfekcji w kolorze amarantowym (była to tradycyjna, polska barwa narodowa nawiązująca do karmazynowych kontuszy magnackich w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej)… Lęk przed poddanymi spowodował wydanie zakazu używania skórzanego paska do spodni przez męż-

czyzn, a szpilek do spinania włosów – przez kobiety. Rosyjscy namiestnicy, generałowie: Nikołaj Onufrijewicz Suchozanet, Karl Karłowicz Lambert i Aleksandr Nikołajewicz von Lüders, sprawiali wrażenie, że takimi praktykami usiłują sprawdzić psychiczną wytrzymałość polskiego społeczeństwa. Czy celem ich było sprowokowanie buntu, który stałby się pretekstem do kolejnej brutalnej rozprawy ze znienawidzoną nacją, nie pojmującą dobrodziejstw carskiego panowania, a przy okazji konfiskaty licznych majątków? A może było to jedynie bezrefleksyjne wykonywanie instrukcji z Petersburga. W każdym razie krwawy karnawał azjatyckiej przemocy na ulicach Warszawy nie mógł pozostać bez wpływu na decyzje polskich patriotów.

„Mówi się, że władza demoralizuje. Ale brak władzy demoralizuje całkowicie. (Dean Rusk, sekretarz stanu USA)

W obliczu narastających represji, patriotyczne kręgi polskiego społeczeństwa stanęły wobec konieczności wyboru metod walki o poprawę sytuacji w kraju. „Biali", czyli stronnictwo działaczy o poglądach umiarkowanych, odrzucało otwartą walkę zbrojną, realistycznie oceniając stosunek sił skazujący ewentualne powstanie na klęskę. Potępiało jednak bezmyślną uległość, a nawet gorliwość w służbie Rosji. Program tego nurtu obejmował odzyskanie stanu pierwotnego, za jaki uznano status Królestwa Polskiego z 1815 roku, powiększonego o Kresy (Ziemie Zabrane) na drodze negocjacji i ugody z Petersburgiem dzięki interwencji dyplomatycznej mocarstw Europy zachodniej. Rzecz jednak w tym, że *„do tanga trzeba dwojga"* – Aleksander II nie uważał za konieczne ustępować tam, gdzie nie musiał, a propolskie lobby w Paryżu i Londynie okazało się zbyt słabe, by skłonić tamtejsze rządy to bardziej zdecydowanych działań. Rozegrał się zatem odwieczny dramat zwolenników rozwiązań umiarkowanych. Zlekceważeni przez Rosjan, opuszczeni przez sojuszników i odrzuceni przez rodaków utracili realne wpływy na przebieg wydarzeń.

Trzeba dodać, że nie brakowało wówczas także i zwolenników pokojowej współpracy – a nawet kolaboracji – z zaborcą. Symbolem takiej polityki prowadzonej czy to z myślą o osobistych korzyściach, czy też z powodu iluzji, że z Moskalami można coś „ugrać" pokorą i posłuszeństwem, stał się Aleksander hr. Wielopolski herbu Starykoń, margrabia Gonzaga-Myszkowski, zaangażowany bez reszty w działalność ugodową i tej racji znienawidzony przez wielu rodaków do tego stopnia, że dwukrotnie stał się celem prób zamachu na jego życie. Zaborcy zaś – z właściwą tyranom podejrzliwością – uważali, że ich polski współpracownik nie jest dostatecznie lojalny, gdyż ośmielił się zastępować rosyjskich urzędników w Królestwie Polakami, zakładał polskie szkoły, a ponadto domagał się równouprawnienia Żydów i uwłaszczenia chłopów, traktowanych w Rosji jak niewolnicy. Otoczony pogardą przez rodaków, a nieufnością przez zaborców, Wielopolski – obrażony na niewdzięczne społeczeństwo i swoich rosyjskich protektorów opuścił Polskę i osiadł w Niemczech, niesławnie kończąc „eksperyment ugodowy" z władzą, która pod pojęciem ugody rozumiała jedynie całkowitą kapitulację...

Na przeciwnym biegunie politycznej mapy tamtych lat pozostali natomiast „Czerwoni", czyli kręgi patriotyczne o radykalnych poglądach społecznych. W zdecydowanej większości wierzyli oni, że wystąpienie zbrojne, powiązane z natychmiastowym uwłaszczeniem chłopów, którzy masowo wezmą udział w powstaniu i tym samym zapewnią zwycięstwo w wojnie z zaborcą. Było to jednak przekonanie oparte raczej na „myśleniu życzeniowym", niż na racjonalnej analizie sił i środków. Mimo utopijnego, romantyczno-naiwnego programu to jednak właśnie „Czerwoni" pełnili wówczas „rząd dusz", zyskując popularność szczególnie wśród młodzieży. Istotną częścią planów powstańczych było utworzenie „rządu cieni" – zakonspirowanego zalążka polskiej administracji państwowej na ziemiach zaboru rosyjskiego. Zdawano sobie bowiem sprawę, że po zwycięstwie konieczne będzie odtworzenie (czy może raczej utworzenie w nowych formach ustrojowo-prawnych) politycznych struktur suwerennej Rzeczypospolitej, gdyż bez tego nie będzie szans na utrzymanie niepodległego bytu.

Powstanie styczniowe utrwalone w pamięci społecznej dzięki grafikom ukazującym walki partyzanckie, miało także swoje wielkomiejskie, konspiracyjne oblicze, lecz trudno w atrakcyjny sposób przedstawić ukrywających się wśród ludności cywilnej konspiratorów...

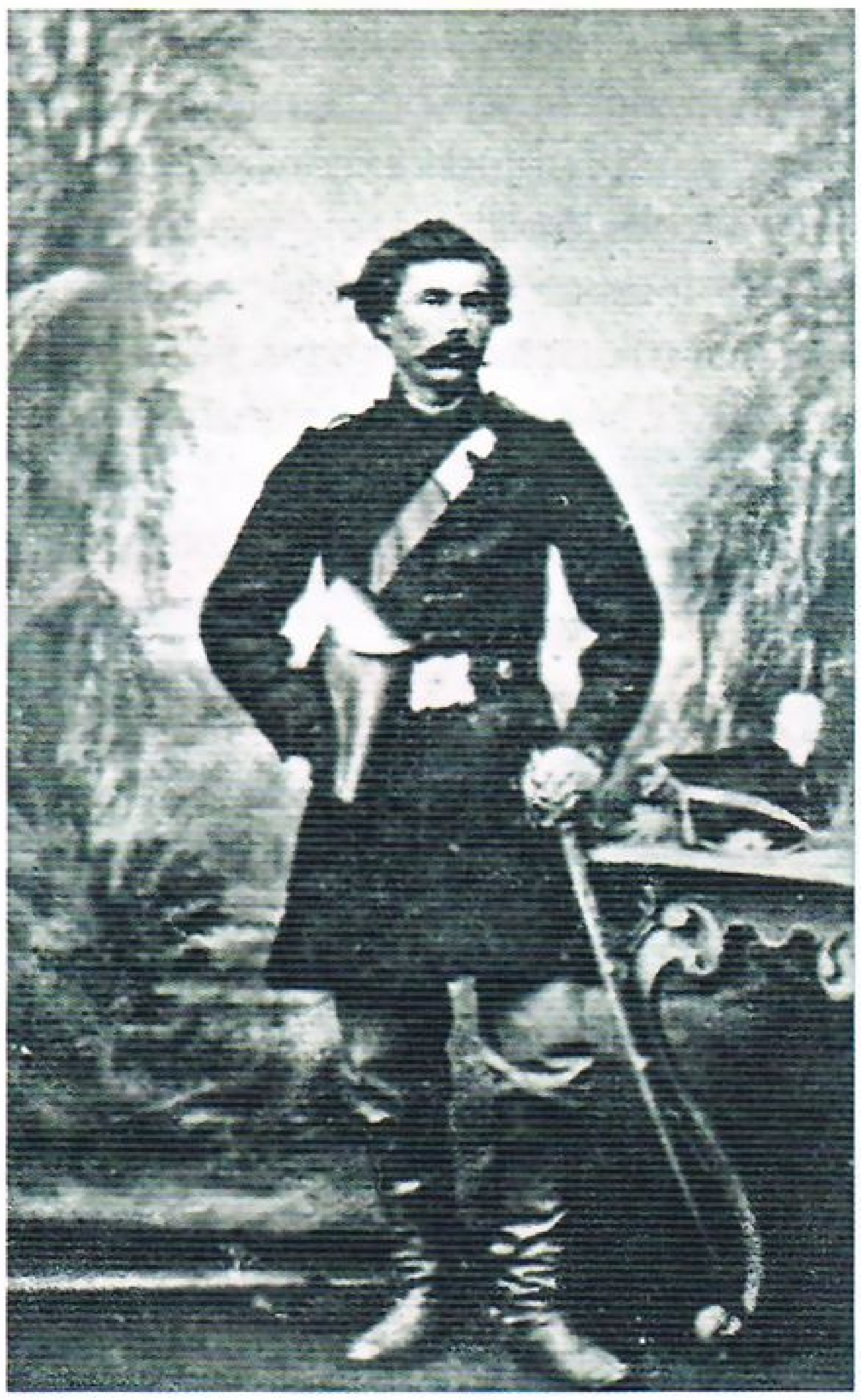

Ignacy Chmieleński, komendant sztyletników, czyli konspiracyjnej służby policyjno-kontrwywiadowczej.

W warunkach skrajnej asymetrii konfliktu (Rosjanie dysponowali przewagą na wszystkich płaszczyznach konfrontacji) środowiska patriotyczne zmuszone były do działania w podziemiu. Latem 1862 r. doszło do integracji dwóch warszawskich zalążków radykalnej konspiracji – studenckiego Komitetu Akademickiego i powołanego do życia po

wprowadzeniu przez Rosjan stanu wojennego (1861) Komitetu Miejskiego. Z ich połączenia powstał Komitet Centralny Narodowy, który ogłosił się (nieco uzurpatorsko) legalnym rządem polskim na obszarze Królestwa. Deklaracja ta pociągnęła za sobą dalsze kroki, brzemienne w skutki. Rozpoczęto bowiem budowę siatki konspiracyjnej, której poszczególne „węzły" odpowiadać miały jednostkom administracji terenowej – województwom. Według poleceń KCN w każdym z ośmiu województw Królestwa powołano komitety, złożone z naczelnika wojewódzkiego, 3 naczelników wydziałów i komisarza, odpowiedzialnego za kontakty z „centralą". Ponadto powstały konspiracyjne komitety powiatowe (było ich 39), powierzone spiskowym naczelnikom powiatowym. Postulat rozbudowy konspiracji został przyjęty z entuzjazmem. Już jesienią 1862 r. zalążki podziemnego państwa, alternatywnego wobec administracji zaborczej, powstały na Kresach, zwłaszcza w regionach o znacznym procencie Polaków wśród ogółu mieszkańców. Z oczywistych względów najliczniejsze były jednak komórki organizacyjne obejmujące ziemie Królestwa Polskiego. Rolę integrującą uczestników spisku miała pełnić podziemna prasa, wydawana poza zasięgiem carskiej cenzury. W tym celu powołano do życia tajne redakcje, które opracowywały podziemne periodyki, takie jak: „Kosynier", „Prawda", „Ruch" czy „Strażnica". Z oczywistych powodów czasopisma te, drukowane w tajemnicy przez pracowników legalnie działających oficyn poligraficznych, miały ograniczony zasięg, jednak sam fakt ich istnienia świadczył o szerokim zakresie działalności podejmowanej przez ruch konspiracyjny.

Istotną cechą struktur polskiego państwa podziemnego było powołanie niezbędnych atrybutów suwerenności. Nie może bowiem istnieć państwo, które nie dysponuje środkami finansowymi oraz aparatem egzekwowania praw. W tym celu stworzono konspiracyjny system podatkowy, tak opisany przez znakomitego znawcę epoki, prof. Stefana Kieniewicza: *„Anonimowi poborcy, zaopatrzeni w stosowne upoważnienia, docierali do poszczególnych płatników i w zamian za podatek wystawiali pokwitowania wycięte z kwitariusza. »Ruch« publikował w następstwie numery owych kwitów na dowód, że podatek wpłynął do kasy narodowej. Zaczynały też współpracować z organizacją niektóre niższe ogniwa organizacji zaborczej, obsadzone przez Polaków. W Warszawie dosyć liczni członkowie policji miejskiej współpracowali z policją narodową; urzędnicy pocztowi z pocztą narodową".*

Wspomniana poczta narodowa to specyficzny wynik potrzeby czasu – wobec powszechnej inwigilacji korespondencji prywatnej przez oficjalne urzędy pocztowe, obsługę korespondencji spiskowców prowadziła wyspecjalizowana służba konspiracyjna. Dzięki temu znacznie trudniej było o „wpadkę" w wyniku kontroli listów przez carskich urzędników.

Kolejnym z przejawów istnienia podziemnego państwa stało się konspiracyjne sądownictwo. Winnych przestępstw pospolitych, ale także zdrady stanu skazywano zaocznie, a wykonanie wyroku pozostawiano zbrojnemu ramieniu struktur podziemnych. Stanowić je miała konspiracyjna Policja Narodowa. Powołano także tajny oddział do zadań specjalnych, nazwany nieoficjalnie, ale trafnie sztyletnikami. Zadania Sekcji Żandarmerii, bo tak brzmiała oficjalna nazwa tej formacji, miały charakter zarówno defensywny (ochrona struktur i szefostwa konspiracji), jak i ofensywny (likwidacja szpiegów, zdrajców, kolaborantów oraz egzekucja wyroków konspiracyjnych sądów). Był to więc *de facto* podziemny kontrwywiad, którego głównym zadaniem było zapewnienie bezpieczeństwa strukturom podziemnym poprzez wykrywanie i unieszkodliwianie zdrajców i agentów carskiej policji. Gdy po wybuchu powstania KCN zmienił nazwę na Rząd Narodowy, organizacja sztyletników zyskała nową nazwę – Straż Bezpieczeństwa. Komendantem sztyletników został Ignacy Chmieleński. W latach 1862-1864 w wyniku działań sztyletników śmierć poniosło blisko 1000 osób. Egzekutorzy często korzystali z przebrania, zbliżając się do nie podejrzewających niczego skazańców w strojach kobiecych czy w rosyjskich mundurach. Ich zuchwałe wyczyny wzbudzały głęboki lęk wśród Rosjan, a szczególnie wśród ich polskich popleczników, których niestety nie brakowało. Renegaci, karierowicze, płatni i „ideowi" szpicle narodowości polskiej stanowili ponad połowę osób straconych przez sztyletników.

Odrębnym aspektem tworzenia się masowej organizacji spiskowej był udział w niej osób duchownych. Metropolita warszawski, ks. abp Zygmunt Szczęsny Feliński, realizując polecenia Stolicy Apostolskiej, bezskutecznie usiłował zapobiec temu zjawisku, lecz wielu księży uważało za swój – także duszpasterski – obowiązek uczestniczyć w zakazanej działalności patriotycznej. Udział w strukturach państwa podziemnego kapłanów, którzy zwyczajowo darzeni byli wielkim zaufaniem przez ludność wiejską, mógł także ułatwić pozyskanie dla idei powstańczych warstwy chłopskiej, co „Czerwoni" uważali za niezbędny warunek sukcesu powstania, które według ich planów miało rozpocząć się na wiosnę 1863 roku. Wydarzenia potoczyły się jednak inaczej.

Ostrze ukryte w lasce lub niewielki, ale śmiertelnie niebezpieczny sztylet stanowiły ulubiony oręż funkcjonariuszy konspiracyjnego „resortu spraw wewnętrznych"...

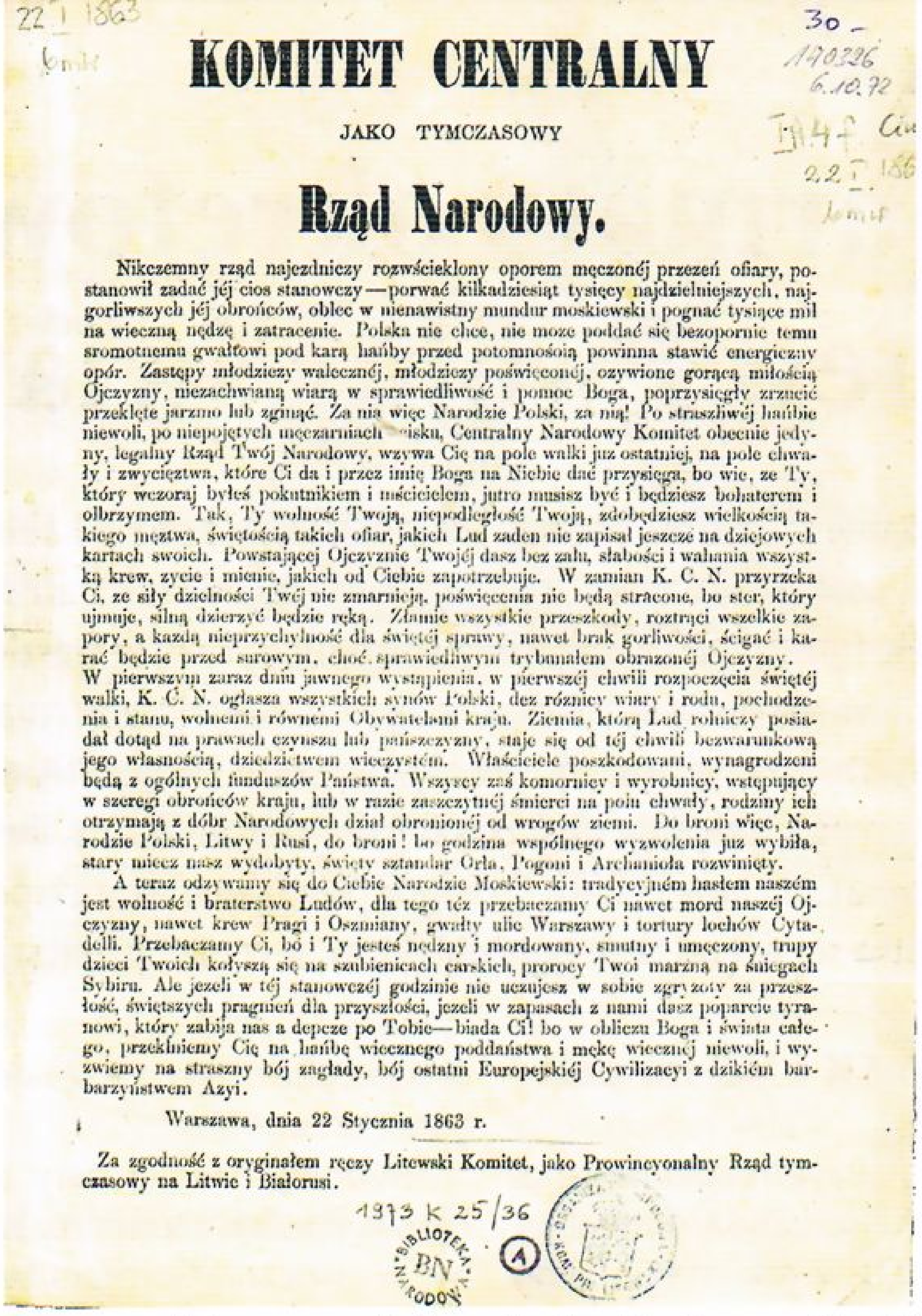

KOMITET CENTRALNY

JAKO TYMCZASOWY

Rząd Narodowy.

Nikczemny rząd najezdniczy rozwścieklony oporem męczonéj przezeń ofiary, postanowił zadać jéj cios stanowczy — porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jéj obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie. Polska nie chce, nie moze poddać się bezopornie temu sromotnemu gwałtowi pod karą hańby przed potomnością powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodziezy walecznéj, młodziezy poświęconéj, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przeklęte jarzmo lub zginąć. Za nią więc Narodzie Polski, za nią! Po straszliwéj hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach [illegible]isku, Centralny Narodowy Komitet obecnie jedyny, legalny Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki juz ostatniéj, na pole chwały i zwycięztwa, które Ci da i przez imię Boga na Niebie dać przysięga, bo wie, ze Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem. Tak, Ty wolność Twoją, niepodległość Twoją, zdobędziesz wielkością takiego męztwa, świętością takich ofiar, jakich Lud zaden nie zapisał jeszcze na dziejowych kartach swoich. Powstającéj Ojczyznie Twojéj dasz bez zalu, słabości i wahania wszystką krew, zycie i mienie, jakich od Ciebie zapotrzebuje. W zamian K. C. N. przyrzeka Ci, ze siły dzielności Twéj nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dzierzyć będzie ręką. Złamie wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a kazdą nieprzychylność dla świętéj sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrazonéj Ojczyzny.
W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszéj chwili rozpoczęcia świętéj walki, K. C. N. ogłasza wszystkich synów Polski, bez róznicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnemi i równemi Obywatelami kraju. Ziemia, którą Lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od téj chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystém. Właściciele poszkodowani, wynagrodzeni będą z ogólnych funduszów Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnéj śmierci na polu chwały, rodziny ich otrzymają z dóbr Narodowych dział obronionéj od wrogów ziemi. Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni! bo godzina wspólnego wyzwolenia juz wybiła, stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty.

A teraz odzywamy się do Ciebie Narodzie Moskiewski: tradycyjném hasłem naszém jest wolność i braterstwo Ludów, dla tego téz przebaczamy Ci nawet mord naszéj Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadelli. Przebaczamy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci Twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale jezeli w téj stanowczéj godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętszych pragnień dla przyszłości, jezeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas a depcze po Tobie — biada Ci! bo w obliczu Boga i świata całego, przekłniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznéj niewoli, i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni Europejskiéj Cywilizacyi z dzikiém barbarzyństwem Azyi.

Warszawa, dnia 22 Stycznia 1863 r.

Za zgodność z oryginałem ręczy Litewski Komitet, jako Prowincyonalny Rząd tymczasowy na Litwie i Białorusi.

1973 K 25/36
BIBLIOTEKA BN NARODOWA

Prasa podziemna pełniła rolę środka komunikacji społecznej – reprodukowane wydanie konspiracyjnego czasopisma „Ruch" zamieściło treść manifestu powstańczego z 22 I 1863 roku...

„Władza najlepiej sprawdza charakter człowieka". (Arystoteles)

Wybuch powstania w skrajnie niekorzystnych warunkach (zima to nienajlepszy okres dla rozpoczynania walki partyzanckiej) sprowokowany został świadomie i cynicznie przez Aleksandra Wielopolskiego, który nakazał nagły pobór do rosyjskiego wojska tysięcy młodych mężczyzn, podejrzewanych o udział w konspiracji niepodległościowej. Wywiad spiskowców zdołał uzyskać informacje o planowanym poborze, ostrzeżono więc najbardziej zagrożone osoby. Wiele z nich zdołało opuścić miejsce stałego zamieszkania i w ten sposób uniknąć wcielenia w szeregi znienawidzonej wrogiej armii. Nocą z 14 na 15 stycznia 1863 r. Rosjanie „porwali w kamasze" niespełna 1/3 osób przeznaczonych do „branki".

Niespodziewana zmiana sytuacji zmusiła polskie państwo podziemne do przedwczesnego rozpoczęcia walki zbrojnej. 22 stycznia 1863 r. ogłoszony został manifest, wzywający do powstania przeciw Rosji narody Polski, Litwy i Rusi – a zatem wszystkich mieszkańców obszaru przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Wzniosłe deklaracje nie mogły jednak zastąpić broni, a zwłaszcza artylerii, bez której walka z regularną armią musiała przerodzić się w partyzancką „wojnę szarpaną". Powstańcom nie udało się opanować miast, nie mówiąc już nawet o zajmowaniu większych połaci Królestwa. Struktury państwa podziemnego musiały zatem pozostawać w ukryciu, nie mając szans na ujawnienie się i dalszą rozbudowę w oparciu o wyzwolone obszary kraju, jak to planowano przygotowując powstanie.

Organizacja spiskowa nękana aresztowaniami i egzekucjami ujętych przez Rosjan konspiratorów, trwała pomimo spektakularnych porażek powstańczych partii (jak nazywano wówczas oddziały partyzanckie). Niestety, polskie struktury konspiracyjne nie były w stanie się uwolnić od sporów politycznych i osobistych, negatywnie rzutujących na działalność państwa podziemnego. Konflikt między „Białymi" a „Czerwonymi" trwający od czasów poprzedzających powstanie, przybierał nieraz formy konspiracyjnej wojny domowej – polityczni rywale odbierali sobie nawzajem rządowe pieczęcie, których odciski nadawały prawomocność rozporządzeniom organów państwa podziemnego. Najtragiczniejszym przykładem rywalizacji w kręgach spiskowców pozostaje los Stefana Bobrowskiego – faktycznego przywódcy powstania, naczelnika struktur podziemnych Warszawy i szefa konspiracyjnego rządu, prominentnego przedstawiciela frakcji „Czerwonych". Jako człowiek honoru, mimo słabego wzroku nie mógł odmówić „udzielenia satysfakcji" i zginął w sprowokowanym pojedynku na pistolety. Śmierć Bobrowskiego umożliwiła „Białym" uzyskanie kontroli nad władzami powstańczymi. Triumf był jednak krótkotrwały. Nadeszły wkrótce kolejne aresztowania, zwieńczone ujęciem wiosną 1864 roku Romualda Traugutta, ostatniego dyktatora powstańczego, który prowadząc ożywioną działalność konspiracyjną ukrywał się w Warszawie jako Michał Czarnecki, kupiec z Galicji. Śmierć Traugutta na stokach cytadeli warszawskiej (5 sierpnia 1864 r.) to symboliczny kres działalności pierwszego polskiego państwa podziemnego.

Porażka powstańców, która nie może dziwić, jeśli uwzględnimy realne siły i środki, jakimi dysponowały strony konfliktu, nie powinna przesłaniać faktu, że powołanie do życia tak rozbudowanych i różnorodnych organów konspiracyjnego przywództwa cywilnego i wojskowego świadczy zarówno o wielkiej dojrzałości polskiego społeczeństwa, zdolnego do poświęceń dla idei niepodległościowej, jak i o osobistej odwadze i determinacji tysięcy konspiratorów, wiedzących jaka jest cena zaangażowania w walkę o wolność Kraju, a mimo to podejmujących nierówną walkę. Bez ich woli walki, bez akceptacji poświecenia w potrzebie mienia i życia dla Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie doczekalibyśmy zapewne jako naród niepodległości, która przyszła dopiero ponad pół wieku później…

Literatura, ilustracje:
1. R. Górski, „Polscy zamachowcy", Kraków 2008
2. Z. Fras, Wł. Suleja, „Poczet agentów polskich", Wrocław–Warszawa–Kraków 1995
3. S. Kieniewicz, A. Zahorski, Wł. Zajewski, „Trzy powstania narodowe: kościuszkowskie, listopadowe i styczniowe", Warszawa 1994
4. „Powstanie styczniowe 1863-1865. Wrzenie, Bój. Europa. Wizje", Warszawa 1990

zdarzyło się…

26 II 1927 r.

88 lat temu oficjalnym hymnem został „Mazurek Dąbrowskiego", będący, obok godła, flagi i barw narodowych najważniejszym z polskich symboli państwowych. Został wprowadzony na mocy okólnika nr 49 ogłoszonego w Dzienniku Urzędowym MSW z 1927 r. nr 1 i 2 o następującej treści: *„Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podaje przy niniejszym tekst literacki pieśni »JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA« opracowany przez Komisję Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Tekst ten należy uważać za jedynie obowiązujący".*

Niemieckie armaty okrętowe 380 mm na polach bitew I wojny światowej

JACEK JAROSZ

Najcięższymi niemieckimi działami okrętowymi okresu I wojny światowej były armaty kalibru 380 mm. 16 z nich posłużyło do uzbrojenia dwóch najnowszych pancerników typu „Bayern", pozostałe ostatecznie nie trafiły na okręty. Te należące do Kaiserliche Marine działa, użyto na polach bitew frontu zachodniego Wielkiej Wojny. 5 z nich weszło na uzbrojenie artylerii nadbrzeżnej, pozostałe 7 wykorzystano jako lądową artylerię dalekiego zasięgu, szczególnie przydatną do ostrzału nieprzyjacielskich fortyfikacji, w tym głównie fortów. Pierwsze armaty „służyły" w Belgii w latach 1916-1918, natomiast drugie, głównie we Francji. Tam właśnie, w pobliżu Duzey w Lotaryngii, znajduje się forteczny skansen militarny, ilustrujący jeden z rozdziałów historii lądowego wykorzystania okrętowych armat 380 mm SK L/45. Co więcej, niedawno jego ekspozycję uzupełniono o 12-calową armatę morską. Ponadto we Francji znajduje się więcej tego typu obiektów, lecz nie uprzedzajmy wypadków...

Wykorzystanie armat 380 mm SK L/45 na pancernikach typu „Bayern"

Cztery niemieckie pancerniki typu „Bayern" planowano wybudować wg programu rozbudowy Kaiserliche Marine (Cesarskiej Marynarki Wojennej), przyjętego w roku 1912. Jednostki te miały być odpowiedzią na ówczesne, najnowsze brytyjskie pancerniki typu „Queen Elizabeth" z armatami kal. 381 mm (15 cali), i jednocześnie stać się najpotężniejszymi okrętami niemieckiej floty wojennej. Dwa pierwsze pancerniki typu „Bayern" zostały wybudowane w latach 1913-1916. Były to: SMS (Seiner Majestät Schiff, Okręt Jego Cesarskiej Mości) „Bayern" zbudowany w stoczni Howaldtswerke AG w Kilonii (położenie stępki 22.01.1914, wodowanie 18.02.1915, ukończenie budowy 18.03.1916) oraz SMS „Baden" zbudowany w Gdańsku, w stoczni F. Schichau (daty odpowiednio: 20.12.1913, 30.10.1915 i 19.10.1916). Oba najsilniejsze, niemieckie pancerniki I wojny światowej nie miały okazji sprawdzić swoich bojowych możliwości w starciu ze swoim głównym przeciwnikiem, czyli brytyjską Royal Navy. Po zakończeniu działań wojennych zostały 21 VI 1919 r., wraz z szeregiem innych niemieckich jednostek, samozatopione w brytyjskiej bazie morskiej w Scapa Flow. „Baden" po podniesieniu z dna i prowizorycznym doprowadzeniu do stanu pływalności, był wykorzystywany przez Brytyjczyków jako okręt-cel i poszedł na dno 16 VIII 1921 r. koło Portsmouth.

Budowy drugiej pary pancerników typu „Bayern" Niemcy nie zdołali ukończyć. Były to: SMS „Sachsen" – budowany w stoczni Germaniawerft w Kilonii (położenie stępki 07.04.1914, wodowanie 21.11.1916), oraz SMS „Württemberg" – budowany w stoczni AG Vulcan w Hamburgu (daty odpowiednio: 04.01.1915 i 20.06.1917). Obie nieukończone jednostki zostały złomowane w 1921 roku.

Głównym uzbrojeniem pancerników było 8 armat kal. 380 mm typu SK L/45, które montowano parami w wieżach pancernych na podstawach DRH LC/13 (dwie wieże w części dziobowej i dwie w rufowej). Produkcją dział zajmowały się zakłady Kruppa. Armaty były testowane w 1913 r. na poligonie artyleryjskim w Meppen. Niemcy oznaczali je jako 38 cm SK I/C 45/13, czyli szybkostrzelne armaty modelu 1913 kal. 380 mm, o długości lufy 45 kalibrów (kal. 38 cm, Schnelladekanone, Kaliberlänge 45, Jahr 1913), jednak szerzej znane były jako 38 cm SK L/45. Masa armaty sięgała 105 t, a masa dwudziałowej wieży dochodziła do 870 ton. Długość lufy działa wynosiła 17,13 metrów. Wieże mogły się obracać z prędkością 3-3,5° na sekundę, a lufy armat podnosiły się z prędkością do 5° na sekundę. Amunicja była rozdzielnego ładowania (pocisk

1. Mapka z interesującymi obiektami z okresu I i II wojny światowej:
A. Schron drugiej linii Linii Maginota w pobliżu Mangiennes.
B. Ukrycia dla platform kolejowych z działami kal. 380 mm SK L/45 „Max" koło Billy-sous-Mangiennes.
C. Skansen militarny w pobliżu Duzey ze stanowiskiem armaty kal. 380 mm SK L/45 „Max" (Bateria IV).
D. Wieża ciśnień pod Muzeray.
E. Stanowisko działa Baterii A-2 pod Muzeray.
F. Stanowisko działa Baterii A-1 pod Sorel.
G. Obóz „Marquere". Rys. J. Jarosz.

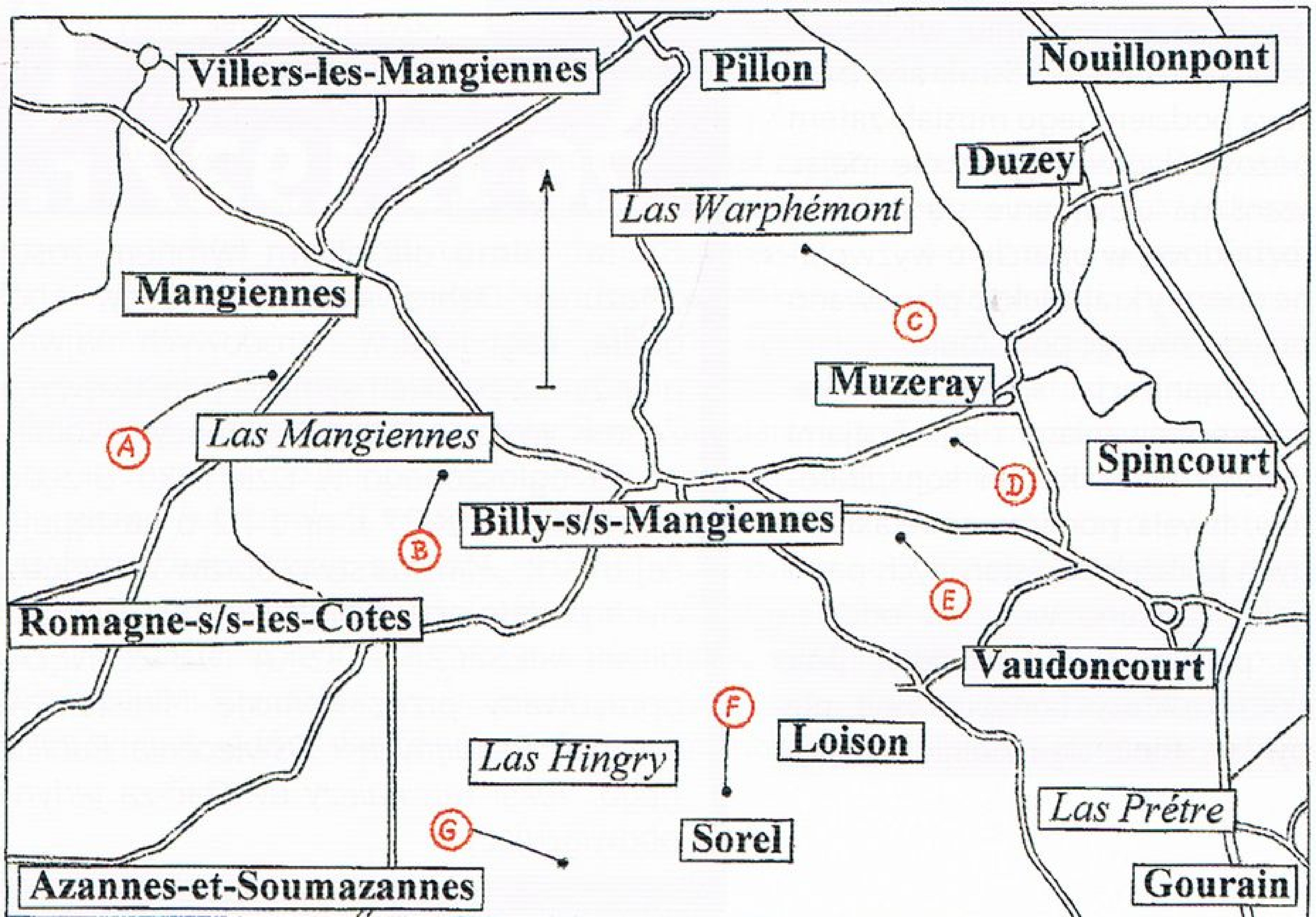

plus ładunek miotający). Masa standardowego pocisku wynosiła 750 kg, a jego prędkość początkowa sięgała 800 m/sekundę. Ładunek miotający o masie 277 kg kordytu składał się z ładunku przedniego umieszczonego w bawełnianym worku, natomiast ładunek główny znajdował się w mosiężnej łusce. Kąt podniesienia luf wynosił od 16° („Baden") do 20° („Bayern"). Przy kącie podniesienia 16° donośność armat dochodziła do 20 400 m, a przy 20° – do 23 200 metrów. Wieże były wyposażone w system szybkiego ładowania dział, co pozwalało osiągać im szybkostrzelność około 2,5 wystrzału na minutę.

Bezpośrednimi następcami dział 380 mm SK L/45 były, stanowiące ich rozwinięcie, armaty SK C/34, które w czasie II wojny światowej wykorzystywano na dwóch pancernikach typu „Bismarck" („Bismarck" i „Tirpitz") oraz w bateriach artylerii nadbrzeżnej Wału Atlantyckiego.

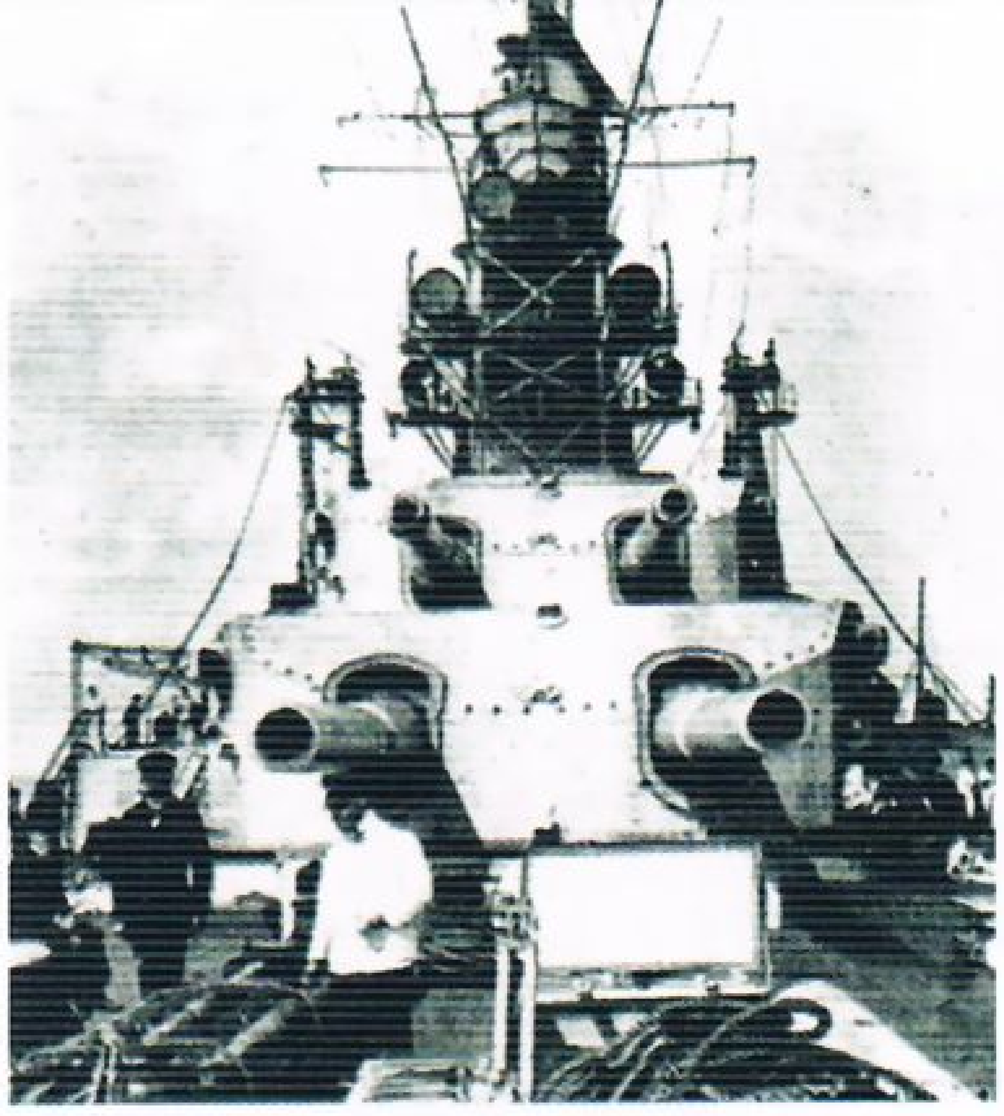

Wieże rufowe pancernika niemieckiego SMS „Baden" z działami kal. 380 mm SK L/45. Źródło: G. Staff, „German Battleships" 1914-18 (II)

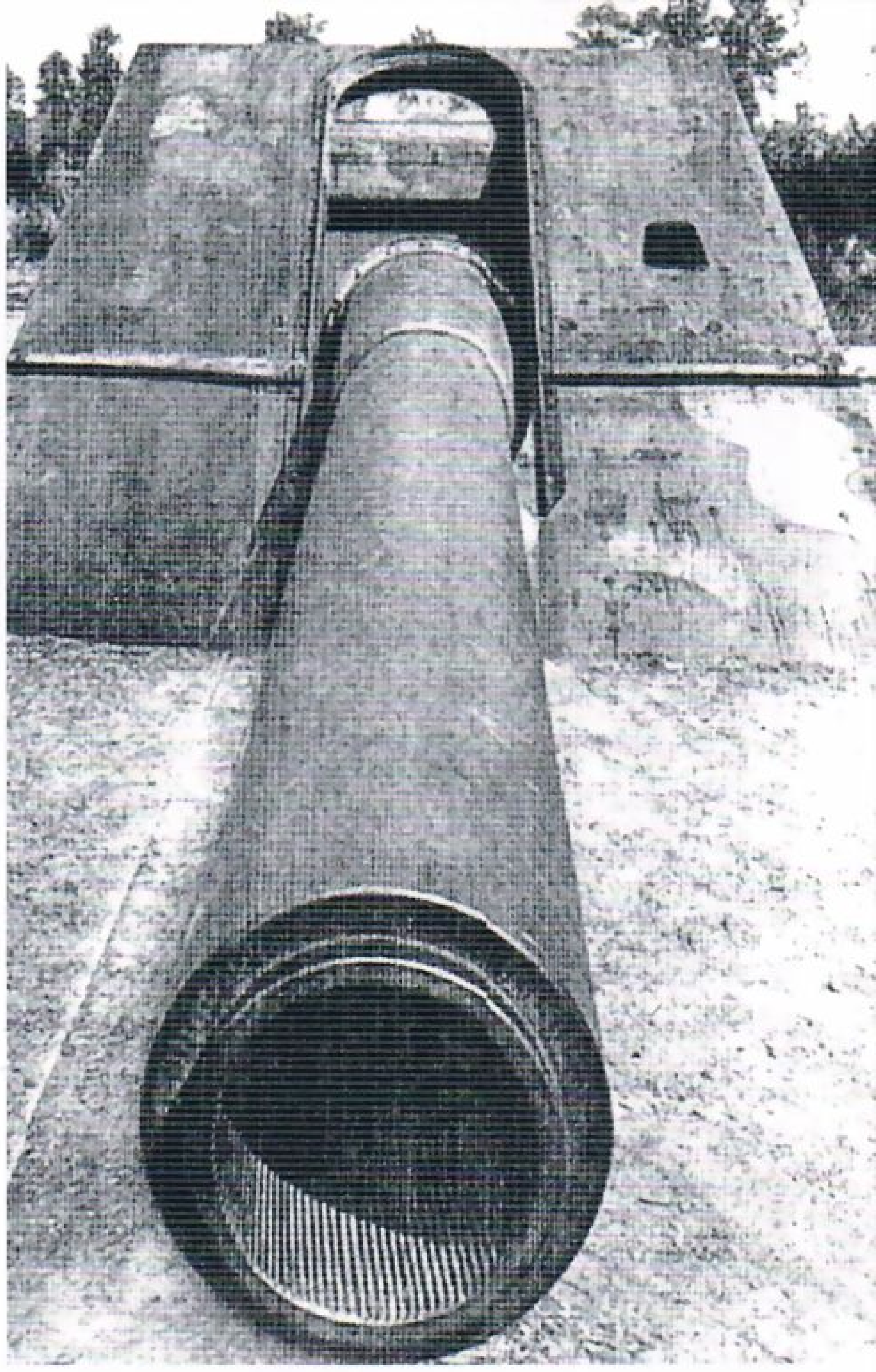

Działo kalibru 380 mm SK L/45 usytuowanej w Belgii Baterii „Pommern". Źródło: S. Bull, „Wojna pozycyjna".

Armaty 380 mm SK L/45 w służbie artylerii nadbrzeżnej

Pięć spośród armat 380 mm SK L/45 niewykorzystanych na pancernikach typu „Bayern", zainstalowano w wybudowanych w latach 1915-1917 dwóch stałych bateriach niemieckiej artylerii nadbrzeżnej we Flandrii (Marinekorps Flandren). Były to baterie „Deutschland" i „Pommern", których działa miały największy kaliber ze wszystkich kilkunastu stałych baterii artylerii nadbrzeżnej, wybudowanych przez Niemców w tym rejonie Belgii w czasie I wojny światowej.

Bateria „Deutschland" została ulokowana w pobliżu miejscowości Bredene, przy czym, czasami, jako jej lokalizacja podawana jest nazwa Jacobinessen. Główne uzbrojenie baterii składało się z 4 armat kal. 380 mm SK L/45, ustawionych na żelbetowych stanowiskach. Ich numery fabryczne były następujące: 9, 35, 36 i 41. Działa zamontowano w stalowych wieżach o pancerzu grubości 65 mm. Trzy armaty miały kąt podniesienia 45° i donośność sięgającą 35 tys. m, natomiast jedna – 55° i 47 tys. metrów. Prace przy budowie baterii „Deutschland" rozpoczęły się we wrześniu 1915, a zakończono je w roku następnym. Po raz pierwszy jej działa weszły do akcji 3 VI 1917 roku. Z powodu znikomej liczby odpowiednich celów morskich armaty ostrzeliwały alianckie pozycje w rejonie Dunkierki. W 1918 r. działa zostały zdjęte ze stanowisk i przewiezione do Niemiec, gdzie miały bronić własnego wybrzeża. Zostały ostatecznie zniszczone w latach 1921-1922 na polecenie alianckiej komisji wojskowej. W dniach od 15 do 16 X 1918 r. niemieccy saperzy wysadzili w powietrze żelbetowe obiekty baterii. Obecnie ich pozostałości znajdują się na polu na północny-wschód od Bredene.

Bateria „Pommern" została usytuowana w pobliżu wioski Leugenboom, położonej na wschód od miejscowości Moere i na północ od miasta Koekelare. Jej główne uzbrojenie składało się z jednego działa kal. 380 mm SK L/45 (nr 15), które ustawiono w stalowej wieży na żelbetowym stanowisku ogniowym. Kąt podniesienia lufy wynosił 55°, a donośność dochodziła do 47 tys. metrów. Po raz pierwszy bateria weszła do akcji w marcu 1917 roku. 2 września tego roku jeden z wystrzelonych przez nią pocisków zatopił statek aliancki stojący w porcie w Ostendzie. W 1918 r. armata baterii „Pommern" została zdjęta ze stanowiska i przewieziona do Niemiec, gdzie planowano ją wykorzystać w artylerii nadbrzeżnej. Ostatecznie zniszczona została na początku lat 20. na polecenie alianckiej komisji wojskowej. Obecnie można odwiedzić dobrze zachowane, będące składnikiem skansenu militarnego, stanowisko ogniowe baterii, które znajduje się na polu na zachód od miejscowości Leugenboom.

Wykorzystanie armat 380 mm SK L/45 „Max" na froncie lądowym

W czasie I wojny światowej Niemcy na froncie lądowym używali szeregu dział ciężkiej i najcięższej artylerii kalibrów: 210, 240, 280, 305, 335, 380 i 420 mm (armaty, haubice i moździerze). Wśród nich znajdowało się także 7 dział okrętowych kal. 380 mm SK L/45 „Max", które początkowo przeznaczone były dla dwóch nieukończonych pancerników typu „Bayern". Armaty te postanowiono wykorzystać do ostrzału alianckich pozycji, w tym szczególnie forty-

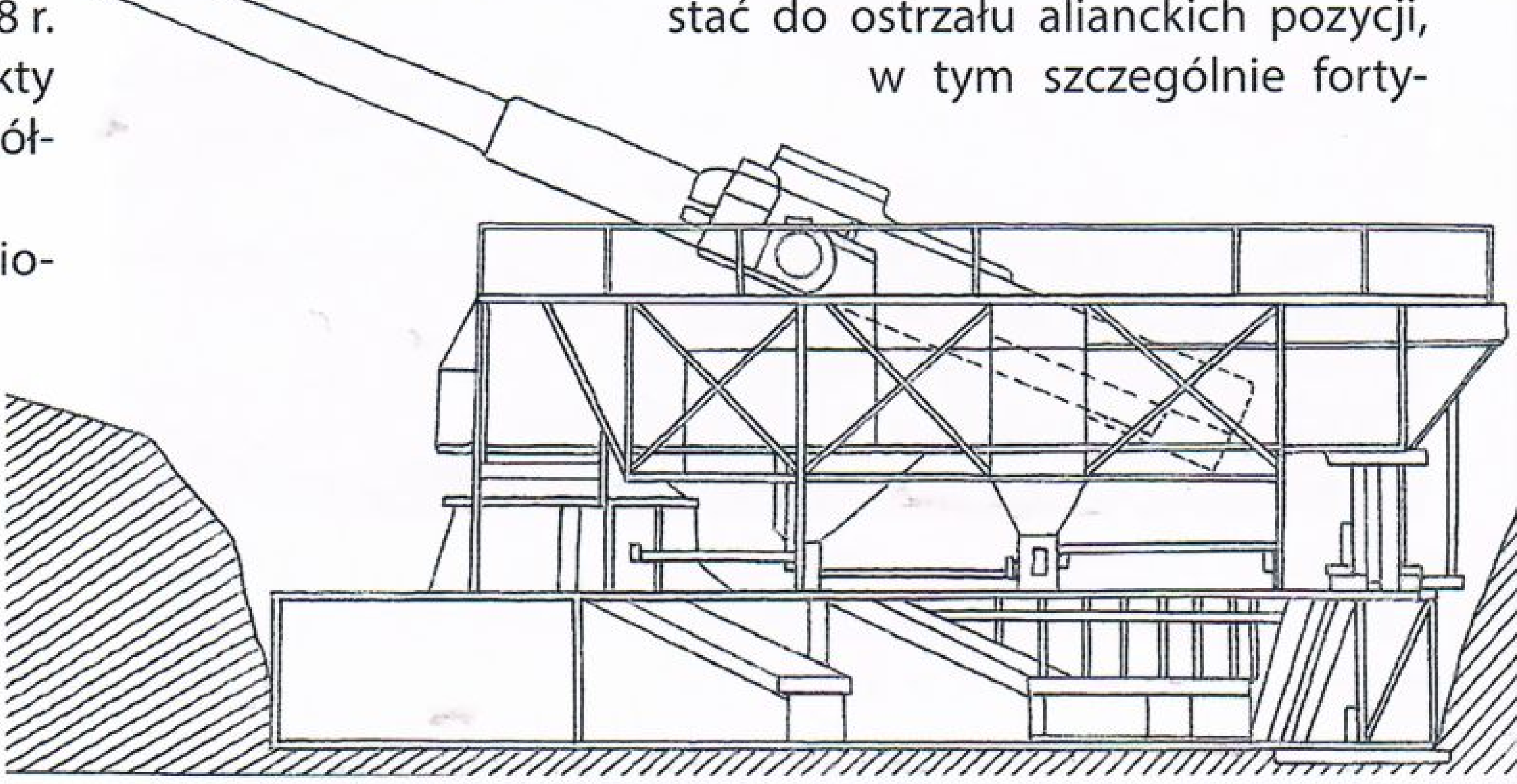

Armata kal. 380 mm SK L/45 „Max" na stałym żelbetowym stanowisku w wersji pierwszej (Anschiessgerüst). Rys. J. Jarosz.

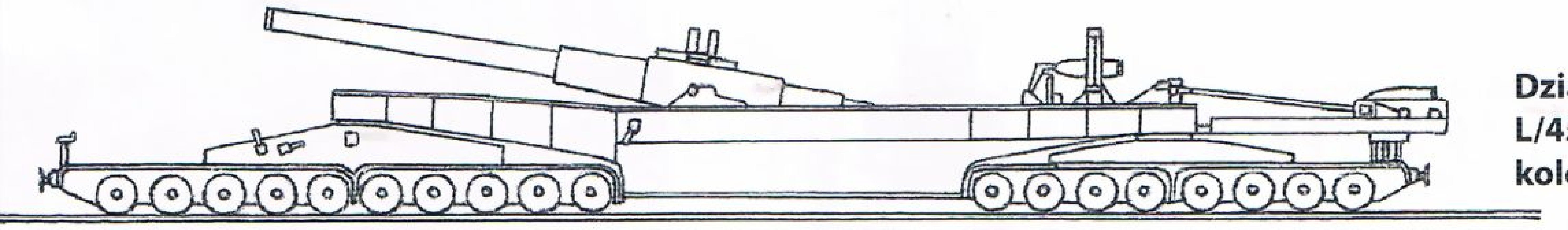

Działo kalibru 380 mm SK L/45 „Max" na platformie kolejowej. Rys. J. Jarosz.

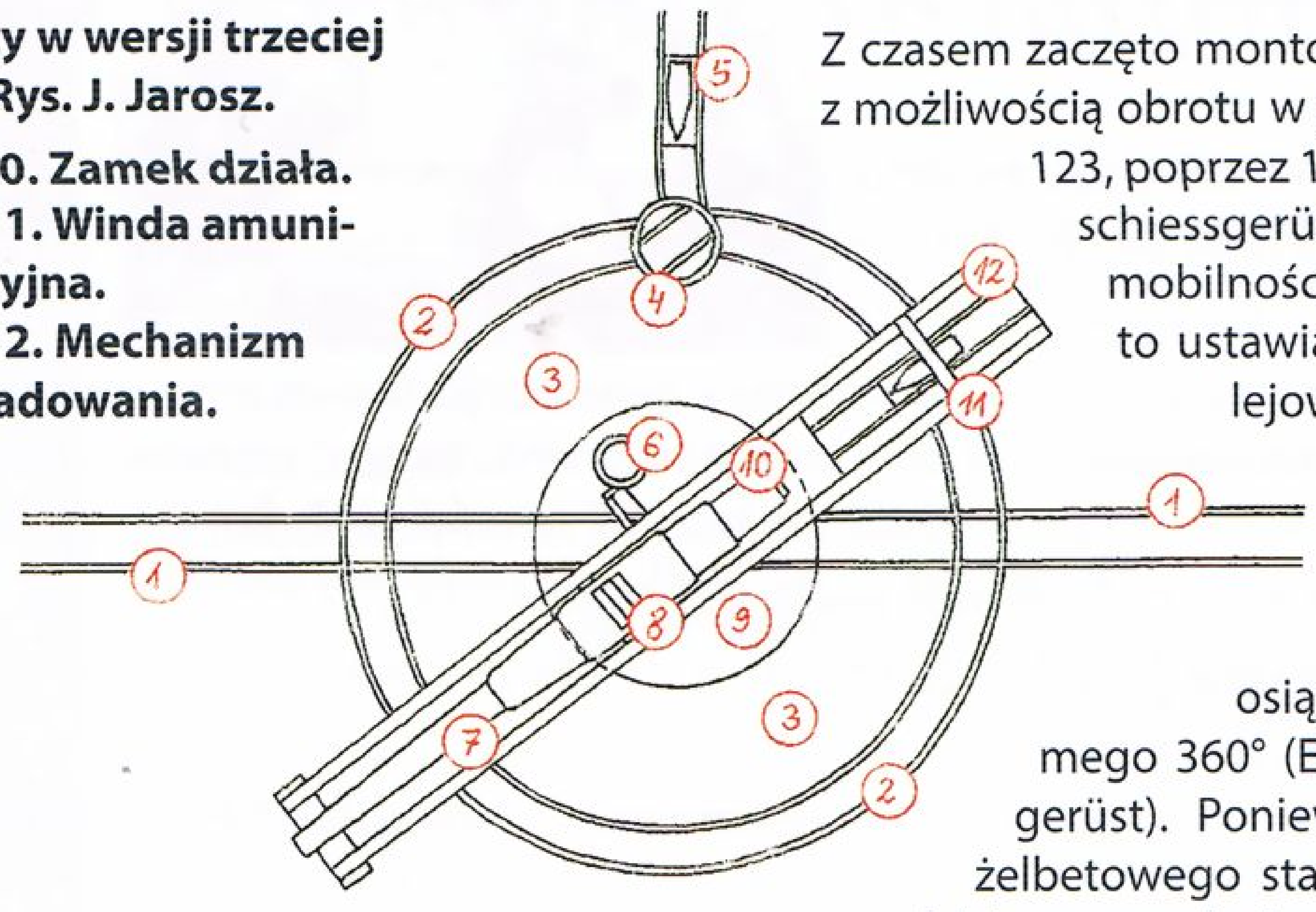

Stałe żelbetowe stanowisko armaty w wersji trzeciej (Eisenbahn und Bettungsgerüst). Rys. J. Jarosz.

1. Tor kolejowy.
2. Prowadnice dla platformy wózka amunicyjnego.
3. Żelbetowa podstawa.
4. Obrotowa platforma dla wózka amunicyjnego.
5. Wózek amunicyjny.
6. Mechanizm służący do obracania działa.
7. Lufa armaty.
8. Przeciwwagi.
9. Platforma obrotowa działa.
10. Zamek działa.
11. Winda amunicyjna.
12. Mechanizm ładowania.

fikacji. Pierwsze stanowiska dział usytuowano w sporej odległości od linii frontu francusko-niemieckiego, na terenach zajętych przez Niemców jeszcze w sierpniu 1914 roku. Były instalowane na szeregu żelbetowych (i później stalowych) stanowiskach rozlokowanych wzdłuż linii frontu. W sumie planowano wybudowanie 32 stanowisk ogniowych dla dział 380 mm SK L/45, z których ostatecznie ukończono 16 – o konstrukcji żelbetowej i 7 o konstrukcji stalowej (te ostatnie w 1918 roku). Jedną z armat kal. 380 mm SK L/45 „Max" zdobyli Belgowie, na położonej na zachód od Brukseli stacji kolejowej w listopadzie 1918 roku. W 1924 r. działo zostało sprzedane do Francji i użyte do przeprowadzenia testów. Ponownie Niemcy przejęli je w czerwcu 1940 r. po zajęciu Francji. Dalsze losy armaty nie są znane.

Pozostałe działa pod koniec I wojny światowej zostały wycofane do Niemiec, gdzie miały m.in. wzmocnić obronę wybrzeża. Na początku lat 20., podobnie jak to miało miejsce w przypadku armat stanowiących uzbrojenie opisanych wyżej baterii artylerii nadbrzeżnej, zostały pocięte na złom na polecenie alianckiej komisji wojskowej.

Początkowo armaty SK L/45 „Max" ustawiano na stałych stanowiskach o konstrukcji żelbetowej, kącie obrotu sięgającym w poziomie jedynie od 30 do 36° (Anschiessgerüst). Z czasem zaczęto montować je na stanowiskach z możliwością obrotu w poziomie sięgającym od 123, poprzez 144 aż do 180° (Bettungsschiessgerüst). W celu zwiększenia mobilności armat, od 1917 r. zaczęto ustawiać je na platformach kolejowych, które także można było instalować na żelbetowych, obrotowych stanowiskach stałych, mogących osiągać kąt obrotu poziomego 360° (Eisenbahn und Bettungsgerüst). Ponieważ czas wybudowania żelbetowego stanowiska ogniowego dla działa wraz z niezbędną infrastrukturą wynosił około miesiąca, toteż od maja 1918 r. Niemcy wprowadzili do eksploatacji także stanowisko o konstrukcji stalowej (Bettung mit Eisenunterbau), co miało znacznie skrócić czas jego przygotowania.

Stanowiska ogniowe były połączone torami kolejowymi, po których przemieszczały się platformy z zamontowanymi na nich działami. Platformy posiadały własne ukrycia pod postacią schronów tunelowych o żelbetowej konstrukcji. Trzy takie dobrze zachowane obiekty obecnie stoją niedaleko od siebie, na polu w rejonie miejscowości Billy sous Mangiennes (w pobliżu Mangiennes). Lokomotywy ciągnące platformy z armatami zaopatrywane były w wodę z żelbetowych wież ciśnień, z których jedna nieźle zachowana znajduje się na południowy-wschód od miejscowości Muzeray.

Armaty w wersji „lądowej" określane były przez Niemców jako 38 cm SK L/45 „Max" lub „Max Langer", natomiast w Wielkiej Brytanii nazywano je „Max Gun", „Fat Max Gun" lub „Long Max Gun". Masa działa wraz z platformą kolejową szacowana była na 267,9 t, a jego długość całkowita na 31,61 metrów. W zależności od rodzaju pocisku jego prędkość początkowa sięgała od 800 do 1040 m/sekundę. Szybkostrzelność działa wynosiła jeden wystrzał na 3-4 minuty. Maksymalny kąt podniesienia lufy armaty zamontowanej na platformie kolejowej, sięgał 18,5°, a kąt jej odchylenia na boki dochodził jedynie do 2°. Maksymalny kąt podniesienia na platformie kolejowej był ograniczony problemami, spowodowanymi zbyt małą odległością zamka działa od podłoża podczas cofania się lufy po wystrzale. W takiej sytuacji donośność działa ograniczona była do 22 200 metrów. Na stanowisku stałym maksymalny kąt podniesienia lufy był zwiększony aż do 55°, a kąt jej obrotu mógł dochodzić do 360°. Pocisk o masie 750 kg osiągał prędkość wylotową 800 m/sek. i mógł dolecieć na odległość 34 200 metrów. Pocisk o masie 743 kg osiągał maksymalną prędkość wylotową 890 m/sek. i miał zasięg 38 700 m (przy kącie podniesienia lufy 45°). Pocisk o masie 400 kg miał prędkość wylotową 1040 m/sek. i mógł osiągnąć odległość 47 500 metrów.

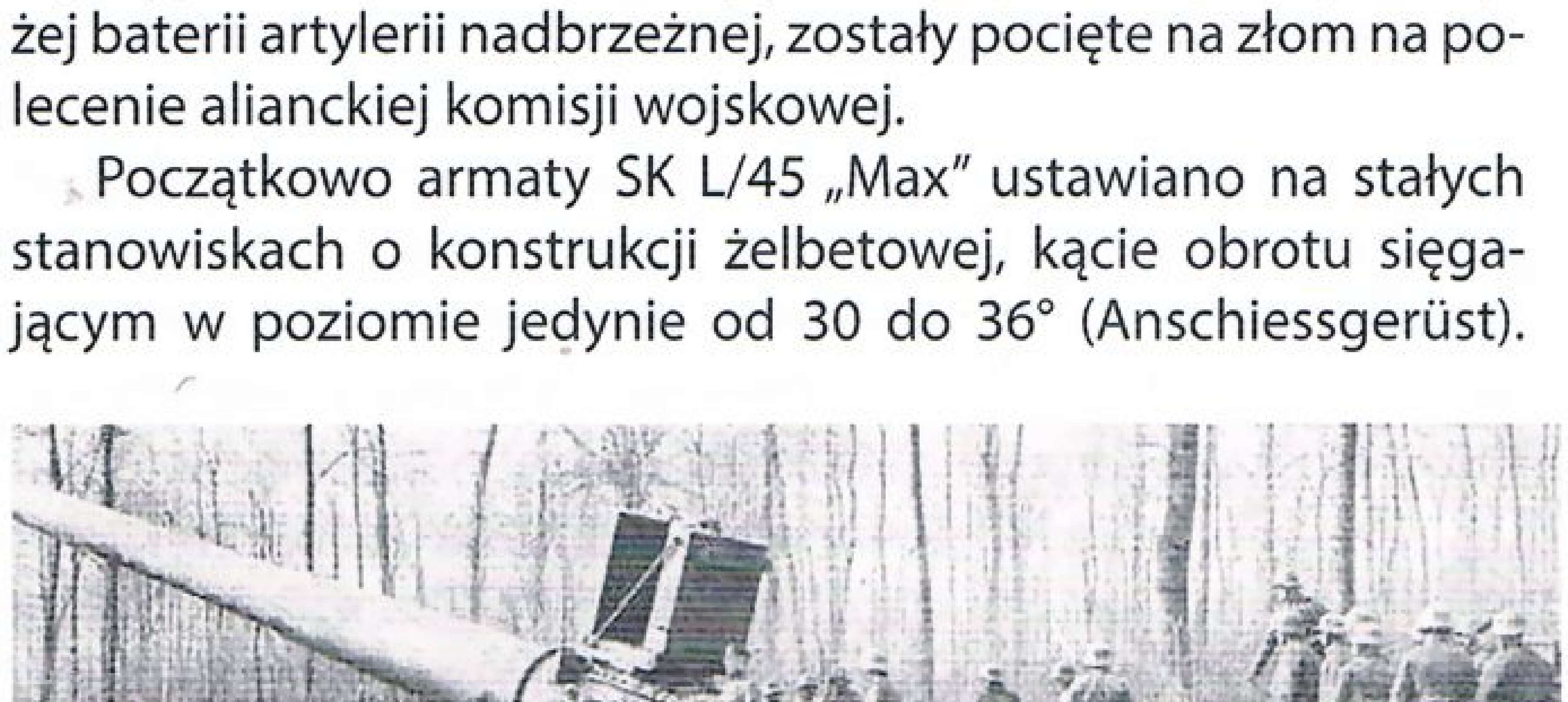

Działo na stałym stanowisku żelbetowym w wersji Eisenbahn und Bettungssgerüst. Źródło: www.google.pl/german gun 380 mm L45 max

Pocisk kal. 380 mm w skansenie koło Duzey...

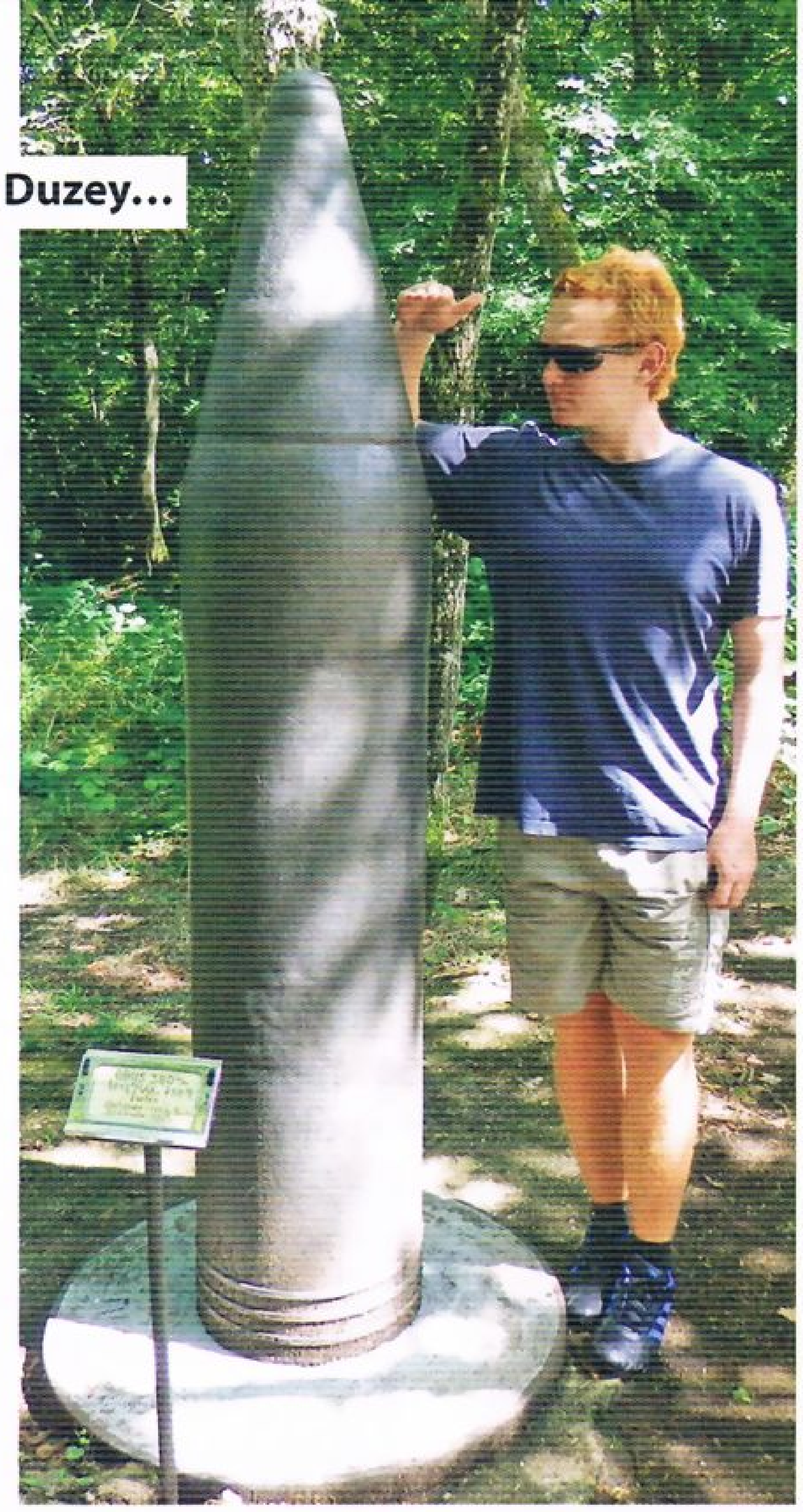

... oraz tabliczka z danymi tego pocisku. Fot. J. Jarosz, 2014

Jedną z cech charakterystycznych dział w wersji Eisenbahn und Bettungsgerüst były duże, prostokątne przeciwwagi zamontowane w ich górnej części, mniej więcej pośrodku długości armaty. Platformy kolejowe z ulokowanymi na nich armatami poruszały się po torach kolejowych na wózkach: z przodu były to dwie pary wózków pięciokołowych, a z tyłu dwie pary czterokołowych. Po wprowadzeniu działa na stałe stanowisko ogniowe, wózki były demontowane.

3 baterie armat 380 mm SK L/45 „Max" podlegające pod dowództwo 5. Armii

Rejon Mangiennes-Spincourt został zajęty przez niemieckie wojska wkrótce po rozpoczęciu Wielkiej Wojny. Niedługo potem Niemcy postanowili wykorzystać go do ulokowania artylerii dalekosiężnej, która głównie służyć miała do ostrzału francuskiej twierdzy Verdun, położonej ok. 30 km na północny-zachód. Wybudowano 3 baterie, do których dochodziły tory łączące się via Spincourt z linią kolejową Nancy–Longuyon. Drogą tą dowożone były do nich amunicja i zaopatrzenie.

Pierwsze 2 stanowiska dla armat 380 mm SK L/45 „Max" były betonowane już od końca 1914 roku. Były to żelbetowe stanowiska ogniowe w wersji Anschiessgerüst pozwalające na poziomy obrót dział w granicach 30-36°. Bateria A-1 została usytuowana na północ od wsi Sorel, natomiast Bateria A-2 – na południe od Muzeray. Pierwsza z nich określana była także jako „Ferme Sorel", druga natomiast – jako „Bois de Muzeray" lub „Loison". Po raz pierwszy obie baterie zostały użyte do ostrzeliwania francuskich fortyfikacji twierdzy Verdun już w lutym 1915 r., a ich celem stały się słynne później forty Douaumont i Vaux. Obie armaty prowadziły ogień przeciw obu tym fortom także w październiku tego roku.

Trzecie stanowisko działa 380 mm SK L/45 „Max" zostało usytuowane w lesie Warphémont (Bois de Warphémont) znajdującym się na zachód od wsi Duzey, która z kolei była położona na północny-zachód od Spincourt. Było to żelbetowe stanowisko w wersji Bettungsschiessgerüst, pozwalające na obrót armaty w płaszczyźnie w zakresie 144°. Bateria IV określana była także jako „Bois de Warphémont" lub „Spincourt". Działo uzyskało gotowość bojową we wrześniu 1915 roku. Dowodzona przez kpt. mar. Schulze bateria, obsługiwana była przez Marinesonderkomando Nr 1, w skład którego wchodziło trzech oficerów i 70 kanonierów.

21 II 1916 r. wszystkie 3 armaty rozpoczęły intensywny ostrzał fortyfikacji twierdzy Verdun, co stanowiło początek najkrwawszej bitwy I wojny światowej, w której po obu stronach zginęło około 700 tys. żołnierzy. Zasadnicza część bitwy pod Verdun trwała do grudnia 1916 r. i zakończyła się odparciem niemieckich ataków przez Francuzów, jednak ci drudzy swoje pozycje utrzymywali jeszcze do sierpnia następnego roku.

Armaty z powyższych baterii zdemontowano w latach 1917-1918, a ich obiekty zostały opuszczone. Obecnie zachowane stanowisko ogniowe Baterii A-2 znajduje się w lesie na południe od Muzeray, natomiast, prawdopodobnie, zasypane stanowisko Baterii A-1 usytuowane jest na polu na północ od Sorel. Stanowisko działa Baterii IV obecnie stanowi opisany poniżej skansen militarny.

Stanowisko działa – skansen militarny w lesie Warphémont

Po zakończeniu działań wojennych teren baterii w lesie Warphémont pozostawał opuszczony, jednak już w 1924 r. znalazł się pod opieką państwa jako Monument National Français. Po II wojnie światowej obiekty baterii ponownie zostały opuszczone. Od października 1999 r. dobrze zachowane, są udostępnione do zwiedzania dla turystów i miłośników fortyfikacji. Początkowo wstęp na teren skansenu militarnego był płatny, jednak obecnie można go zwiedzać bezpłatnie przez cały rok. Kierują do niego czytelne tablice z napisem: „Site du Canon Allemand de 380 mm Max". Bezproblemowy dojazd prowadzi na dość spory leśny parking, od którego do celu jest już bardzo blisko. Na terenie skansenu znajdują się tablice informacyjne, opisujące historię baterii oraz jej poszczególne obiekty.

Główną atrakcją skansenu jest żelbetowe stanowisko ogniowe armaty kal. 380 mm SK L/45 „Max" o średnicy 23 m

Znajdujące się w lesie Warphémont żelbetowe stanowisko działa kalibru 380 mm SK L/45 „Max" w wersji Bettungsschiessgerüst. Fot. J. Jarosz, 2014

Wejście do schronu amunicyjnego z wózkiem amunicyjnym. Fot. J. Jarosz, 2014.

Wnętrze jednego z tuneli z dobrze zachowana blachą falistą. Fot. J. Jarosz, 2014.

i głębokości 4 m. Niestety, jest ono zalane i dostępne tylko z zewnątrz. W pobliżu znajdują się podziemne schrony amunicyjne połączone systemem tuneli. Ich stropy od środka pokryte są blachą falistą o zaokrąglonym profilu pełniącą funkcję przeciwodpryskową. W tunelach znajdowały się tory kolejki wąskotorowej, którymi na dwuosiowych wagonikach – podobnych do typowych węglarek – transportowano pociski z magazynów amunicji na stanowisko ogniowe. Obecnie dwa wejścia do schronów amunicyjnych są otwarte i dostępne, natomiast jedno jest zakratowane. Obok jednego z wejść stoi wagonik do transportu amunicji oraz pocisk kal. 380 mm. Co ciekawe, na improwizowanej tablicy opisującej osiągi pocisku podano dane znacznie różniące się od istniejących w literaturze tematu (patrz wyżej – opis pocisku w wersji okrętowej). Według nich, przy masie 750 kg i ładunku miotającym 120 kg, pocisk kal. 380 mm mógł dolecieć na odległość 25 tys. m, natomiast przy ładunku miotającym 183 kg – na odległość 35 tys. metrów.

Tuż przy parkingu znajduje się dobrze zachowana i wyeksponowana lufa francuskiego działa morskiego kal. 305 mm Model 1906 z zamkiem (sygnatura: 30-M-1906/1908 Nr 1). Działo to ma masę 85 t i długość 17 metrów. Zostało niedawno przywiezione do skansenu i ustawione przy parkingu jako atrakcja, mająca zwiedzającym dać wyobrażenie, co też mogło znajdować się na usytuowanym w pobliżu stanowisku ogniowym.

Przy okazji należy wspomnieć o innym, ciekawym obiekcie fortyfikacyjnym znajdującym się w pobliżu Duzey. Jest nim stojący tuż przy drodze przed miejscowością Mangiennes dobrze zachowany żelbetowy schron drugiej linii obrony Linii Maginota. To kazamata typu STG-B1 o nr. CEZF-48. Schron należy do grupy obiektów wybudowanych pomiędzy Mangiennes i Pierrepont.

Dla pasjonatów fortyfikacji z pewnością interesujące będą także poniemieckie obiekty obozu „Marquerre" (Lager Marquerre), znajdujące się w lesie położonym na zachód od Sorel. W obozie tym Niemcy testowali żelbet, który później szeroko stosowali w różnego rodzaju obiektach fortyfikacyjnych.

Inne zachowane stanowiska dział 380 mm SK L/45 „Max"

Oprócz wyżej opisanych stanowisk, istnieją przynajmniej 3 inne, dobrze zachowane stanowiska stałe dla armat kal. 380 mm SK L/45 „Max". Pierwsze z nich znajduje się w położonej na północny-zachód od Verdun miejscowości Semide. Podlegająca 3. Armii Bateria IX znajdowała się w służbie od maja 1916 do marca 1917 r. Obecnie nieźle zachowane żelbetowe stanowisko jest usytuowane na polu, na południowy-wschód od wioski.

W znajdującej się na wschód od Belfort miejscowości Zillisheim znajduje się drugie tego rodzaju stanowisko. Zamontowane na nim działo Baterii VII rozpoczęło swoją działalność 8 II 1916 r. wystrzeliwując 41 pocisków na Belfort. Ogień był prowadzony do 5 października tego roku. Obecnie dobrze zachowane żelbetowe stanowisko znajduje się w lesie na południe od Zillisheim.

Kolejne stanowisko zostało usytuowane w położonej na północ od Soissons miejscowości Couchy-le-Chateau-Auffrique. Zainstalowana tam, podlegająca 7. Armii, armata Baterii II, od czerwca do listopada 1915 roku ostrzeliwała miejscowości Compiégne, Fismes i Villers-Cotterêts. Obecnie nieźle zachowane żelbetowe stanowisko można odnaleźć w lesie położonym na północny-zachód od Couchy-le-Chateau-Auffrique.

Jacek Jarosz

Nauczyciel. Specjalista w zakresie marynistyki. Badacz historii statków. Miłośnik historii i fortyfikacji.

zdarzyło się...

28 II 1986 r.

29 lata temu w zamachu zginął premier Szwecji Olof Palme. Do zamachu doszło o godz. 23:20 w centrum Sztokholmu. Olof Palme, który nie miał ochrony, chwilę wcześniej wyszedł z żoną z kina. Trafiony dwiema kulami zmarł w szpitalu. 3 dni po zamachu policja aresztowała skrajnego prawicowca, 33-letniego Victora Gunnarssona – zabójstwo wiązano z przemówieniem Palmego, w którym domagał się zniesienia apartheidu w RPA. Jednak z braku dowodów Gunnarsson został zwolniony. Podejrzewani byli też członkowie Partii Pracujących Kurdystanu. W 1988 r. o morderstwo został oskarżony Christer Pettersson, ale Sąd Apelacyjny go uniewinnił. Mimo wieloletniego, zakrojonego na olbrzymią skalę śledztwa zamach pozostaje niewyjaśniony do dzisiaj.

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

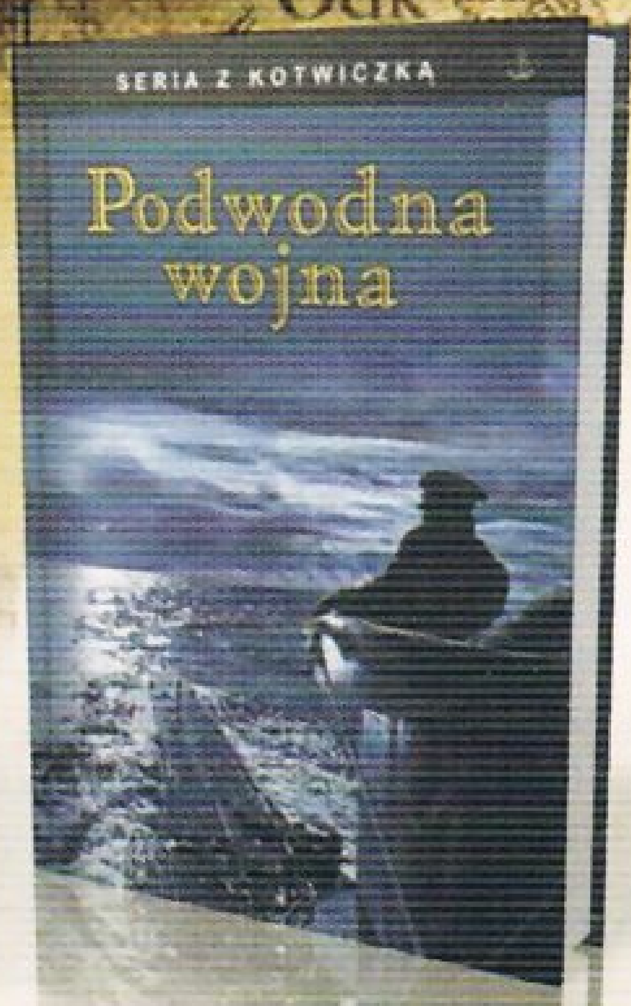

„Podwodna wojna", red. A. Ryba, opr. twarda, str. 228, wyd. Finna. Cena: 38,90 zł

Kolejny tom „Serii z kotwiczką". Zbiór niezwykłych wspomnień-epizodów, które miały miejsce podczas I i II wojny światowej. W książce Czytelnik odnajdzie m.in. poruszające historie największych „pogromców U-bootów" w obu wspomnianych wojnach: Gordona Campbella i Johna Walkera, opisy życia codziennego na U-boocie widziane oczyma służącego na nim marynarza, historię patrolu Hardegena, jednego z najwybitniejszych dowódców niemieckich, czy też losy olbrzymiego transportowca wojsk Orcades zatopionego koło Kapsztadu.

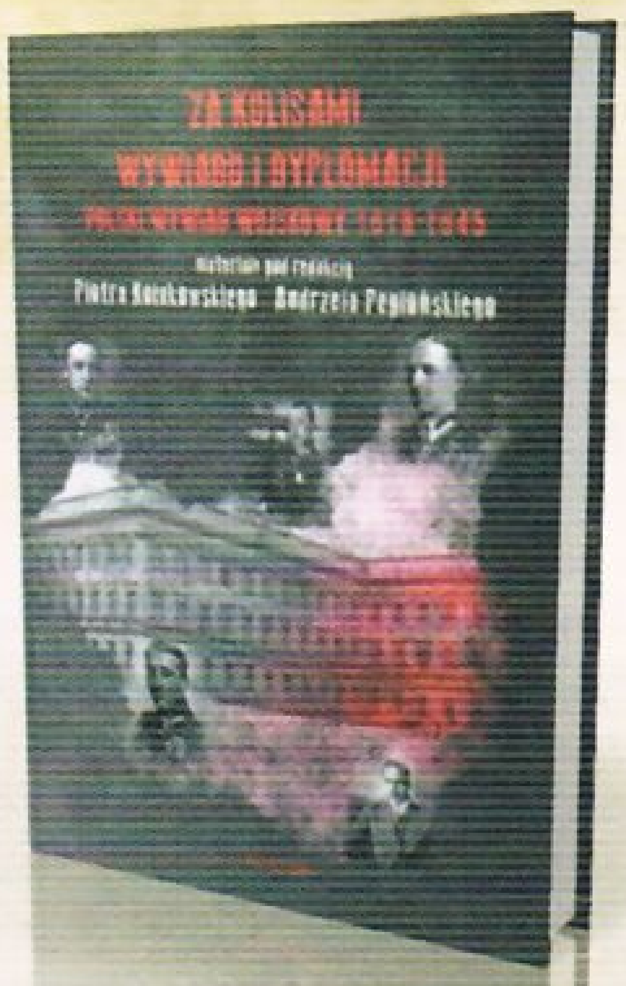

„Za kulisami wywiadu i dyplomacji", red. P. Kołakowski, A. Pepłoński, opr. twarda, str. 488, wyd. Avalon. Cena: 55,90 zł

Widoczny w ostatnich latach postęp w badaniach dotyczących organizacji oraz działalności polskiego wywiadu wojskowego w XX-leciu międzywojennym oraz w czasie II wojny światowej odsłania kulisy wielu jego nieznanych przedsięwzięć i akcji. Nowe ustalenia historyków w tym zakresie umożliwiają lepsze zrozumienie elementów polityki zagranicznej oraz wewnętrznej państwa polskiego. Pozwalają też dogłębniej poznać uwarunkowania wywierające wpływ na decyzje czynników politycznych i wojskowych związane z przygotowaniami Polski do wojny. W ten nurt wpisują się również artykuły oraz materiały źródłowe zawarte w niniejszym zbiorze. Mają one znaczną wartość poznawczą i niewątpliwie rozszerzają wiedzę o polskich służbach wywiadowczych w pierwszej połowie XX w.

Erich Ludendorff „Moje wojenne wspomnienia 1914-1916", t.I, opr. twarda, str. 217, wyd. Tetragon. Cena: 54,90 zł

Błyskotliwą karierę Ericha Ludendorffa w czasie wojny światowej relacjonują jego wspomnienia. Jego fachowych umiejętności nikt nie kwestionuje, a gdyby zadowolił się dokonaniami na wojskowej niwie, zapewne przeszedłby do historii jako jeden z najsłynniejszych dowódców. Już z tego powodu jego wojenne wspomnienia są pracą godną uwagi. Generał zmarł w Monachium 20 XII 1937 r. Kandydat na pomnik skończył jako postać niemalże kabaretowa. Do rąk Czytelnika zostaje oddany I tom wspomnień gen. Ludendorffa obejmujący lata 1914-1916, czyli okres, kiedy duet Hindenburg-Ludendorff, odnosił największe zwycięstwa w polu. Książka jest bogato ilustrowana i zawiera 14 map oraz 170 zdjęć.

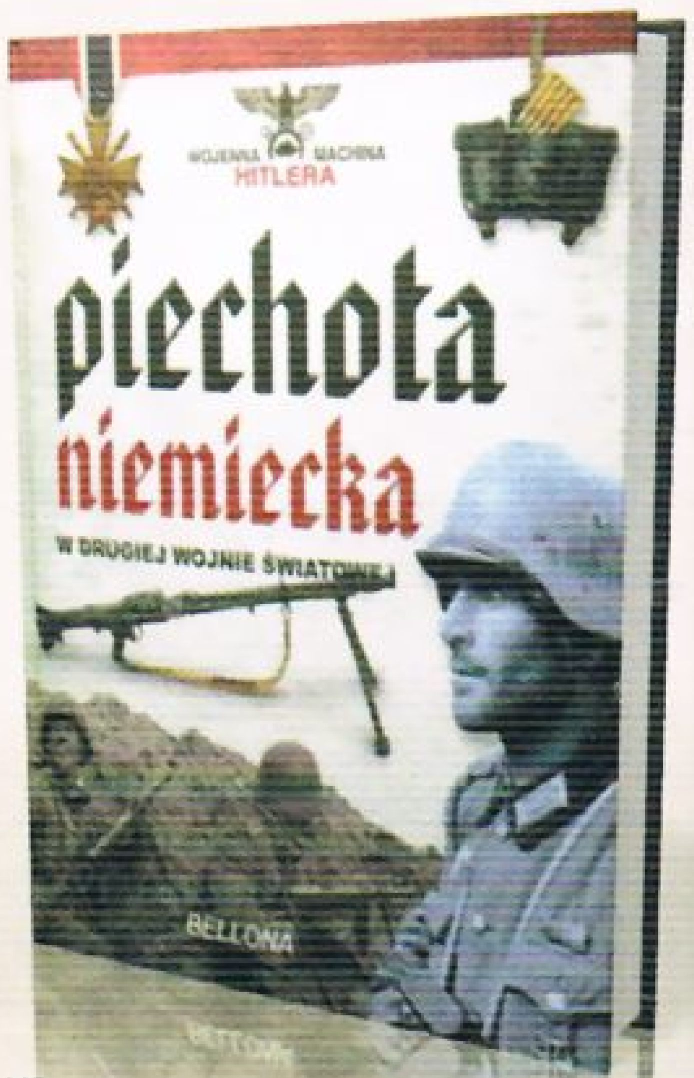

Juan Vazquez Garcia „Piechota niemiecka w drugiej wojnie światowej", opr. twarda, str. 144, wyd. Bellona. Cena: 44 zł

Książka opisuje działania piechoty w okresie II wojny światowej ze szczególnym uwzględnieniem hitlerowskiego Wehrmachtu. Zdecydowaną zaletą pozycji są rzetelnie sporządzone, wielobarwne mapy, które wręcz zaskakują szczegółowością i przejrzystością. Przedstawione na nich ruchy wojsk są jednoznacznie osadzone w czasie i pomagają w wyobrażeniu sobie działań przedstawionych w tekście. Praca zawiera następujące rozdziały: Początki, W stronę Blitzkriegu, Druga wojna światowa, Nowa wyzwania, nowe rozwiązania.

Wasilij Briuchow „Czerwony czołgista", opr. miękka, str. 297, wyd. Vesper. Cena: 28 zł

„Czerwony czołgista. Wojna w T-34 na Froncie Wschodnim" to spisane przez Siergieja Anisimowa wspomnienia weterana Armii Czerwonej – Wasilija Briuchowa. Briuchow walczył jako oficer wojsk pancernych. W swoich wspomnieniach opisuje krwawe i niezwykle brutalne walki z Wehrmachtem, a także dalsze lata jego służby, która w sumie trwała aż do 1986 roku. Tak opisuje rolę dowódcy T-34: „Dowódca czołgu T-34/76 pracuje jak cyrkowiec, ustawia działo, strzela, wydaje rozkazy ładowniczemu i kierowcy, kontaktuje się z innymi czołgami plutonu przez radio. To wymaga pełnej koncentracji, inaczej będzie po nim".

Bogdan Marian Ginter „Znad Nysy do Karkonoskiej Grani", opr. miękka, str. 188, Agencja Wydawnicza CB. Cena: 29,40 zł

Bogdan Marian Ginter wspomina w swojej książce niespokojny 1945 rok, kiedy jako dowódca III batalionu 33 pułku piechoty 7 Dywizji Piechoty był od maja do października pierwszym polskim komendantem wojskowym Szklarskiej Poręby. W tym okresie jego batalion obsadzał odcinek granicy państwowej z Czechosłowacją w Karkonoszach i Górach Izerskich. Autor opisuje m.in. przepychanki z żołnierzami czechosłowackiej straży granicznej podczas obsadzania granicy. Wiele uwagi poświęca intrygom Informacji Wojskowej, kierowanej przez sowieckich oficerów Wengłowskiego i Fonkina, wymierzonych w niego samego, przedwojennego oficera Wojska Polskiego. Przeprowadzono nawet zamach (nieudany) na życie Gintera. Po zwolnieniu ze służby wojskowej w 1946 r. autor osiadł w Szklarskiej Porębie, gdzie pracował i działał społecznie.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź

na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na now…

odk księgarnia odkrywcy

David Stahel „Operacja Tajfun", opr. miękka, str. 424, wyd. Książka i Wiedza. Cena: 48,90 zł
Historia jednej z najważniejszych operacji strategicznych II wojny światowej, która miała doprowadzić do zajęcia Moskwy przez Niemców. Praca starannie udokumentowana, szczegółowa i niezwykle zajmująco napisana. W opinii niektórych recenzentów jest to najlepsza z dotychczasowych książek Davida Stahela. Wnikliwe badania archiwalne, szczegółowa znajomość źródeł drugorzędnych i porywająca narracja sprawiły, że publikacja ta stanowi nową jakość w pisaniu o froncie wschodnim.

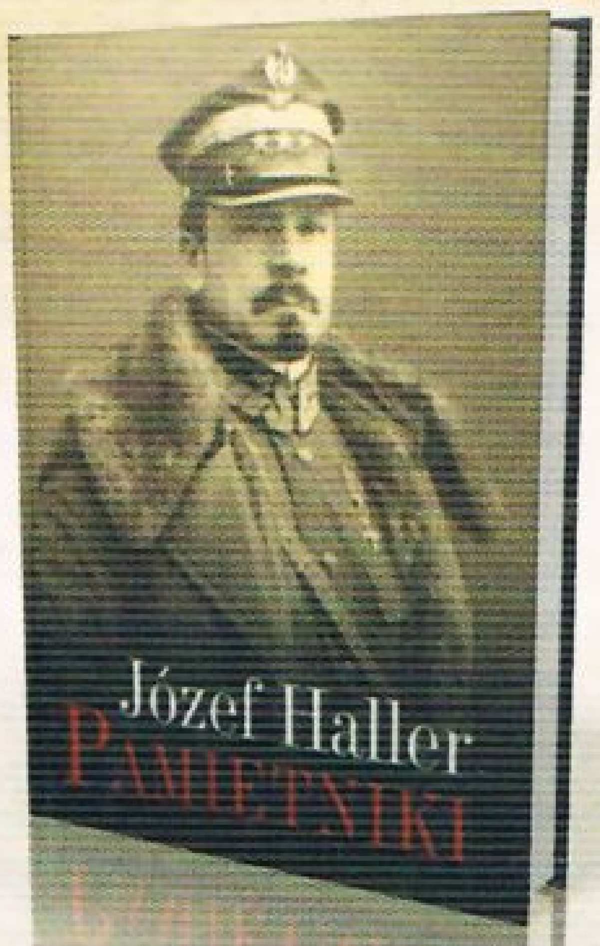

Józef Haller „Pamiętniki", opr. twarda, str. 524, wyd. LTW. Cena: 49,40 zł
W swoich pamiętnikach Józef Haller, nazywany Błękitnym Generałem, zawarł opis swego niezwykle barwnego i burzliwego życia, od patriotycznej i głęboko religijnej atmosfery domu rodzinnego aż po lata spędzone na emigracji. Jest to głos uczestnika doniosłych wydarzeń z historii odradzającego się państwa polskiego i II wojny światowej, dowódcy wielkich polskich formacji wojskowych, dzielnego żołnierza i znanego polityka, pozostającego w cieniu marszałka Piłsudskiego. Głos człowieka nieco dziś zapomnianego, ale jednak niezwykle znaczącego.

Alojzy Józekowski „Znowu się naraziłem", opr. twarda, str. 207, wyd. Askon. Cena: 64 zł.
Znowu się naraziłem – ta myśl towarzyszyła całemu życiu Alojzego Józekowskiego. O ile dla przeciętnego człowieka narażanie się może stanowić problem i przeszkodę w realizacji planów życiowych, to w przypadku autora wspomnień, zawsze stanowiło początek nowego etapu w jego życiu. Postawa sprzeciwiająca się utartym schematom, buntująca się przeciwko postępowaniu niezgodnemu ze zdrowym rozsądkiem sprawiła, że znalazł się w gronie tych, którzy trafili na kurs „administracji wojskowej", a po jego ukończeniu zostali włączeni w poczet Cichociemnych. Autor przez całe życie skrupulatnie prowadził dziennik i gromadził materiały, dzięki czemu mogła powstać ta książka. Autor umiejętnie łączy w niej wątki biograficzne, historyczne, edukacyjne, jak też te dotyczące życia codziennego minionych 90. lat.

Andrzej Drzycimski, Jerzy Górski „Reduta Westerplatte", opr. twarda, str. 112, wyd. Oficyna Gdańska. Cena: 49,99 zł
„Reduta Westerplatte" w atrakcyjny sposób opowiada o historii, która stała się podłożem legendy Westerplatte. Historia tego półwyspu, a zwłaszcza siedmiu dramatycznych dni obrony polskiego przyczółka we wrześniu 1939 roku, została opowiedziana przez znawcę tej tematyki, Andrzeja Drzycimskiego. Drugim narratorem tej opowieści są obrazy: archiwalne i współczesne zdjęcia, pocztówki, mapy, dokumenty.

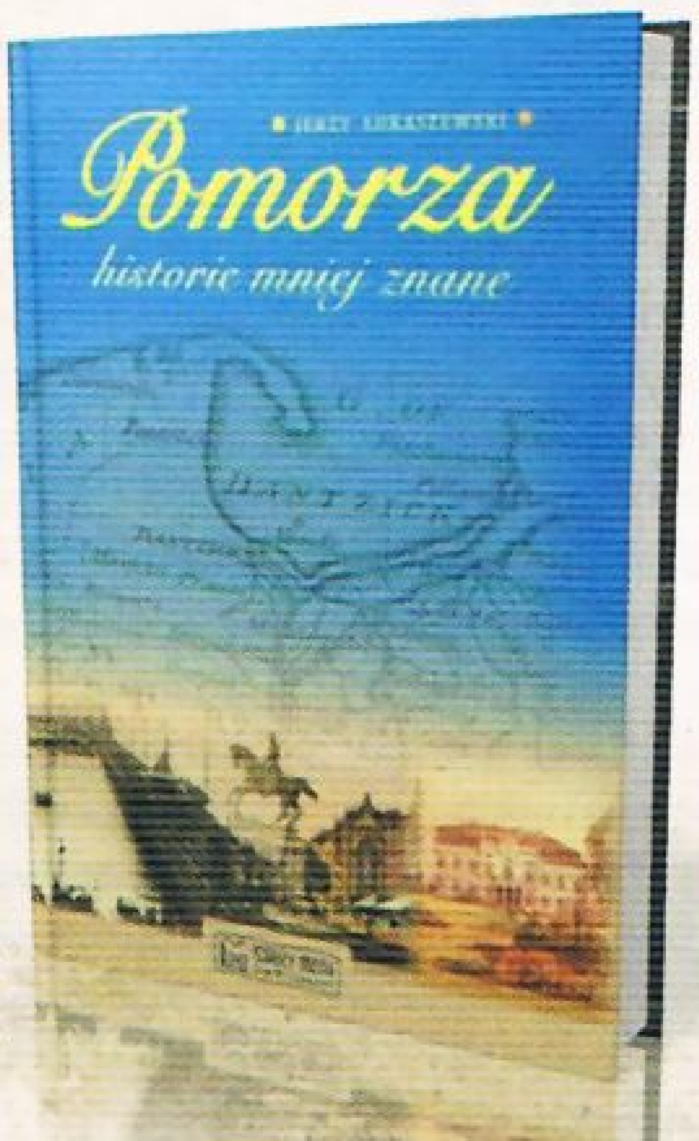

Jerzy Łukaszewski „Pomorza historie mniej znane", opr. twarda, str. 235, wyd. Księży Młyn. Cena: 39,90 zł
Czy można podgrzać wodę w morzu? Jak zwalczano czarownice? Gdzie po raz pierwszy w dziejach polskich pito kawę i herbatę? Jaki udział mieli Pomorzanie w powstaniu styczniowym? Jaki związek ma Pomorze z Alzacją i Szwajcarią? Na te i wiele innych pytań znajdziemy odpowiedź w niniejszej publikacji. Jerzy Łukaszewski przytacza legendy i baśnie regionu, teksty piosenek, historie prawdziwe i te wymyślone przez samych Pomorzan, dawne akta sądowe i artykuły prasowe, a wszystko to ilustruje licznymi zdjęciami, pocztówkami, rysunkami, mapami.

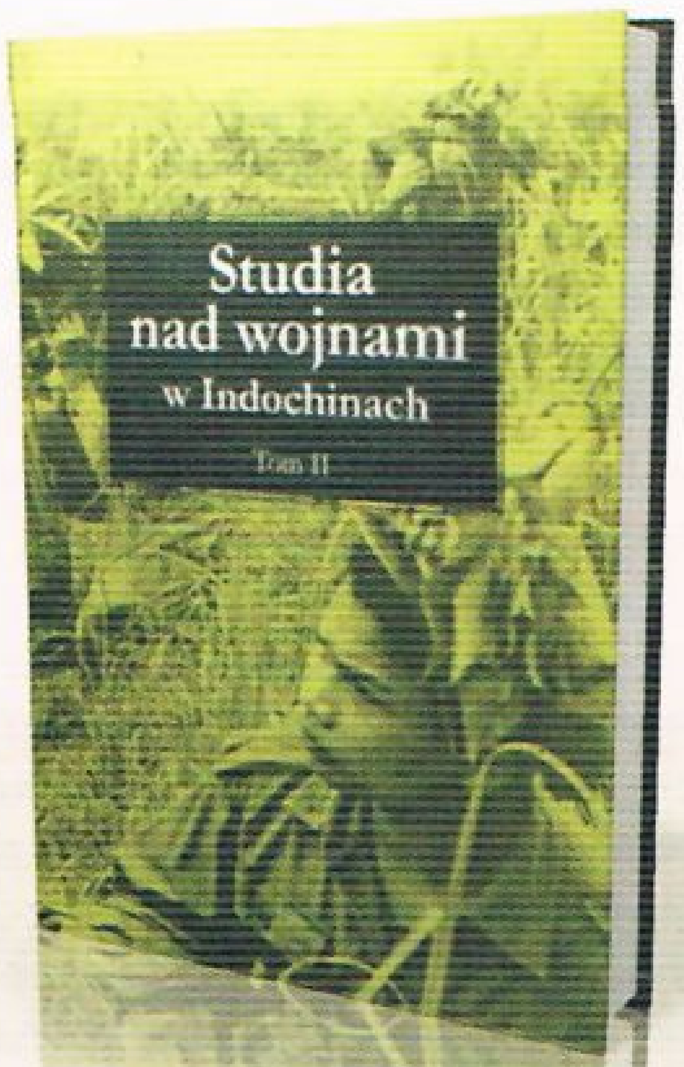

„Studia nad wojnami w Indochinach" t. II, red. P. Benken, J. Słowik, opr. miękka, str. 183, wyd. Inforteditions. Cena: 30,90 zł
Praca zawiera szereg artykułów na temat konfliktów na Półwyspie Indochińskim po II wojnie światowej. Niniejszy tom studiów składa się z siedmiu artykułów naukowych i jednego opracowania materiału źródłowego. Poszczególne teksty poruszają różnorodną tematykę: działania wojenne na lądzie, wodzie i powietrzu; kwestie polityczne jak również problem tzw. pacyfikacji Wietnamu Południowego. Opisane zostały wydarzenia, które swego czasu odbijały się w świecie głośnym echem, lecz także mało znane epizody.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

ODK

kolekcja ODKRYWCY

WOJCIECH STOJAK
„OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI".
To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów".

26,-

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY"
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

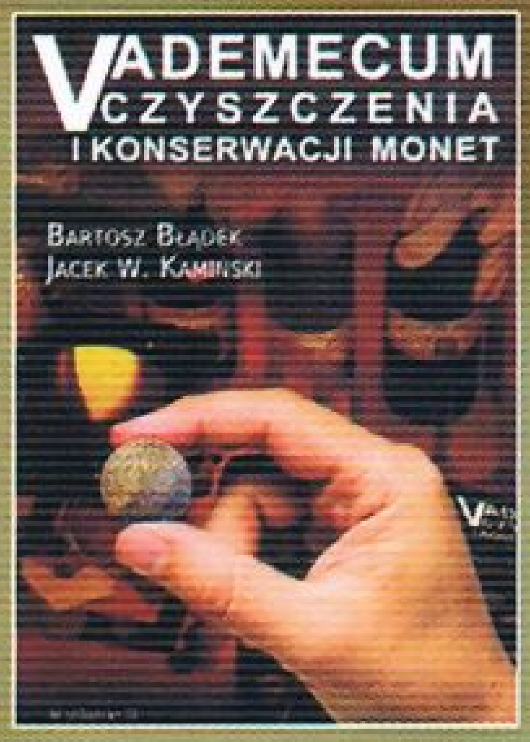

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET"
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

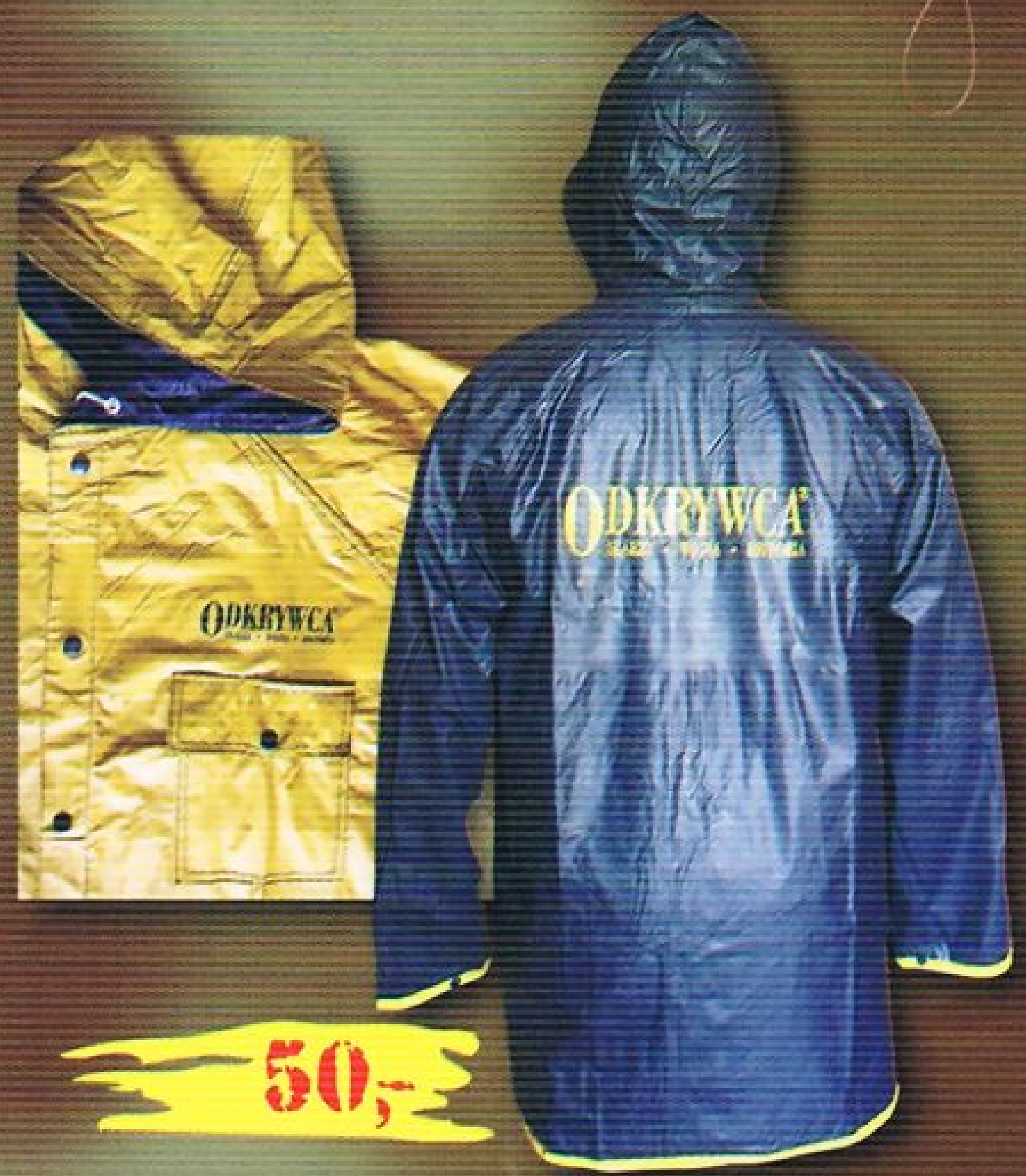

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

50,-

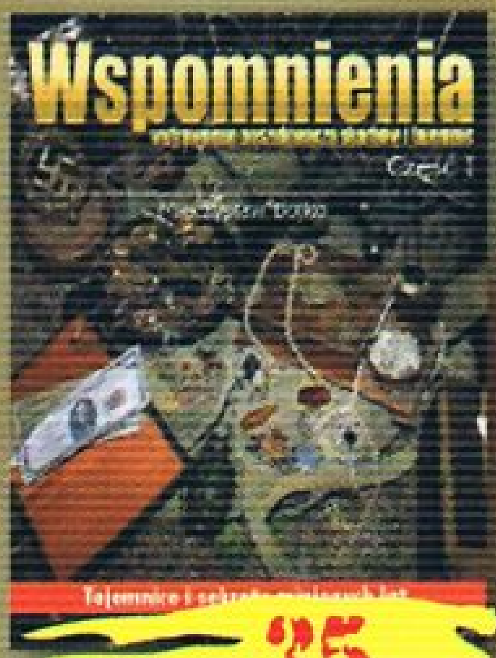

35,-

20,-

METALOWY KUBEK termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

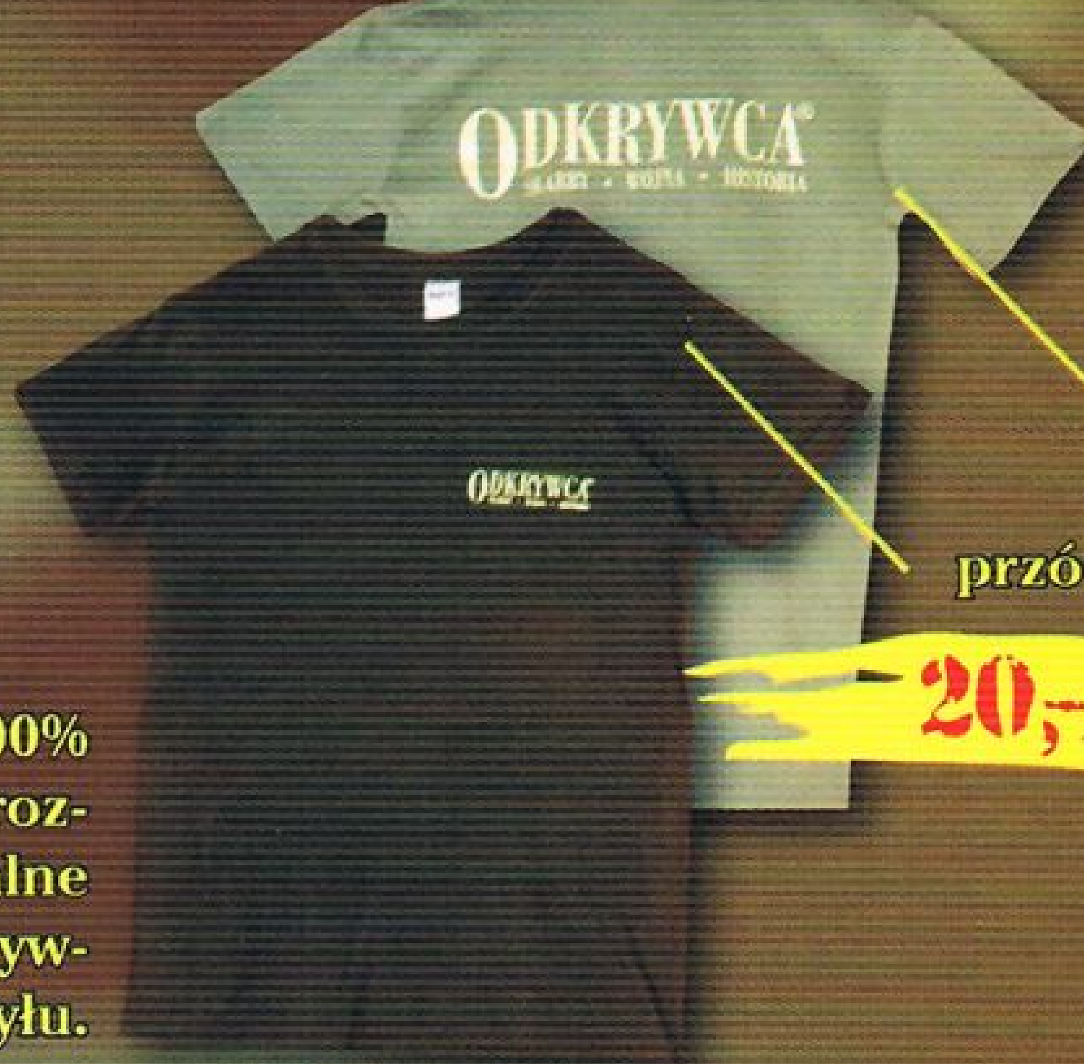

przód

20,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC. Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 2/193

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysył... w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o och... danych osobowych z 2...

Wyrażam zgodę na wy... faktury VAT bez mojego...

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

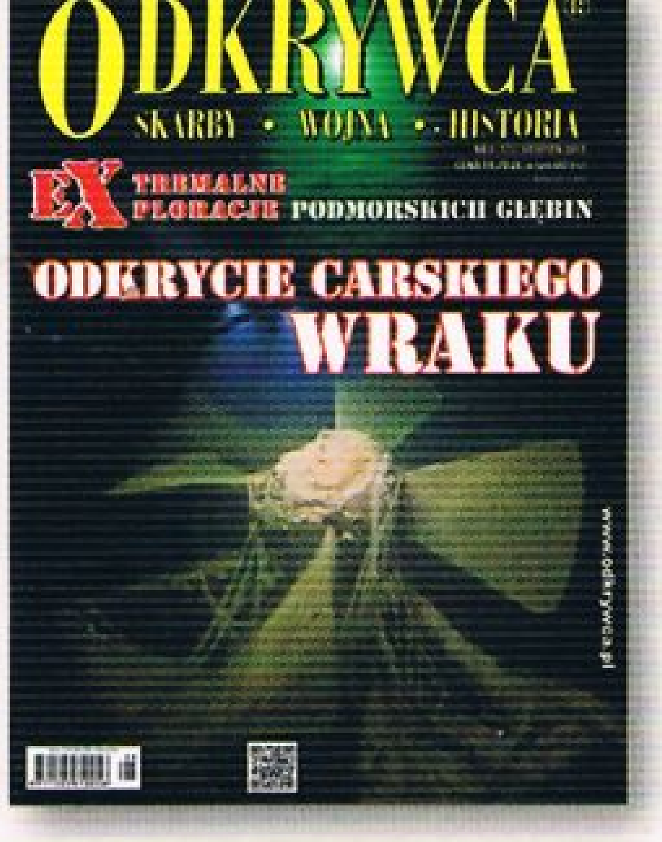

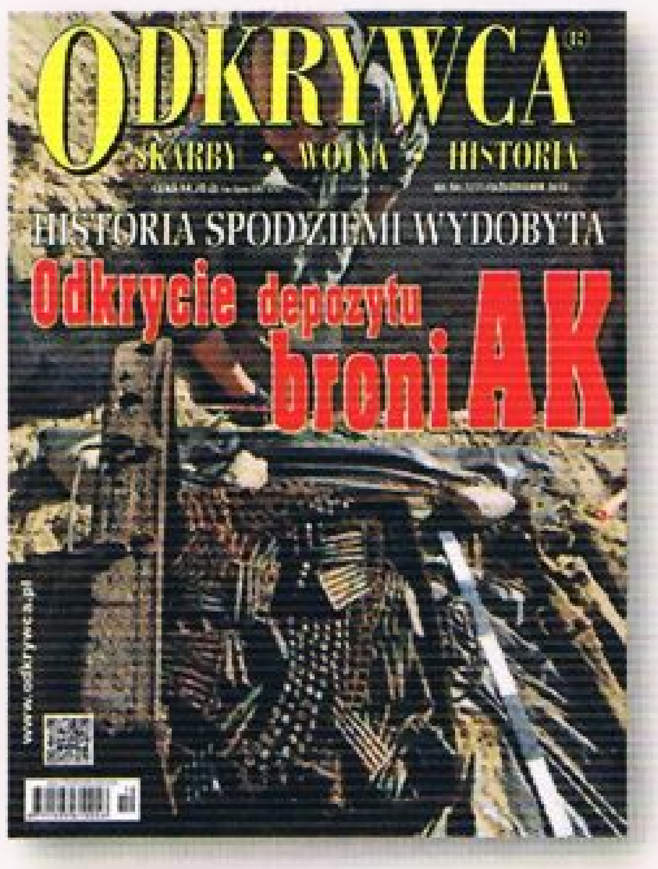

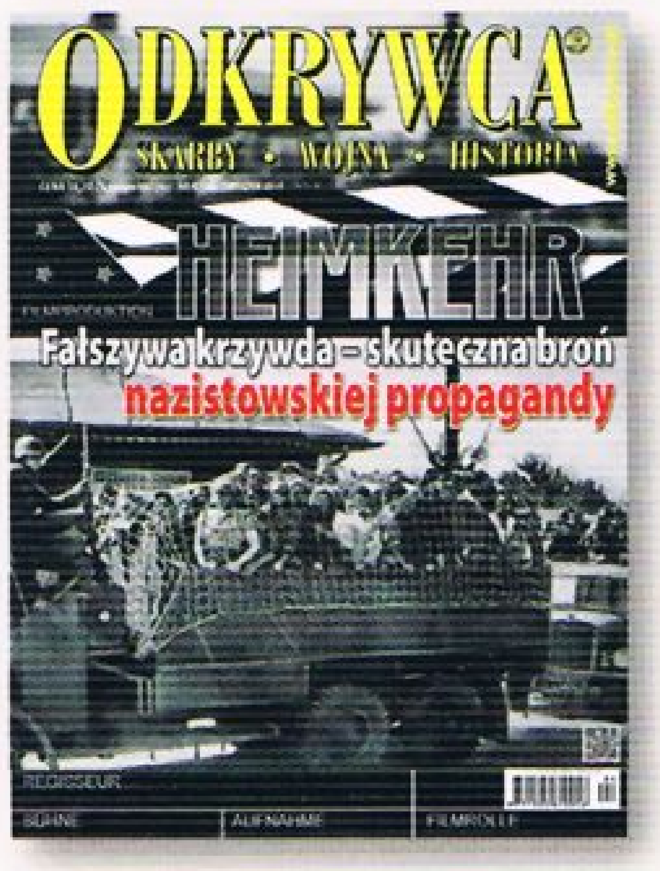

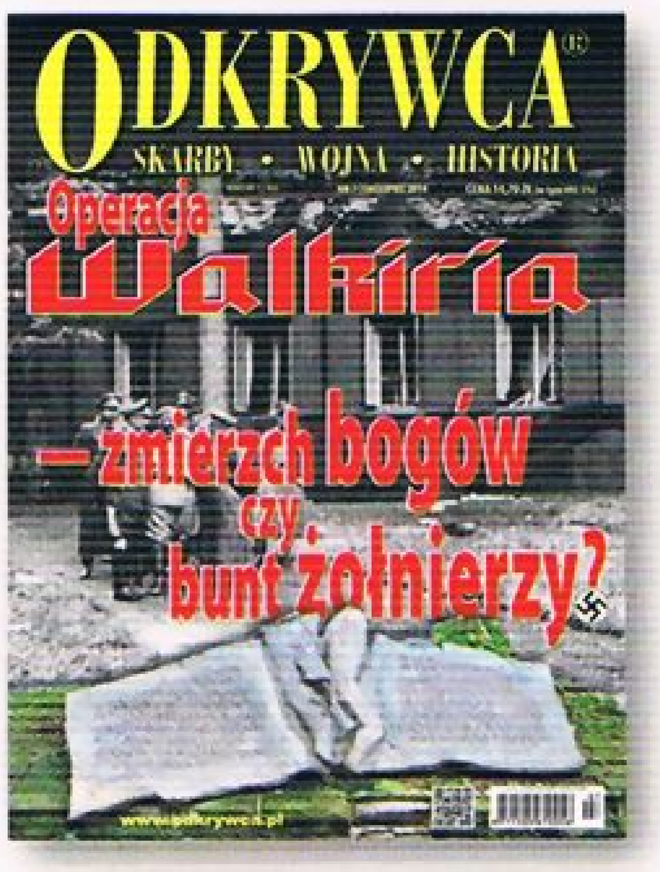

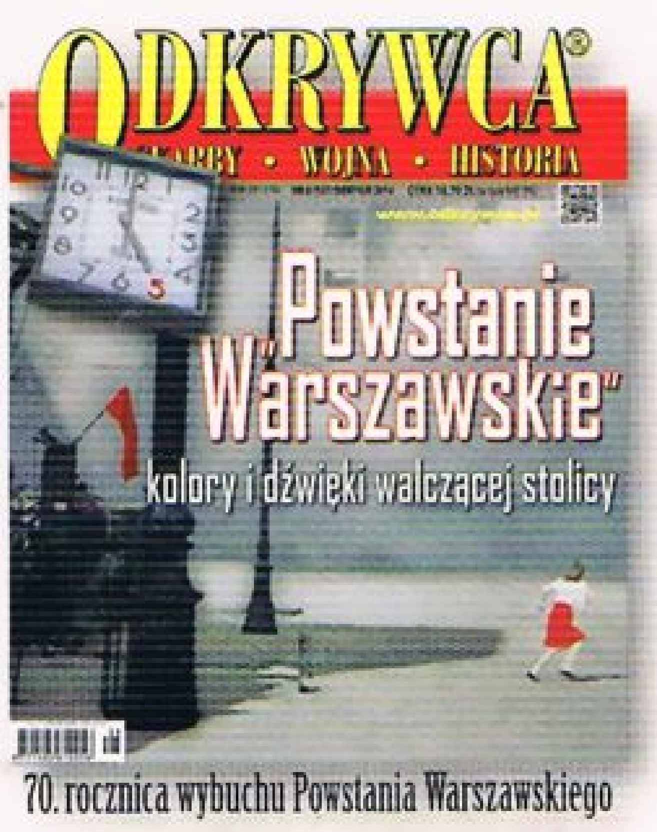

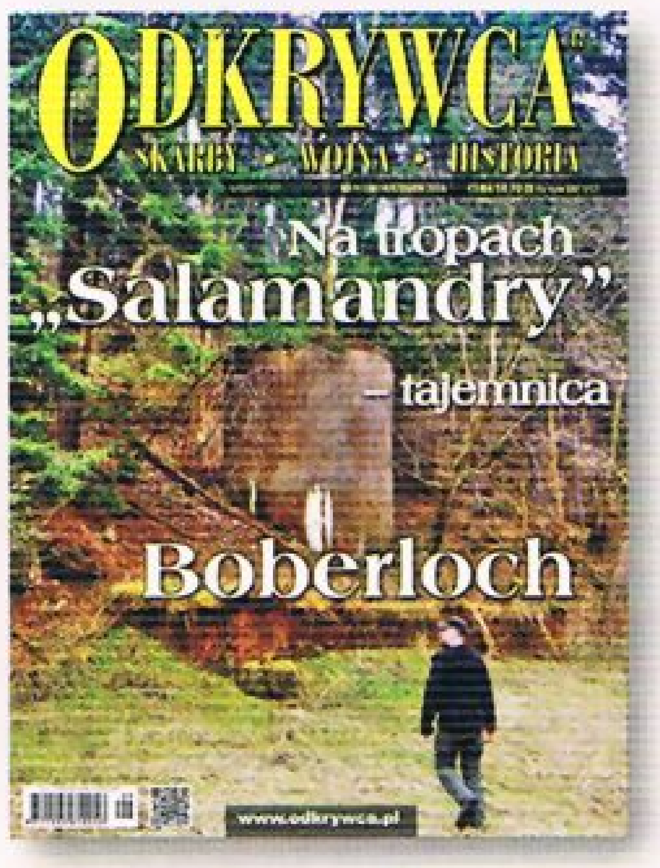

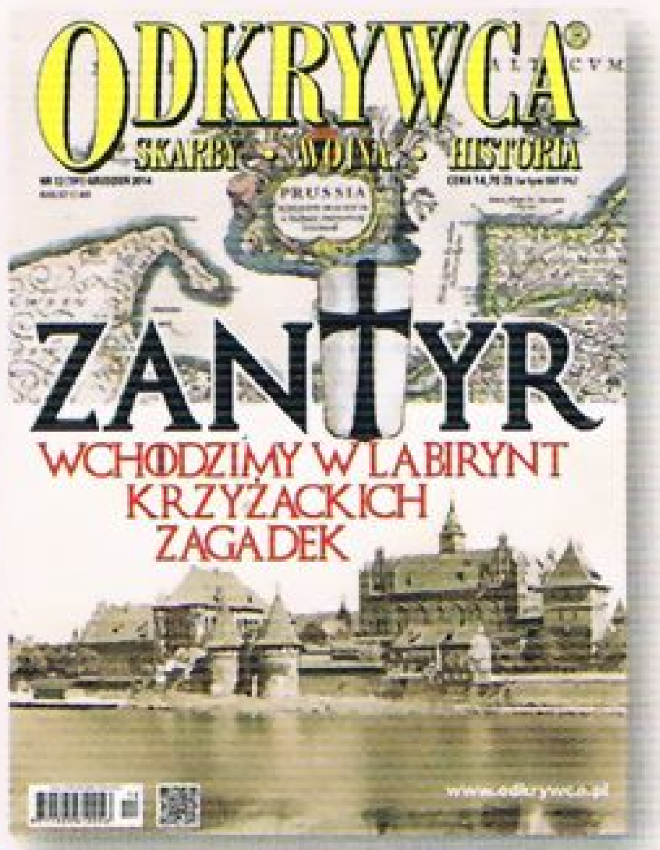

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:
- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Prenumeratę mogą Państwo zamówić i opłacić:
► bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl
lub
► dokonać wpłaty bezpośrednio na konto wydawnictwa:
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:
- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Szczegółowe informacje na temat warunków prenumeraty uzyskają Państwo w Dziale Prenumeraty redakcji „Odkrywcy" pod numerem:

71 329 71 71

e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

lub pisząc na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:
SZCZEGÓŁY wewnątrz numeru na STRONIE 17

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.